

HENRYK LONGIN ROGOWSKI

Burzliwe Lata

Prawa autorskie Henryk Longin Rogowski Copyright Henryk Longin Rogowski

ROZDZIAŁ I

Przyszło lato. Był rok tysiąc czterysta piąty. Po gościńcu jechała kareta, oznaczona herbem rodu szlacheckiego, na którym widniało poroże jelenia i skrzydło sępa.

Eskortowana była przez imię pana Zembrzuskiego, a celem ich podróży był Kraków, jako że jadący zmierzali na sejmik krakowski. Gościniec zanurzył się w las, a eskorta zdwoiwszy czujność jechała po obu stronach karety. Nie było ich wielu, jednak byli to rycerze wspaniali i w bojach zaprawieni. Jechali leśnym duktem w ciszy, jako, że i kareta ciszej jechała po tracie równo trawą wyłożonym. Jechali, a oczom ich ukazały się bagna leżące po prawej stronie, z lewej zaś urwisko porośnięte gęsto.

- Doskonała pułapka - pomyślał imię Zembrzuski.

Ledwie pomyślał, a strzała przeszła jadącego przodem rycerza z eskorty. Była to zasadzka urządzona przez Krzyżaków, którzy wyjechawszy na drogę ruszyli do ataku. Imię Zembrzuski krzyknął na swoich, a oni przyłgnawszy plecami do karety odpierali ataki knechtów zakonnych, przy czym raz po raz któryś z rycerzy krzyżackich padał na murawę z krzykiem niehumanym. Dowodzący Krzyżakami widząc przegraną zarządził odwrót i poprowadził resztę oddziału w las będący przed nimi, uciekając w popłochu. Zembrzuski nakazał straty policzyć i oręż pozbierać.

- Dwóch zabitych mamy, mości komendancie, a knechtów zakonnych szesnastu martwych naliczyłem.

- Siadajmy na konie i ruszajmy! - Krzyknął Zembrzuski. Kareta ruszyła duktem w dalszą drogę.

- Cóż jeszcze przytrafi się w drodze - pomyślał Zembrzuski.

Podjechał do karety, coś rozmawiał z jadącymi w niej, po czym pojechał przodem rozglądając się wokoło.

W jakiś czas wynurzyli się z lasu. Oczom ich ukazał się zajazd u Szymona, karczma, z której korzystali podróżni. Stała ona na skraju dużej osady.

- Zatrzymamy się tutaj, mości Zembrzuski. - Trzeba po bitwie odpocząć, no i wieczera potrzebna.

Kareta zjechawszy z drogi wjechała na podwórzec gospody, gdzie Szymon w głębokich ukłonach gości znamienitych zapraszał.

Z karety wysiedli dwaj goście. Szlachcic Wołyński, imię pan Kalesanty i siostrzeniec jego January.

Przemierzywszy schodki weszli do dużej izby zastawionej stołami.

Pod ścianą był bufet. Na nim trzy antałki stały, zapewne z miodem pitnym. Dalej okienko w ścianie, przez które strawę podawano.

Za nimi do izby wszedł imię pan Zembrzuski z kompanią. Rozsiadłszy się przy stołach

czekali. Po drugiej stronie sali wrzało. Przy stołach siedzieli goście i głośną dysputę prowadzili. Wsłuchawszy się w gwar można było zrozumieć, o czym tak prawiono. A temat był gorący, bo o zakonie, który coraz bardziej stawał się bezkarny. A jednak, którego ludzie uciekli w popłochu zobaczywszy karete i jeźdźców zmierzających w kierunku gospody. Ze sobą mieli rannego, chyba wyższego rangą, bo bardzo o niego

zabiegali. Ranny odziany był w płaszcz biały z krzyżem na plecach, pod którym widniała duża czerwona plama.

Ludzie ucichli zobaczywszy w zameście siedzących nieopodal gości.

Pierwszy podniósł się Hińcza z ziemi mielnickiej a zobaczywszy przybyszów posłał im ukłon i taki sam otrzymawszy odezwał się.

- Mości panowie, czy to wy starliście się z Krzyżakami?

- Ano my - odparł imć Kalesanty i głośno krzyknął na karczmarza, po czym uderzył pięścią w stół. - Ano my, skorośmy zostali napadnięci - mości panowie.

Teraz rozmową nie było końca, tylko Zembrzuski ze swoimi czuwali, aby znów coś nie zakłóciło biesiadowania. Dopiero późną nocą strudzeni rozmowami i podróżą posnęli. Gwar ucichł, tylko Żyd szczęściarz krzątał się wokoło stołów znosząc kufle po napitkach i półmisy po jadle. Krzątał się z zadowoleniem, bo grosza zarobił nie mało. Świt wstał niespodziewanie prędko i krótkiej nocy nie zmąciło żadne wydarzenie. Razem ze świtem odezwały się koguty, które jeły przeszkadzać niewypoczętym gościom. Imć pan Kalesanty podniósł się znad stołu i wrzasnął.

- Do koni - mości panowie! W drogę.

- W drogę powtórzyło echo rozchodzące się po izbach i tylko Żyd Szymon wzdrygnął się na grom w głosie szlachcica. Zembrzuski czapkę na głowę włożywszy wyszedł z izby, skoczył na konia spinając go kolanami.

Kareta podjechała pod zajazd, wsiedli doń mości panowie szlachta i orszak cały ruszył w drogę. Słońce wyraźnie wychodziło zza chmur, a już hen na końcu drogi zobaczyli stado sępów krążących nisko, zdawało się szybujących do zdobyczy. Imć pan Kalesanty wymienił spojrzenie z Zembrzuskim, a ten kazał jednemu ze swoich, by pośpieszył i zobaczył, co tam się dzieje. Tenże ruszył ostro na przełaj przez pola, gdyż droga skracając prowadziła dużym zakolem. Wszyscy widzieli jak malała jego sylwetka i w końcu maleńki punkcik pozostał na horyzoncie. Tymczasem, kareta z konnymi przejeżdżała traktem. Nie obawiali się niczego, bo widoczność była doskonała.

- Ciekawym, co tam się dzieje - powiedział Hińcza spojrzawszy na horyzont, gdzie coraz więcej sępów szybowało wokoło.

- Pewnikiem padło jakieś zwierzę - odparł zaraz Zembrzuski, który w duchu myślał coś innego, a powiedział tak, żeby, Hińczy ludzie byli pewni jego słowa.

O swoich nie obawiał się. Znał każdego i wiedział, że nie zląkną się tego widoku.

Po jakimś czasie zobaczyli rosnącą sylwetkę jeźdźca zbliżającego się ku nim pełnym galopem.

Był to Maćków wysłany na zwiad.

Po pewnym czasie zbliżył się na tyle, że można było wyczytać trwogę z jego twarzy. Zbliżył się do Zembrzuskiego i zameldował.

- Mości panie, ludzie doszczętnie rozbici a nie widziałem u nich żadnego zbrojnego.

Wozy spalone. Znalazłem kobietę z dzieckiem, która wypowiedziała słowo Krzyżacy i wyzionęła ducha. Dziecko całe i zdrowe, więc je zabrałem. To chłopak panie.

- Chłopak powiadasz - odezwał się imć Kalesanty. - Daj go tutaj, a wzięwszy go w dłonie - powiedział.

- Będiesz się nazywał Maćków Sęp, co byśmy wiedzieli jak się do ciebie zwracać mości dobrodzieju. Nadłożymy drogi i pochowamy naszych, tylko bacznie uważać na

Krzyżaków.

I kareta ruszyła z jeźdźcami, by dojechać do miejsca, w którym Krzyżacy rozbili doszczętnie ludzi przenoszących się z bydłem na tereny zdawniejsze do wypasu.

Widok był straszny. Głowy porozbijane szablami. Kobiety i dzieci bez wyjątku.

Zembrzuski zsiadł z konia. Pochylił się nad zabitym. Z jego ręki wyjął kawał białego materiału, który urwany był z płaszcza Krzyżaka. Teraz nie było wątpliwości.

- Pochowamy ich - zarządził imć Kalesanty, po czym wszystkich ułożono do głębokiego dołu i przysypano ziemią.

Dopiero teraz sępy poszybowały w górę.

- Trzeba złożyć skargę do króla, opowiedzieć cośmy widzieli, aby król położył kres temu.

To powiedziawszy nakazał ruszyć w dalszą drogę.

Na drodze do Krakowa był jeszcze gród, Trzyciążem zwany.

Wszyscy jechali w milczeniu i nawet imć Zembrzuski sposepniał, bo pomyślał, że dziecko z pewnością zostawią na wychowanie w grodzie.

Późnym wieczorem dotarli do grodu, który okolony był palisadą z drzewa. Gdy do bramy się zbliżali z góry ozwał się głos potężny.

- Kto, zacz? Zembrzuski odezwał się.

- Do Krakowa jedziemy na rozmowy z królem Jagiełłą. Eskortuję imć pana Kalesantego herbu Działosza.

Nastąpiła cisza. Pilnujący bramy rozważał. Po chwili krzyknął.

- Musicie poczekać. Powiadomię o waszym przybyciu, jego wielmożność Zbysława.

Stali strudzeni, ale w tych czasach trzeba było być nadzwyczaj ostrożnym. Czekali chwili, gdy wreszcie potężna brama, będzie otwarta, co też stało się niebawem.

Brama uchyliła się. Wszedł z niej potężny chłop o niedźwiedziej budowie i podszedł do karety.

Imć Kalesanty poznał go od razu. Poznał go również imć pan Zembrzuski.

- Toż to Bolko, zwany niedźwiedziem.

I Bolko ich rozpoznał, jako że przedtem nie raz z nimi w bitwach brał udział.

Wjechali na podwórzec, gdzie stajenni konie odebrawszy do stajni jęli je prowadzić.

Wszedł Zbysław, będący panem w tym grodzie Trzyciążem zwanym.

- Zapraszam mości panowie - rzekł i wskazał na drzwi ręką, które prowadziły do komnaty, gdzie stały ławy, aby strudzeni mogli chwilę odpocząć.

Dało się poczuć ruch spory w grodzie. Szykowano strawę i napitki, aby należycie gości przyjąć. Gdy jadło znalazło się na stołach zaproszono nas do wielkiej sali ozdobionej trofeami myśliwskimi.

Były tu najprzeróżniejsze poroża, kły dzików, kły niedźwiedzie, czaszki zwierząt. Wszystko to pięknie wyprawione.

Zbysław dostrzegł nasze zaskoczenie i rzucił słowa.

- Mości panowie do stołów zapraszam, bo czas upływa, a jutro skoro świt w drogę się będę z wami sposobił, bo i mnie trzema przed królem stanąć.

Wszyscy jedli w milczeniu. Po pewnym czasie imć Kalesanty - rzekł.

- Gdy, jechaliśmy do was w drodze natchnęliśmy się na ludzi bezbronnych usieczonych przez Krzyżaków. Ostał tylko jeden chłopak, dziecko. Chciałbym prosić o opiekę nad nim. To powiedziawszy kazał przynieść małego.

Dopiero teraz przyjrzał się dziecku uważnie.

Miało ono potężne nogi i ręce, a włoski blond kręcone jak pierścionki.

Zbysław wziął dziecko i oddał kobiecie, która siedziała z tyłu, po czym - rzekł.

- A jakże wychowamy go na dobrego rycerza, już ja i moja tego dopilnujemy.

Jakiś czas trwała jeszcze wieczerza a później przyszedł sen, z którego wszyscy skwapliwie skorzystali, jako, że nie trzeba było wart wystawiać, gdyż grodu pilnowali

ludzie Zbysława.

Znów świt przyszedł prędko, ale imć Zembrzuski nieco go wyprzedził.

Wstał, obudził Maćkowego, a tak rzekł do niego.

- Wyjedziesz pierwszy, miej oczy otwarte i pilnuj, co by Krzyżacy nie zrobili nam jakiejś zasadzki na drodze.

Maćków do drogi chwilę się przygotował, i wymknąwszy się z grodu w drogę ruszył.

Przemierzywszy gościniec, zapuścił się w knieje, bacznie nadśluchiwał.

Spory kawałek ujechał. Przystanął w zaroślach, bo wydawało mu się, że słyszy rzenie koma. Nie na próżno był najlepszym zwiadowcą u Zembrzuskiego.

Od małego wychowywał się w lesie. Do tego miał nadzwyczajny zmysł, który nie raz ostrzegwał go o niebezpieczeństwie. I tym razem długo nie czekał.

Razem ze świtem zobaczył oddział jeźdźców krzyżackich składający się z dwóch starszych ubranych w białe płaszcze z krzyżami na plecach, oraz pół setki knechtów, którzy jechali tak, jak do walki. Cofnął się głębiej, aby nie być zauważonym. Koma

mocniej przytrzymał i czekał, kiedy ci przejdą koło niego, po czym ruszył za nimi w pewnej odległości, korzystając z lasu, który jak gdyby pomagał mu, aby nie był

zauważony. Obserwując Krzyżaków dostrzegł, że przed nimi jedzie ktoś inaczej ubrany.

Przyjrzał mu się uważnie, choć odległość była znaczna. Dostrzegł człowieka, który wczoraj z nimi zasiadał przy stole, w grodzie Zbysława. Człowiek ten zdawałoby się, że prowadzi orszak, gdyż jadąc na przedzie często odwraca się do tyłu, jakby sprawdzając, czy Krzyżacy jadą blisko niego. Dopiero teraz Maćków zobaczył, że ten człowiek ma ręce skrepowane w przedzie i strużka krwi spływa mu po policzku.

Nagle usłyszał głos i zobaczył rękę Krzyżaka w płaszczu podniesioną w górę.

Wszyscy stanęli. Nadśluchiwał chwilę, jakby go coś zaniepokoiło i w końcu dał rozkaz, aby zsiadli z koni. Człowieka, który jechał przodem knechci zdjęli z konia i postawili przed dowódcą, a jeden z nich tłumaczył. Maćków usłyszał rozmowę.

- Powiesz ilu ludzi będzie jechało do Krakowa i gdzie najlepiej urządzić zasadzkę, a dam słowo rycerskie, że puścimy cię wolnym po bitwie.

Człowiek ów podniósł głowę w kierunku Krzyżaka i zaśmiał się do niego, po czym powiedział nigdy, w jednej chwili otrzymał potężny cios mieczem w głowę. Zachwiał się i padł na kolana. Po chwili wyzionął ducha.

Maćków drgnął. Wiedział, że sam nic nie może zrobić, jeno podsłuchać, jakie

Krzyżacy mają zamiary. Ci dwaj w płaszczach radzili, po czym z gestów

wywnioskował, że tu się zasadzą na Polaków, jako że teren wydawał im się

korzystny. I po prawdzie tak było. Droga, która szła przez las nagle skręcała, a po

jednej stronie było wzgórze porośnięte drzewami i gęstymi krzakami. Tu zdjęwszy z koni przytroczone kusze postanowili czekać. Maćków wycofał się ostrożnie, konia

chwile prowadził, a korzystając z tego, że dukt był porośnięty trawą, ruszył wolno na konia wsiadając. Ostrożnie oddalał się od miejsca zasadzki. Po pewnym czasie dotarł do drogi, która w las prowadziła i postanowił zaczekać. Ukrył konia w zaroślach, a sam stanął niewidoczny i czekał. Nagle usłyszał trzask łamanych gałęzi. Zamarł w bezruchu. Po chwili ujrzał jednego knechta, który zapuścił się tutaj, aby zobaczyć czy zbliżają się konni jadący do Krakowa. Miał ułatwione zadanie, jako że knecht zmierzał wprost na niego, więc poczekał chwilę, a gdy ten już był w zasięgu jego rąk ruszył. Walka była krótka. Po chwili knecht leżał związany. Było widać wielkie zdziwienie w jego oczach, że tak szybko dał się pokonać. Nie długo teraz już czekał, bo po chwili zobaczył pierwszych konnych zbliżających się do lasu. Maćków poznawszy swoich wyszedł i wszystko, co widział przekazał Zembrzuskiemu. Ten odezwał się do niego.

- A któż to, ten związany?

- Był z nimi, jeno na zwiad wyjechał zobaczyć, czy nadjeżdżacie, mości komendancie.

Zembrzuski kazał go bacznie pilnować, po czym podjechał do karety, którą teraz i Zbysław jechał.

- Mości panowie, Krzyżacy urządzili zasadzkę. Wrócił człowiek, którego wysłałem, a który widział Krzyżaków. Teraz dopiero Zbysław zrozumiał, że jego syn, którego wysłał na zwiad już nie wróci.

Później dopiero od Maćkowego dowiedział się, jak on zginął. Tymczasem Zembrzuski wydawał rozkazy, po czym, jakby nigdy nic, ruszyli przez las. Będąc blisko zasadzki krzyżackiej zsiadli z koni i rozłożyli się obozem, jak gdyby czekali na kogoś. Jednak każdy z nich miał umysł wytężony i czujny.

Zembrzuski wysłał Botnickiego, aby ten udał się na stronę Krzyżaków i zobaczył ich miny na tę okoliczność. I prawda, Krzyżacy byli zdziwieni, ale uznali, że Polacy czekają na kogoś i postój nie będzie długi, więc nie opuszczali stanowisk.

Tymczasem Polacy ruszyli przez las bez koni w kierunku Krzyżaków i po jakimś czasie dotarli do miejsca, gdzie stały konie krzyżackie. Pilnowało ich dwóch knechtów. Podeszli bliżej. Dwie strzały cicho wymknęły się z łuków. Obaj w ciszy osunęli się na murawę.

- Mamy ich konie - pomyślał Zembrzuski.

Wtem rozległ się krzyk trzeciego knechta, który szedł z rozkazem, aby konie podprowadzić bliżej. W jednej chwili powstał rwetes okrutny, nim trzecia strzała uciszyła Krzyżaka. Pozostali ruszyli do koni wiedząc, że to oni teraz wpadli w zasadzkę. Wywiązała się walka. Krzyżacy nie mając koni zmuszeni byli walczyć do końca. O ucieczce nie było mowy. Zagorzała walka trwała jakiś czas, po czym na placu bitwy nie ostał żaden Krzyżak. Kilku z nich uciekło chroniąc się od śmierci. Zembrzuski widząc, że oręż rzucają i uciekają w popłochu, wysłał konnych, aby ci ich sprowadzili. W nie długim czasie Krzyżacy stanęli przed imć Kalesantym, Zbysławem i Zembrzuskim, i pozostałym rycerstwem polskim. Byli wśród nich również dwaj dowódcy zakonni.

- Zabierzemy ich do Krakowa, aby król zobaczył na własne oczy zbójów - powiedział Zbysław.

Jednak i w tej bitwie zginęło kilku Polaków. Zrobiwszy im pochówek znów zaczęli

się do drogi sposobie. Zbysław nakazał powiązać Krzyżaków swoim rycerzom, a baczenie ich pilnować, by dowieść ich przed oblicze króla Jagiełły, by król mógł się przekonać naocznie i poznać ich poczynania.

W niedługim czasie wszystko było gotowe do drogi. Ruszyli. Jedyne koni luźnych przybyło, jako, że Polaków kilku poległo, a i konie krzyżackie pędzili za sobą. Poruszali się wolno mając dwóch rannych. Gdy ujechali spory kawał drogi musieli się zatrzymać, gdyż jeden z rannych o to prosił.

Imć Zembrzuski podszedł do niego i wysłuchał jego prośbę, aby na gościńcu go zostawili. Odmówił, ale postój zarządził, aby mógł się dobrze przyjrzeć ranie.

Zobaczył kawałek strzały wystającej z rany. Znał się na tym, gdyż nie raz po bitwach rannych opatrywał. I tu też uważnie przyjrzał się ranie.

Był to jego człowiek, więc sam postanowił. Kazał go przytrzymać, a sam naciął ranę.

Mimo krzyku rannego strzałę z grotem wyciągnął. Do rany przyłożył coś, co wydobyl z torby. Była to maść z ziół, którą miał zawsze przy sobie podczas wypraw.

Po przyłożeniu owej maści rannemu, nakazał ruszać w dalszą drogę. Musieli teraz spieszyć, by zdążyć na sejmik i przed królem stanąć. Tedy orszak ruszył, ale niedługo jechali, jako że zaczęło się ściemniać.

Imć Kalesanty zlecił poszukać miejsca na obozowisko. Czuł, że ludzie tego pragną, bo przeszli dzisiaj nie mało. To też, po

znalezieniu miejsca odpowiedniego rozłożyli się obozem. Gdy warty były już rozstawione i ludzie najedzeni, jeszcze raz Zembrzuski obszedł dokoła obóz. Nakazał

ludziom Zbysława pilnie strzec jeńców, po czym sam zmęczony oparłszy się o siodło i zamknął oczy. Widział teraz jeszcze raz to, co wydarzyło się w dzień, aż przyszedł

sen, który wszystko zmaćił. Obudził go hałas, krzyki, po czym dowiedział się, że dwóch oficerów zakonnych zbiegło korzystając z pomocy kogoś, kogo nie złapali po bitwie. Został po nich zabity wartownik od Zbysława, który miał ich pilnować.

Zembrzuski uznał, że nie ma, co gonić ich po nocy. Zmienił warty i wszyscy teraz

czekali świtu, by ruszyć w dalszą drogę. Noc minęła, a gdy słońce wyszło na dobre

byli już w drodze. Przeprawili się brodem przez rzekę i dalej już szeroki trakt

prowadził do Krakowa. Choć do samego grodu było jeszcze daleko, imć Kalesanty

odezwał się do Zbysława i siostrzeńca swojego.

- Mości panowie czasy przyszły takie, że w przeciągu kilku dni tyle się wydarzyło, co kiedyś przez lata. Bardzo niespokojnie zrobiło się w kraju za sprawą zakonu.

Zdawało się, że Zbysław słucha, ale w rzeczywistości był myślami daleko przy Bolku synu swoim, który zginął z rąk dowódcy Krzyżaków. Postanowił porozmawiać z Maćkowym, aby się wywiedzieć wszystkiego, a może i tego jak wyglądał kat jego syna. A imć Kalesanty dalej prawil.

- Pójdziemy do króla i wspólnie zaradzimy, jak zaprowadzić porządek w Rzeczpospolitej - prawda mości Zbysławie.

- Prawda - odparł Zbysław. Trzeba tak zrobić, bo giną niewinni ludzie młodzi i prawi. Karetą zatrzymała się. Kalesanty wyjrzał i spytał rycerza będącego najbliżej.

- Gdzie jest mości Zembrzuski i co się stało?

- Komendant z przodu. Wysłał Maćkowego, co by zobaczył, jacy to ludzie dojeżdżają do traktu, bo z dala nie widać ich chorągwi.

Imć Kalesanty uspokoił się, usiadł, zamknął oczy i myślał jak zwykle o rozmowach z królem, a jeszcze więcej o tym, czy król będzie w stanie wymusić na Krzyżakach

posłuszeństwo. Tymczasem wraca Maćków powiadamiając, że to rycerze spod znaku Bekesz podążają również do Krakowa.

- Dobra to nowina, bo takiej sile nikt nie będzie chciał zagrozić - powiedział jakby do siebie Zbysław. Zaczekajmy tutaj mości panowie i gości przodem puśćmy, w pierwszej się przywitawszy.

Tymczasem konni Bekeszowi wjechali na trakt i przesłali pozdrowienie.

Na koniu siwym jechał Mścisław, który przywitawszy się ze wszystkimi skinieniem głowy - powiedział.

- W imię pana do Krakowa mości dobrodzieje.

Wszyscy ruszyli. Przodem jechali rycerze Mścisława a było ich trzydziestu. Dobrze uzbrojeni, konie pod nimi zgrabne i również ubrane w bogatą uprząż. Za nimi jechało kilkunastu kmieci też uzbrojonych, ale tylko w łuki i widać było, że stanowią siłę nie przeciętną. Jechali tak, nim słońce wzbiło się wysoko i prawdziwy żar lał się z nieba. Zobaczywszy przed sobą las, imć Kalesanty postanowił, że wjadą weń i przeczekają ten skwar. Również i Mścisław nakazał swoim do lasu przyłgnąć, a bacznie pilnować. Zjechali z traktu i przycupnęli przy lesie nie wiedząc jeszcze, jakie to wydarzenie nastąpi wkrótce, a przyszło ono bardzo szybko. Zakonni wiedząc, że kilkunastu knechtów jest w niewoli u Zembrzuskiego, a obawiając się, by któryś z nich przed królem nie mówił, postanowili wkraść się w obóz i pomóc im w ucieczce. Jeżeli nie, mieli rozkaz od komtura wszystkich ubić. Czekali do chwili, aż połączą się rycerze Kalesantego i Mścisława, bo to ułatwiło im wejście do obozu i nie rozpoznanie przez nikogo. Wybrali dwóch ludzi zakonnych, którzy byli ubrani tak samo, jak Polacy. Przy czym jeden był ubrany jak rycerz od Kalesantego, a drugi ubiorem przypominał kmiecia z łukiem i strzałami na plecach, od Mścisława. Wyczekali dogodnej chwili i podeszli bliżej. Jeden z jednej, drugi zaś z drugiej strony obozu. Usiedli, a przymknawszy oczy, obserwowali. Wiedzieli, że czasu mają niewiele. Do przedostania się do obozu, pomógł przypadek, ale na więcej nie mogli liczyć. Teraz już warty na dobre były wystawione, a pilnujący niestrudzeni. W lot pojęli, że o ucieczce nie może być mowy. Zakonnik przebrany za kmiecia wstał, łuk przewiesił przez ramię i ruszając przed siebie wszedł między Polaków. Obserwował to ten drugi, który mocniej miecz w rękę zacisnął i zęby w wargi wbił do bólu. Krzyżak idąc zobaczył swoich siedzących na uboczu z założonymi do tyłu rękami związanymi trokami ze skóry. Pomyślał. Dobrze, że ich pilnują ludzie Zembrzuskiego, więc nie będą przez nich rozpoznani, po czym zauważył bukłak z wodą, którego właściciel w drzemkę zapadł. Schylił się i podniósł bukłak. Poczuł, że woda się w nim przelała. Odszedł kilka kroków i usiadł pod drzewem, obserwując wokoło. Nikt z Polaków nie spodziewał się, że przy takiej sile ktoś odważy się na atak. A jednak, Krzyżacy wiedząc, że nie mając innego wyjścia, a nie chcąc, aby knechci przed królem Polski stanęli postavili na ten szaleńczy plan, który teraz spełniał się po ich myśli. Zakonnik widząc, że nie wzbudził podejrzeń wyjął za pasa węzełek, z którego dosypał do wody proszek i znów zaczął bacznie obserwować, po czym wstał i skierował się w stronę jeńców bukłak trzymając w rękę. Zbliżył się do jednego z pilnujących i po polsku zagadał.

-Przyniosłem im pić, aby w dobrej kondycji przed królem stanęli. To mówiąc, podał bukłak.

- Sam im daj, skoro takiś litościwy, ale w pierwszej sam napij się z niego. Krzyżak znieruchomiał, a wszystko to trwało jak błysk oka. Przyłożył bukłak do ust wlewając weń wodę. Później odwrócił się plecami do pilnującego i wszystkim po kolei przystawiał bukłak do ust, a oni pili, gdyż byli spragnieni. Ale dla ostatniego z nich zabrakło wody i dziki gniew pojawił się w oczach Krzyżaka. Jednak teraz nic już nie mógł zrobić, a korzystając z chwili wypluł na ziemię wodę, którą miał w ustach, po czym odwrócił się i odszedł od pilnującego. Po chwili wrócił, poklepał go po ramieniu i powiedział.

- Pili tak łapczywie, że dla jednego zabrakło, zaraz i jemu przyniosę.

Wartownik wstał, wziął swój bukłak. Podeszedł do ostatniego Krzyżaka i wlał mu z niego kilka haustów wody, po czym powiedział.

- U mnie ostatni ma zawsze najlepiej.

Zaśmiał się i klepnął zakonnika w ramię, które strasznie go zabolowało, jako że pod ubraniem miał ranę, jeszcze niewygojoną. Krzyżak odszedł na bok wiedząc, że cały plan nie powiedzie się, bo za jakąś chwilę zacznie działać trucizna. Pomyślał, że trzeba uciekać i spojrzawszy na drugiego kiwnął nieznacznie głową. Bardzo szybko zaświtała mu myśl, myśl, która gdyby udała się ucieczka wybroni go od zemsty zakonnych za niewykonane zadanie. A myśl była prosta. W drodze ucieczki zabije kamrata i na niego zełga, że to on tak spartaczył zadanie. Wiedział, że czasu już niewiele, więc pospiesznie raszył w kierunku drugiego i razem oddalali się od obozowiska. Nie mieli szczęścia, gdyż natchnęli się na stojącego na warcie Maćkowego. Wyrósł przed nimi niespodziewanie, jak z pod ziemi i tak ich zaskoczył, że przez chwilę nie wiedzieli, co czynić mają. Dopiero po chwili knecht chciał zagadać, lecz Maćków poznał, że ten przebrany w kolczatkę nie należy do nich, choć ubrany tak samo. Miecz podniósł do góry i odparował cios zadany przez Krzyżaka. Tymczasem drągi knecht raszył w zarośla ratując się ucieczką. Walka z Krzyżakiem nie trwała długo, gdyż był to przeciwnik za słaby dla Maćkowego, potężnego chłopca, który przy drugim uderzeniu mieczem rozbił obronę przeciwnika powalając go na ziemię. Krew bryzgnęła, oczy zastygły. Maćków raszył w pogoń za knechtem, a w obozie zawrzało. Wszyscy zerwali się na równe nogi, a po chwili jeły dobiegać jęki krzyżackich jeńców, u których trucizna teraz dopiero zaczęła robić swoje. Maćków przebiegł krzaki i polanę, znów wbiegł do gęstego lasu i tu zatrzymał się nad słuchując. Wiedział, że nie mogło być tylko tych dwóch, że reszta Krzyżaków gdzieś czeka. A może są blisko - pomyślał. Instynkt podpowiadał mu, by wrócił do obozu. Stał chwilę nad słuchując i zawrócił. W obozie dowiedział się, że knechci krzyżaccy zostali otruci, ale jeden z nich ostał żywy i nie udały się zamiary Krzyżakom. Jedynie imć Zembrzuski wściekły był, co nie miara, bo nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że przy tak dobranych ludziach Krzyżacy dostali się do obozowiska. A później, jakby sam do siebie powiedział.

- Trzeba mieć większe baczenie na tych łotrów, którzy nawet swoich do grobu pędzą. Wrzawa w obozie ucichła. Imć pan Zembrzuski nakazał wyjechać na trakt, jako, że słońce w tym czasie pochyliło się znacznie. Ruszyli w drogę. Jechali nadal w kierunku Krakowa, a z lasu prowadziły ich oczy Krzyżaków, wściekłe oczy, gdyż już wiedzieli, że jeden knecht żywy ostał. Postanowili ruszyć w znacznej odległości za nimi i czekać na chwilę sposobną by wykonać zadanie nałożone przez komtura. Dalej



droga przebiegała równiną, tylko z lewej strony ciągnął się las, jak okiem sięgnąć. Las, w którym na pewno kryje się niebezpieczeństwo - myślał Zembrzuski. Ale jak tu zostawić kogoś, wysłać do lasu skoro jesteśmy widoczni z oddali. Trzeba poczekać na stosowną chwilę pomyślał i ruszył do przodu popuszczając cugle koniowi. Jechali w milczeniu obserwując las z oddali. Jechali, aż słońce zaczęło zniżać się coraz bardziej. Skręciwszy w prawo, gdyż droga tak prowadziła zauważyli most zrobiony z bali, jako, że drogę przecinała rzeka. Przy brzegu była ona porośnięta i płynęła leniwym nurtem. Jednak od połowy nurt jej znacznie się ożywił i przy drugim brzegu widać było, że jest głęboko. Wjechawszy na most spojrzął Zembrzuski, że nurt rzeki płynie jakiś czas równiną, a później rzeka zanurza się w las

- pomyślał. Dobra chwila, abym wysłał dwóch ludzi na zwiady do Krzyżaków, ale żeby ukryć te zamiary nakazał swoim po przejściu mostu zsiąść z koni nie uprzedziwszy im Kalesantego o swoich zamierzeniach.

Ludzie Mścisława również zsiadli z koni i korzystali z odpoczynku. Zembrzuski usiadł przy Maćkowym na brzegu rzeki i powiedział.

- Podeślę ci tu któregoś z naszych i pojedziesz zobaczyć, co zamierzają Krzyżacy. Zobaczysz ilu ich jest.

- Popłyniecie rzeką do lasu, a reszta już od ciebie zależy. Ty będziesz dowodził.

Po czym wstał i ruszył leniwie w kierunku karety, aby uspokoić nieco im Kalesantego i Zbysława, co do postoju, który zarządził. Podszedł do Miłosza, jednego z najmłodszych jego rycerzy i powiedział.

- Pójdziesz z Maćkowym do Krzyżaków. Znasz ich język. Bacz uważnie i słuchaj rozkazów Maćkowego, bo on dowodzi. Będzie to twój pierwszy chrzest, gdyż myślę, że już mało czasu zostało, abyś na dobre zbratał się z rzemiosłem rycerskim. Miej oczy otwarte.

To mówiąc klepnął go w ramię i odszedł. Miłosza odczekał chwilę i ruszył w kierunku Maćkowego. Usiadł koło niego i po chwili obaj zanurzyli się w wodzie płynąc w kierunku lasu. Płynęli spokojnie przy zaroślach, a będąc bliżej lasu, by nie być zauważonym posługiwali się trzcina, która teraz wystawała z wody, gdyż płynęli pod wodą. Wpłynąwszy rzeką w las, przyczaili się w szuwarach. Chwilę zastygli w bezruchu nad słuchując. Wokoło była cisza. Maćków zdjął łuk z pleców, strzałę wyjął z kołczanu i przyłożył do cięciwy. Tak samo uczynił Miłosza, przy czym zczekał w zaroślach, nim Maćków wyjdzie z wody. Gdy ten już wyszedł i zniknął w krzakach Miłosza ruszył, jednak po chwili zastygł w bezruchu, gdyż na brzegu ukazał się knecht krzyżacki z kuszą w ręku. Miłosza w jednej chwili przyłożył cięciwę do oka, ale prędko ręce opuścił, gdyż zobaczył, że Maćków położył knechta wprawnym ciosem, po czym powoli położył go na ziemi. Zamarł w milczeniu nad słuchując. Stali tak dobrą chwilę. Wtem usłyszeli odgłos drugiego Krzyżaka, który zbliżał się do nich. Miłosza przyłożył cięciwę do oka po raz drugi i czekał. Czekał dobrą chwilę, nim krzaki rozchyliły się i stanął w nich przeciwnik. Miłosza wypuścił strzałę i Krzyżak wyrzuciwszy ręce do tyłu padł na kolana, po czym twarzą na ziemię. I znów nastąpiła cisza. Tak stali w milczeniu jakiś czas, po którym Maćków pierwszy ruszył, aby ściągnąć Krzyżaka z miejsca widocznego. Miłosza również wyskoczył z wody i po chwili obaj Krzyżacy leżeli obok siebie.

- Nie dobrze - rzekł Maćków. Obaj są twojej budowy i co najwyżej, na ciebie będzie

ubiór pasował.

Miłosza prędko ubrał się w strój krzyżacki i schowawszy obu w zaroślach ruszyli lasem w kierunku niewidzialnego wroga. Co jakiś czas przystawali nad słuchując, jednak żaden dźwięk nie był na tyle mocny, by mogli go usłyszeć. Szli w milczeniu stając ostrożnie.

- To obcowanie od dziecka z lasem - pomyślał Miłosza, jakże jest teraz przydatne. Maćków szedł z tyłu i jakby ubezpieczał Miłosze. Zaczynało zmierzchać, a oni szli skupieni. Miłosza znał dobrze Krzyżaków, ponieważ jako sierota wychował się w grodzie krzyżackim. Biegał po lasach tego majątku, wypasał bydło, no a później uciekł do imć pana Kalesantego na służbę i tam też poznał Zembrzuskiego i Maćkowego, który służył jemu za wzór. Czuł się Polakiem związanym z tymi ziemiami, czuł to od dawna. Nagle ciszę przerwało rzenie konia, tylko na chwilę, ale to potwierdziło, że szczęście jest przy nich. Przycupnęli przy ziemi, nad słuchując. Z ziemi dobiegł ich uszu stłumiony stukot kopyt końskich. Jeźdźcy Krzyżacy byli już blisko. Nagle zobaczyli ich. Przodem jechał rycerz zakuty w zbroję. Na głowie miał hełm z pióropuszem, a przy boku potężny miecz. Za nim jechali jeźdźcy w białych płaszczach, a za tymi, zwykła jazda ubrana tak, jak ci dwaj przy rzece. Było ich około setki. Ci w płaszczach mieli hełmy na głowach, przy boku miecze, a pozostali uzbrojeni byli w kusze.

- Oddział silny - pomyślał Maćków. Trzeba dowiedzieć się, co zamierzają, a póki, co czekać na okazję sprzyjającą temu.

Gdy oddział ich minął ruszyli za nim bacząc pilnie. Jednak szybko zapadała noc i coraz trudniej było bezszelestnie śledzić Krzyżaków tym bardziej, że oni wjechali na polanę. Z przeciwka podjechało dwóch konnych do tego z przodu i zameldowali. Miłosza nad słuchiwał, a oni mówili.

- Polacy rozbili się obozem nad rzeką i dobrze pilnują obozu. Widzieliśmy, że z obozu nikt się nie oddalił. Czekamy na rozkazy. Ten pierwszy kazał im odpocząć i pozostałym również nakazał zsiąść z koni. Szybko rozkazał rozstawić warty. Maćków chciał uzgodnić z Miłosza, aby ten się wycofał i czekał na niego przy rzece, ale Miłosza - rzekł.

- Nie powinienem cię zostawiać.

Obaj, więc przykucnęli na chwilę. Miłosza był ubrany w krzyżacki strój, więc czuł się bezpieczniej. Miłosza wiedział, że aby się czegoś dowiedzieć musi zaraz wyjść z ukrycia i zbliżyć się możliwie najbliżej do tego w hełmie z białym pióropuszem, który jeszcze w tej ciemności było widać. Przytrzymał na chwilę rękę Maćkowego i wyszedł po chwili. Wmieszał się w oddział, którego część już siedziała, a część chodziła po polanie, co ułatwiło, Miłoszy podejście do dowodzącego. Krzyżacy mając zapewnienie, że nikt nie oddalił się z obozu polskiego czuli się swobodnie nie podejrzewając niczego. Podszedł Miłosza, jak tylko to było możliwe najbliżej i usłyszał wyraźną rozmowę.

- Musimy ich zaatakować skoro świt. Nocą podejźmy na tyle, aby szybkim doskokiem zaskoczyć ich, bo to jedyna szansa przed Krakowem.

W tej rozmowie uczestniczyło trzech rycerzy zakonnych w białych płaszczach, którzy natychmiast rozeszli się po polanie. Zaraz potem rozległ się rozkaz wymarszu i teraz już wszystko było wiadome. Trzeba na czas wrócić do swoich - pomyślał

Miłosza i niepostrzeżenie wszedł w krzaki w miejscu, gdzie spodziewał się spotkać Maćkowego. Jednak jego tam nie było. Rozejrzał się, wokoło, ale ciemności nie pozwalały widzieć daleko, więc szedł w kierunku rzeki sam. Wiedział, w którą stronę ma wracać. Gdy znalazł się przy rzece, wszedł cicho do wody z zamiarem przedostania się na drugą stronę. Wiedział, że będzie bezpieczniejszy. Nagle poczuł, że Maćków jest przy nim, gdyż tamten musnął go ręką po ramieniu. Poczuł się pewniej i pomyślał.

- Jak to dobrze, gdy są razem.

Po czym w milczeniu przebyli rzekę i gdy wyszli na drugą stronę zaczęli nadśłuchiwać, jednak żaden odgłos nie dochodził do ich uszu. Krzyżacy mimo znacznej odległości od obozu polskiego posuwali się bardzo cicho, widać, że znali swoje rzemiosło. Miłosza powiedział Maćkowemu, co usłyszał, a ten oznajmił.

- Nie mamy wiele czasu, więc czym prędzej ruszajmy w drogę.

Korzystając z tego, że brzeg rzeki był nisko, a rzeka porośnięta szuwarami i noc ciemna, biegli w kierunku swoich, a rzeka wytyczała im kierunek. Późną nocą dotarli wreszcie, bo obóz był blisko. Poznali to miejsce po moście i głosem puszczyka oznajmili swoim, że się zbliżają. Taki sam odgłos dotarł do nich z oddali. Gdy znaleźli się w obozie, natychmiast zbudzono Zembrzuskiego i pozostałą szlachtę. Radzili krótko, zdając rozkazy w ręce Zembrzuskiego. Zbysław również polecił słuchać jego rozkazów swoim. Tak samo uczynił Mścisław. Zembrzuski, jako że do świtu pozostało jeszcze trochę czasu, kazał położyć się wojom, by mogli jeszcze odpocząć. Znał plany Krzyżaków i teraz musiał znaleźć rozwiązanie. Mógł, co prawda odejść nocą, ale nie zwykł uchodzić z pola walki. Zaczął, więc myśleć, jakby zaskoczyć Krzyżaków, możliwie najlepiej. Przyjdą zza rzeki, czy przeprowią się przy lesie na naszą stronę. Pewnie przy lesie. Zgodził się z tym, że tak będzie, bo sam by też tak postąpił. Podjadą bliżej obozu, a gdy zobaczą most, pełnym galopem wjadą w obóz, chcąc zniszczyć wszystko z zaskoczenia. My tymczasem zostawimy obóz pusty i cofniemy się do tyłu. Zaraz wstał i poszedł rozejrzeć się po okolicy. Uszedł kawałek drogi i natknął się na zagłębienie w terenie, które kiedyś było odnogą rzeki.

- Pomyślał, że tutaj ukryje część ludzi.

Teraz poszedł w drugą stronę szukając dogodnego miejsca do ukrycia pozostałych. Szedł, aż doszedł do rzeki. Woda na tym brzegu była płytka i brzeg porośnięty. Nie ma, co, trzeba ustawić ich w zaroślach. Wrócił do obozu i o swoich planach powiadomił imć Kalesantego i Zbysława. Później kazał ludzi budzić, a gdy wszyscy w ciszy stanęli wokoło niego - powiedział.

-1 znów honoru musimy bronić. Mam wieści, że Krzyżacy z knechtami na nas idą i zamierzają o świcie nas zaskoczyć. Mości panowie, damy im nauczkę, jakem Zembrzuski. Moi ludzie i ja staniemy w wyschniętym korycie rzeki, która jest za nami. Ludzie Zbysława w szuwarach przy brzegu. Pięciu od Mścisława przy moście. Reszta za obozem. Ci ostatni niech się ukryją, by ich widać nie było. To jest mój rozkaz.

Imć Kalesanty z siostrzeńcem pozostali przy Zembrzuskim, a Zbysław został ze swoimi. Obóz pozostał pusty, ale był tak pozostawiony jakby wszyscy w nim spali. Teraz pozostało czekać. Wszyscy wiedzieli, że krzyżacki oddział liczy więcej ludzi, ale teraz zaskoczenie dawało przewagę rycerzom Zembrzuskiego i Zbysława. Nie

czekali długo. Krzyżacy przybyli skoro świt. Przeszli rzekę, tak jak przewidział Zembrzuski i korzystając z nocy podeszli blisko obozu polskiego. Gdy zaczęło świtać, zobaczyli obóz i byli pewni zwycięstwa. Ruszyli z mieczami w dłoniach. Wpadli do obozu tłukąc po namiotach przy rzece rozstawionych. Ktoś je podpalił. Gdy cały obóz zajął ogień, grad strzał posypał się na Krzyżaków. Knechci zaczęli padać, jeden po drugim. Powstała panika w ich szeregach. Część z nich ruszyła w kierunku rzeki, gdzie powitali ich strzałami ludzie Zbysława. W krótkim czasie na placu boju zostali Krzyżacy uzbrojeni w ciężką zbroję, których strzały z łuku nie mogły pokonać.

- Do koni, krzyknął Zembrzuski.

Za chwilę ludzie jego konno obstąpili Krzyżaków. Zagorzała walka. Krzyżacy zaskoczeni, oddawali pole ludziom Zembrzuskiego. I wtedy ruszyli ludzie Zbysława. To przekreśliło całkowicie plany Krzyżaków, którzy stawiali coraz mniejszy opór, gdyż wielu z nich poległo. Na raz kilku z nich przebiło się przez ludzi Zbysława i ruszyli w kierunku mostku.

- Trzeba im odciąć drogę, rzucił Zembrzuski, Maćkowemu. Ci z łukami ich nie zatrzymają.

I już za Krzyżakami ruszyło kilku rycerzy polskich. Jednak Krzyżacy mimo gradu strzał przejechali przez most. Tylko jeden z nich trafiony strzałą w szyję został na moście. Przejechawszy most, drugą stroną rzeki gnali w kierunku lasu. Jednak ciężka zbroja i ciężkie konie nie pozwalały umknąć przed ludźmi, na których czele jechał Maćków.

I znów zagorzała walka. Nie łatwo było przełamać opór zakutych w ciężką zbroję Krzyżaków, ale po pewnym czasie trwania walki, jeden z nich spadł z konia, potem drugi. To Maćków tak mieczem ciął, że trudno było im bronić się od ciosów, z taką siłą na nich spadały. Zbysław widząc, że w obozie Krzyżacy są rozbici, krzyknął na Bolka najlepszego swego rycerza, aby wziął kilku i przyłączył się do Zembrzuskiego i pomógł rozprawić się ze zbrojnymi. W chwili później Bolko gnał z pięcioma kompaniami przez most, a Krzyżacy widząc to zaniechali walki. Rozproszyli się i każdy z nich, a było ich czterech, ruszył w inną stronę szukając w ten sposób dla siebie ratunku. Jednak konie Polaków bardziej wypoczęte, a i mniejszy ciężar na sobie mając, bardzo szybko doszły uciekających, którzy widząc przy sobie dwu lub trzech Polaków porzucali miecze i unieśli ręce wysoko. Tak zakończyła się bitwa, w której poległo dziewięciu rycerzy polskich, zadając kilka razy więcej strat zakonowi, nie mówiąc już o tych, którzy dostali się do niewoli. Po uprzątnięciu pola bitwy i pogrzebaniu zabitych, jeźdźcy ruszyli w dalszą drogę do Krakowa prowadząc przed sobą Krzyżaków, którzy jadąc konno, mieli skrepowane ręce.

Imć Kalesanty, Zbysław i siostrzeniec konno jechali, gdyż kareta bardzo ucierpiała podczas napadu Krzyżaków. Koło było strzaskane i imć Kalesanty zarządził, aby zostawić ją przed mostem. Zembrzuski jechał w milczeniu. Miał dwóch rannych na szczęście lekko, ale jechał z zasepioną miną. Pokonali Krzyżaków, ale w walce zginął jego najlepszy i dawny przyjaciel, z którym w nie jednej bitwie bywał i któremu nawet życie zawdzięczał. Wiedział o tym teraz, gdy przyjaciel poległ nie mógł sobie z tą myślą poradzić.

- Cóż macie taką posepną minę mości komendancie - zagadał Maćków zbliżając się

do Zembrzuskiego.

- Polegli ludzie i szlochać trzeba, bo szkoda ich. Jak to jest, że na naszej ziemi musimy się bronić? Trzeba o tym z królem rozmawiać i wyjście znaleźć, aby się ich pozbyć.

- Niełatwa to sprawa - odezwał się Zbysław. Nie łatwo będzie to ścierwo wykorzenić, chyba, że mieczem zmusić.

I tak wywiązała się rozmowa, a rozmawiali po to, by nie myśleć o tym, co było, gdyż każdemu mimo wygranej ciążyła ta potyczka, ponieważ polegli i swoi. Po południu dojechali do osady zwanej Skała. Nosiła nazwę od skały potężnej, którą widać było z bardzo daleka. Chłopi widząc konnych z dala pochowali dzieci i kobiety. Później zobaczywszy, że to swoi, wszystko we wsi wróciło do normy. Jeńców zamknięto w szopie. Warty stanęły. Konie w cieniu znalazły swe miejsce na odpoczynek, a rycerstwo zasiadło pod ogromnym drzewem, gdzie stał stół potężny, a na nim jadło wnoszone przez białogłowy. Imć Kalesanty zajęty był rozmową ze starszym osady, ale i oni wkrótce zasiedli do stołu. Widać było, że dzieciaki bacznie przyglądały się rycerzom, jakby im zazdrościły zbroi i mieczy. Cień, który pod drzewem panował przynosił ulgę i apetyty, bo jadło znikало ze stołów. Wkrótce wszyscy najedzeni, zaczęli sposobić się do dalszej drogi, a imć Zembrzuski ponaglał tych, którzy chętnie nadal siedzieliby w cieniu tego drzewa. Wkrótce wszyscy byli w siodłach i opuszczali osadę kierując się w stronę lasu, gdyż przez niego prowadziła dalsza droga do Krakowa. Dwaj ranni ludzie Zembrzuskiego siedzieli prosto w siodłach i gdyby nie krew widoczna, a zaschnięta, nikt by nie poznał, że doznali ran w walce z Krzyżakami. Zembrzuski podjechał do nich, rzucił kilka słów i uśmiechnąwszy się popędził konia na czoło kolumny. Tu odezwał się do niego Mścisław.

- Myślę acan, że już do Krakowa nie przyjdzie nam wojować, bo gród blisko. Zembrzuski zamyśliwszy się chwilę - odrzekł.

- Mości dobrodzieju, gdy już miniemy mury grodu, wtedy to będzie prawda oczywista.

Na to Zbysław wtrącił się do rozmowy, gdyż też w szpicie konia prowadził.

- Dobra to cecha waść do końca być czujnym, dobra i mądra.

Dalej jechali w milczeniu, a w chwilę po tym Zembrzuski - powiedział.

- Zostawiam waści w przedzie, a sam jadę do tyłu, aby onego dobrze zabezpieczyć, na wszelki wypadek.

Zawrócił konia i popędził na koniec kolumny. W połowie spał konia i przyjrzał się Krzyżakom jadącym w środku orszaku. Zobaczył, że w białym płaszczu z krzyżem jedzie człowiek, który kogoś mu przypomina. Ta szrama nad okiem i plecy krzywe, z których szyja wychodziła na bok. Duża głowa i włosy kędzierzawe. Wszystko to od razu odżyło w jego wspomnieniach, ale nie mógł przypomnieć sobie skąd i gdzie widział tego człowieka. A i drab spojrzawszy na Zembrzuskiego wzrok spuścił i mogło się wydawać, jakby i on chciał coś zataić. Zembrzuski minął Krzyżaków, a zbliżywszy się do imć Kalesantego i jego siostrzeńca, powiedział.

- Do Krakowa już niedaleko i pewnie przed wieczorem staniemy u grodu. Po czym podjechał do Maćkowego.

- Słuchaj. W gronie Krzyżaków jest jeden, którego gdzieś musiałem widzieć. Duża głowa kędzierzawa, krzywe plecy i ta szrama nad okiem. Przypomina mi kogoś, ale

nijak nie mogę sobie przypomnieć. Może ty, obaczywszy go i będziesz wiedział. Maćków skinął głową, konia popędził i zrównał się z Krzyżakami, których teraz Bolko pilnował. I jemu od razu rzuciła się w oczy postać Krzyżaka. Podjechał bliżej i w jednej chwili stanął mu przed oczyma obraz potyczki stoczonej jakiś czas temu, w której z pewnością brał udział ów Krzyżak. Maćków podjechał bliżej i zagadnął Krzyżaka.

- Jak cię zwa? - Gotfryd, odpowiedział ten i odwrócił głowę, choć już wiedział, że został rozpoznany.

Maćków już wiedział, z kim rozmowę prowadzi.

- To ten sam, przed którego mieczem Zembruski cudem uszedł, gdy w tej potyczce zaatakował go podstępnie z tyłu. Wtedy w ogóle cudem uszli, jako że przewaga Krzyżaków była znaczna, i stąd właśnie obraz Gotfryda został mu w pamięci.

Maćków cofnął konia i podjechał do Zembruskiego.

- Mości komendancie, toż to ten sam Krzyżak, który ze swymi zaatakował nas gdyśmy wracali z wyprawy.

Zembruski dopiero teraz przypomniał sobie tamten dzień i wzdrygnął się na myśl, co byłoby, gdyby Maćków nie krzyknął na niego, a on nie zmusił konia do nagłego zwrotu. Tymczasem dukt, którym jechali wprowadził ich w otwarte pole. Zembruski spojrzał i zobaczył, jak Zbysław podnosząc rękę do góry zatrzymuje całą kolumnę. Podjechał bliżej i on również ujrzał trzech podróżnych siedzących przy lesie i strawę spożywających. Obok stały ich konie. Wprawne oko Zembruskiego od razu dostrzegło niepewność w oczach tych ludzi, ale oni w jednej chwili odzyskali wiarę i jeden z nich - rzekł.

- Do króla jedziemy - mości dobrodzieje na skargę. A ponieważ czasy nie pewne prosimy imć pana o przyjęcie nas do swojej kompani, bo wy też pewnikiem do Krakowa zdażacie. Jeszcze tę knieję, która jest za tym polem trzeba pokonać i gród w całej okazałości będzie widać. Zbysław przysłuchujący się tej rozmowie zagadnął.

- A na Krzyżaków, to macie skargę do króla, mości panowie?.

- Ano na Krzyżaków, których pełno wokoło. Rabują pałą, a nigdy nie przyznają się do tego.

- To prawda - pomyślał Zembruski, bo i on chciał o tym z królem rozmawiać.

Zgodził się, zatem, by dołączyli do nich, a powiedział ponadto.

- Mości panowie, dojedziemy do lasu po drugiej stronie i tam na postój się zatrzymamy. Trzeba i nam się posilić, a i konie niechby też odpoczęły.

To powiedziawszy w drogę ruszyć nakazał. Sam jechał teraz myśląc o Gotfrydzie. Wiedział, że to człek niebezpieczny, a rozum podpowiadał mu, aby baczniej jego pilnować. Tedy podjechał do Miłoszy i powiedział.

- Podjedziesz do jeńców, jednak trzymaj się od nich nie tak blisko i pilnuj tego z kędzierzawą głową. To niebezpieczny zakonnik, a gdyby zechciał uciec, ubij go. To powiedziawszy konia zawrócił i podjechał do imć pana Kalesantego.

- Kraków już niedaleko mości panie, ale myślę, że kłopotów naszych jeszcze nie koniec. Dlatego czujność zleciłem, podczas ostatniego przed grodem postoju.

Wkrótce przejechawszy pole znaleźli się przy lesie, gdzie Zembruski nakazał zatrzymać się. Jeńców zsadzono z koni, rozwiązano im ręce i również podano jadło, aby się posilili. Miłosza siedział niedaleko bacznie obserwując Gotfryda, tak jak mu

nakazał imć pan Zembrzuski. Teraz Zembrzuski jadł posiłek w milczeniu raz po raz bacząc na obóz, bo dalej nie był pewny swego. A pozostali myśleli o grodzie, który był przed nimi i o tym, czy król zaradzi coś na Krzyżaków, którzy z dnia na dzień rosną w siłę i panoszą się w ich kraju, a jednocześnie znakomicie udających, że oni nigdy i za nic nie ponoszą winy. Bo oni są tylko po to, by nauczać wiary. Po posiłku Zembrzuski odezwał się.

- Mości panowie, musimy omówić wjazd do Krakowa. Co zrobimy z jeńcami? W jaki sposób zmusimy ich, aby, gdy przed królem staną wyznali prawdę i powiedzieli z czyjego rozkazu, tak podstępnie napadają. Mścisław słuchał w milczeniu, po czym - odezwał się tymi słowy.

- Mości panowie.

Nie zdążył wypowiedzieć swych myśli, ponieważ w obozie zawrzało. W lot zorientowali się, że nastąpiła ucieczka Krzyżaków, którzy przy pomocy trzech przybyszów, którym Zembrzuski pozwolił się przyłączyć, zdołali zbiec w las, gdzie mieli przygotowane konie. Jedynie Gotfryd pozostał na skraju lasu trafiony strzałą wypuszczoną z łuku przez Miłosze. Zembrzuski - krzyknął.

- Na koń, mości panowie!

Ale okazało się, że w lesie czekało jeszcze kilku ludzi zakonnych z końmi i orężem, a tych trzech przyłączyło się do nich wcześniej, aby pomóc w ucieczce Gotfrydowi. Pościg trwał niedługo. Kilku dopadniętych zaczęło się bronić. Wywiązała się walka, w której Polacy przeważali. Krzyżacy nie chcąc iść do niewoli i tłumaczyć się przed królem Polski bronili się zaciekle, ale po dość długiej walce ulegli padając jeden po drugim. Kilku Krzyżaków umknęło. Gdy już ostatni spadł z konia żegnając się z życiem, Miłosza podjechał i rzekł do Zembrzuskiego.

- Mości komendancie, Gotfryd trafiony strzałą z mego łuku został, lecz nie wyzionął ducha. Jest pilnowany i myślę, że jego dowieziemy do Krakowa.

Zembrzuski rozkazał nie ścigać tych Krzyżaków, którzy zdołali ująć i nakazał odwrót. Niebawem wyjechali na skraj lasu, gdzie obozem stanęli. Zembrzuski podjechał do imć Kalesantego i powiedział.

- Z kilkoma rozprawiliśmy się, ale i kilku uciekło, więc musimy się mieć na baczności.

I odwróciwszy się - krzyknął na Miłosze.

- Gdzie jest Krzyżak? Chcę z nim mówić.

Miłosza wskazał na skraj obozowiska i Zembrzuski zobaczył Gotfryda, który miał owinięte ramię. Siedział ze spuszczoną głową, oparty o drzewo.

- Wyciągnąłem mu tą strzałą. Miał szczęście, że ześlizgnęła się po ramieniu w dół i utknęła pod pachą nie robiąc poważnej rany.

Ale wypuszczona była z łuku z taką siłą, że Gotfryd trafiony przewrócił się i został na skraju lasu pewnie licząc, że nikt nie zorientuje się, że on żyje. Stało się inaczej, gdyż Miłosza mając rozkaz pilnowania Gotfryda wywiązał się z niego należycie, za co Zembrzuski poklepał go po ramieniu i powiedział.

- Miło mi, że mogę polegać na tobie. Wspomnę o tobie imć Kalesantemu, aby miał ciebie w swej pamięci.

Miłosza rad był ogromnie z tych słów, ale wiedział, że na nie zasłużył. Zembrzuski zaś podjechał do Gotfryda i rzekł.

- Szczęście przy tobie, że żyjesz. Staniesz przed królem i powiesz, dlaczego i kto każe ci nękać Polaków. Już dawniej miałem pecha, gdy stanąłeś na mej drodze, ale teraz ty go masz. Dlaczego, jako Polak przeszedłeś na usługi krzyżackie i przyjąłeś imię Gotfryd?

Mówiąc to dostrzegł, że źrenice jeńca rozszerzyły się. Wiedział, że jego domysły były prawdziwe, ale i wiedział, iż Krzyżacy wyłgają się, że to nie ich człowiek. Zmartwiło go to odkrycie, a i zobaczył, że Gotfryd też sposepniał, bo przeczuwał, że przed królem nie będzie pobłażania. Zembrzuski powiedział do Miłoszy.

- Pilnuj go dalej, abyśmy tego łotra dowieźli do celu.

A Gotfryd już myślał nad tym, co mówić na wypadek, gdyby jednak przyszło mu stanąć przed królem polskim. Tymczasem Zbysław zaczął ludzi swoich zwoływać do dalszej drogi, tak samo czynił i Mściśław. Zembrzuski krzyknął.

- W drogę do Krakowa mości panowie!

Ścisnął konia kolanami. Ruszył przodem w las zagłębiając się. Wszyscy wiedzieli, że muszą być teraz nadzwyczaj ostrożni, gdyż w lesie mogą czaić się Krzyżacy, którzy uciekli wraz z tymi, którym pomogli. Imć pan Kalesanty jechał obok Zembrzuskiego. January rozglądał się wokoło i choć nie był rycerzem wiedział o zagrożeniu, jakie może nadejść. Jechali kolumną którą zamykali ludzie Mściśława. Gotfryd, z Miłosza jechali tuż za Zbysławem. W niedługim czasie dojechali do rozstajnych dróg, przy których stała stara figura z drewna, która twarz miała odwróconą w drogę kierującą się wprost do Krakowa. Wiedział o tym Zembrzuski, więc skręcił koniem w tę drogę. A do Kalesantego - rzekł.

- Postawili tę figurkę chłopci, którzy tu mieszkali w lesie. Jeden z nich wydlubał ją z kłoca drewna, aby podróżnym zmierzającym do grodu drogę wskazywała. Później Krzyżacy zniszczyli im wszystko, co mieli i po nich ślad zaginął, tylko ta figurka została. Gdyby tak mogła mówić, prawdę moglibyśmy poznać - mości panie.

Kalesanty słuchał w milczeniu, po czym rzekł.

- Ano gdyby umiały mówić nie musielibyśmy tego łotra ze sobą wozić.

To powiedziawszy odwrócił się i wskazał na Gotfryda. Ten również spojrzął na niego i zrozumiał, że o nim mówią, tylko nie wiedział, co, i to teraz zaczęło zaprzętać jego głowę. Pomyślał, czy, jako Polak nie był dogodnym świadkiem i chcą go się pozbyć, radząc między sobą gdzie i kiedy to zrobić. Ale szybko tę myśl odrzucił wiedząc, że Polacy nie stosowali takich metod. Uspokoił się nieco, a spojrzawszy, na Miłosze spode łba jechał dalej myśląc, że może jeszcze spróbują go odbić i jakimś cudem uda mu się ujść w knieję.

Tymczasem wjechali w gęściejszy las, gdzie królowały potężne dęby o rozłożystych konarach. Jeden z nich na szczęście nie tak okazały leżał w poprzek drogi zwalony piorunem, zapewne podczas potężnej burzy. W pierwszej chwili Zembrzuski pomyślał, że to zasadzka, ale drzewo nie wyglądało na ścięte. Mimo to krzyknął.

- Baczcie dobrze, aby nas coś nie zaskoczyło. Sam też zaczął obserwować wokoło. Ale wszędzie było cicho i spokojnie. Zsiadł z konia podszedł do drzewa leżącego na drodze i rzekł.

- Musimy je usunąć. Mości panowie, trzeba sił dołożyć.

Zaraz przy nim znalazło się kilkunastu osiłków, chcących zmierzyć się z dębem.

Razem zaparli się i drzewo drgnęło, ale nie przesunęło się nic. Wyprostował się



Zembrzuski i powiedział.

- Końmi je usuniemy, ale nie było jak tego uczynić, to też inna myśl przyszła mu do głowy.

- Wytniemy w tych zaroślach przejście i ominiemy drzewo.

Powiedział i zabrali się do wycinania. Nie przypuszczali ile trudu trzeba, aby wyrobić przejście, by konie z ludźmi mogły się przeprawić. Ale kiedy to już się stało odetchnęli z ulgą. Zwłaszcza Zembrzuski, który pomagał i teraz ponaglał, aby czym prędzej w drogę zwartą kolumną ruszać. Wiedział ile czasu stracili, a nie chciał, aby po nocy ludzi w grodzie niepokoić. To też, gdy zobaczył, że ruszyli, twarz mu pojaśniała. Odwrócił się i szukał wzrokiem Miłoszy i Gotfryda, a zobaczywszy ich w środku kolumny, oczy mu zabłyśły. Teraz znów jechał w milczeniu obserwując gęstą knieję, która ciągnęła się po obu stronach traktu, stwarzając nieprzyjemne wrażenie. Na szczęście po jakimś czasie rozjaśniło się, gdyż wyjechali z gęstwiny, a wjechali w las dla oka przyjemniejszy, bo o żywej zieleni, połyskującej w promieniach słońca. Minęli ten las i zobaczyli polanę, na której dopiero, co, ktoś musiał przebywać, gdyż ognisko było jeszcze ciepłe, a ślady po koniach stanowiły, że było tu nie tak dawno pół setki rycerzy ciężko zbrojnych, jako że i konie musiały być bardzo ciężkie, pozostawiające głębokie ślady. Zembrzuski uważnie przyjrzał się śladom i kierunkowi, dokąd one prowadzą.

- Ktoś z grodu pewnikiem tu dojechał i zawrócił, ale, po co? Nie mógł to być oddział jadący przed nimi, ponieważ musiałyby tak jak i my ominąć drzewo.

Myślał, ale nie znalazłszy sensownej odpowiedzi wsiadł na konia i rzekł.

- Nie ma, co myśleć, czas wszystko wyjawi.

I rzeczywiście bardzo szybko rozwiązała się zagadka, gdyż w niedługim czasie dojechali do innego traktu prowadzącego z południa i znów po obu stronach las gęsty zalegał. Zembrzuski pomyślał, że ci, którzy tu jechali musieli znać knieję, bo wróciwszy w stronę polany nadłożyli drogi, ale było to miejsce dobre i jedyne do wypoczynku. Gdyby nie dąb i stracony czas przy nim, zapewne spotkaliby się z ludźmi z polany, a tak, oni są daleko przed nimi. Dalej droga prowadziła przez niesamowitą gęstwinę po obu stronach.

- Prawdziwa puszcza - pomyślał Zembrzuski. - Te chaszcze nie do przebycia, ale dające możliwość nie myślenia o jakiegokolwiek zasadzce.

Dopiero, gdy słońce zniżyło się, wyjechali z lasu i oczom ich, ukazała się w konarach drzew, daleko jeszcze przed nimi, potężna wieża połyskująca w zachodzącym słońcu.

- Sprawia wrażenie - ozwał się im Kalesanty.

- To już Kraków, mości panowie.

ROZDZIAŁ drugi

Zatrzymawszy się na skraju lasu gród potężny przed sobą mając stali jak zauroczeni, bo większość rycerzy jeszcze takiego grodu na oczy nie widziała. Tylko nieliczni mogli się tym poszczycić, że widzieli gród krakowski będąc w nim osobiście.

- Tak jak powiedział im Kalesanty, oto gród znamienity przed nami.

- Staniemy tu krótko i niechaj każdy swój wygląd poprawi ażeby wszyscy, którzy nas zobaczą wjeżdżających do grodu, zapamiętali rycerzy spod herbów Działosza i Bekesz.

To powiedziawszy zwrócił się do Miłoszy.

- Teraz ciebie zastąpi Maćków. On będzie pilnował Gotfryda, a ty będziesz chorągiew trzymał wjeżdżając na dwór królewski. - Zasłużyłeś na to. Do drugiej chorągwi wytyczy kogoś imię pan Mścisław.

Po chwili do drugiej chorągwi został wyznaczony Bolko. Przygotowania do wjazdu trwały krótko i już uformowany oddział zbrojnych ruszył ku miastu. Przodem jechali imię panowie Kalesanty, Zbysław, January i Mścisław, tylko przed nimi podążali z chorągwiami Miłosza i Bolko. Gród coraz wyraźniej widać było, coraz potężniejszy się stawał, gdy przybliżali się do niego. Potężne ceglaste mury oplatały go wokoło, jeno wyższy strzelisty słup i wieże górowały nad nim dowodząc swej wielkości. Nad murami górowały gdzieś potężne drzewa stanowiące o tym, że gród to stary i znamienity. W murach widniały otwory strzelnicze i także same umieszczone były w basztach. Z oddali dochodził dźwięk dzwonów.

- Muszą być potężne - rzekł Zembrzuski. - Jesteśmy jeszcze daleko od grodu, a słyhać je tak wyraźnie.

Słońce chyliło się blisko horyzontu, gdy dojechali wreszcie do bramy grodu, która natychmiast została otwarta. Wjechali do miasta. Miłosza z niedowierzaniem, które było w jego oczach, przyglądał się grodowi. Zresztą nie on jeden, prawie na wszystkich gród zrobił ogromne wrażenie. Przejechawszy aleje wybrukowaną zobaczyli dziedziniec okrągły, na którym moc koni stała. Były one pilnowane przez kilku ludzi, którzy siedzieli na ogrodzeniu obserwując wszystko dokoła. Zobaczyli dużo zatkniętych chorągwi z herbami, które stanowiły czyje to konie tu stoją. Podjechali bliżej. Zobaczyli potężnego chłopca kierującego się ku nim, który podniósł rękę, jakby ich pozdrawiając.

- Witam w grodzie mości dobrodzieje w imieniu króla polskiego. - Tu możecie konie zostawić i chorągwie, a tu dalej jest zajazd, w którym głód zaspokoicie możecie. - Jak wiecie, jutro odbędzie się sejmik, na którym Jego Królewska Mość będzie was gościł, i na którym będzie rozmawiał z wami o sprawach dotyczących naszej ziemi.

To powiedziawszy jeszcze raz podniósł rękę do góry z pozdrowieniem i odwróciwszy się odszedł. Zembrzuski poczekał, aż szlachta z koni zsiądzie i dopiero teraz z konia zeskoczył, a za nim zsiadli pozostali. Przywiązali konie do ogrodzenia i weszli do olbrzymiej sali, w której gwar był niesamowity. Zembrzuski podszedł do imię Kalesantego i powiedział.

- Mości panie, muszę odłączyć od was, by zabezpieczyć należycie tego łotra Gotfryda, by nam nie uciekł.

To powiedziawszy poszedł do Maćkowego, który pilnował Gotfryda.

- Jedźcie za mną.

Skierowali się na drugą stronę dziedzińca, gdzie były okna zakratowane i jak wiedział

Zembrzuski, tam będzie mógł zostawić Gotfryda do dnia jutrzejszego.

Wszedł na schody i zakołatał do potężnych drzwi. Po chwili usłyszał szcęk zasuw i w drzwiach stanął drab o głowę wyższy od Zembrzuskiego.

- Mości panowie, mamy naszego, który przeszedł na usługi zakonu i który z polecenia jego różne czyny nikczemne czynił. Został przez nas pojmany i będzie jutro przed króla, jako świadectwo zdrady postawiony, a jednocześnie powie, kto z

zakonu wydał mu rozkaz, aby napaść na nas w drodze do Krakowa. On wie, że jeśli tego nie uczyni głową zapłaci, a jeśli powie dobrowolnie dozna łaski.

- Możecie być spokojni o niego. Odpowiedział drab.

- Już my go tu przetrzymamy. - Od nas jeszcze nikt nie uciekł.

To mówiąc przejął Gotfryda i w głąb poprowadził. Zembrzuski poszedł również zostawiając Maćkowego na schodach. Po chwili zobaczył Gotfryda w ciasnej celi z głową opuszczoną, celi przedzielonej kratami od korytarza. Drab zamknął kratę i odezwał się do Zembrzuskiego.

- Możecie być spokojni Mości panie, już ja go dopilnuję. - Tu mamy więcej różnych obwiesi i nie tylko jego trzeba pilnować.

Zembrzuski rozejrzał się i dopiero teraz zobaczył, że w wielu celach siedzą ludzie, którzy w grodzie prawo naruszyli. Spokojny ruszył korytarzem kierunku potężnych drzwi i wyszedłszy na schody powiedział do Maćkowego.

- Spokojny jestem teraz o Gotfryda. - Idziemy wreszcie zjeść wieczerzę i czas na odpoczynek.

To mówiąc skierował swe kroki przez dziedziniec ku gospodzie. Wszedłszy z Maćkowym zobaczyli, że ich ludzie jak i Zbysława siedzieli przy stołach pod ścianą, a po drugiej stronie siedzieli rycerze Mściława. Na sali panował gwar i toczyła się ożywiona rozmowa kilku biesiadników. Kilku spało przy stołach, zapewne za dużo przedtem wypiwszy. Usiedli, a imć Kałasanty zapytał.

- Załatwiliście z Gotfrydem? - Tak, mości panie.

- To dobrze, teraz trzeba czekać dnia jutrzejszego.

Gwar na sali nie cichł, a przeciwnie zmagął się, gdyż gości przednich przybywało. Zjeżdżała się szlachta ze wszystkich stron, bo i powód był nie błahy. Naraz imć Kałasanty spojrzął w drzwi i dostrzegł znajomego sobie imć pana Dokutowicza. A i Dokutowicz zobaczywszy Kałasantego uśmiechnął się do niego i doszedł zagadawszy.

- Miło mi imć pana widzieć, mości dobrodzieju.

- A i mnie również.

Odparł Kałasanty. Dokutowicz usiadłszy koło niego żywą dysputę zaczął prowadzić. A było, o czym mówić, bo i oni mieli przygody z Krzyżakami, z którymi dwukrotnie się starli straciwszy kilku swoich. Gdy świece zaczęły przygasać, gwar cichł i wreszcie zapanowała cisza. Ludzie zmęczeni podróżą i walkami z Krzyżakami pojadłszy i napiwszy się posnęli przy stołach i nawet nikomu nie było w głowie szukać spania inszego. Dobrze słońko zaczęło grzać, gdy znów gwar się zaczął i to obudziło imć Kałasantego, który wstał przeciągnął się i powiedział jakby sam do siebie.

- Sen zmógł mnie tak szybko, że sam nie wiedziałem, kiedy. Już po chwili usłyszał głos Dokutowicza.

- Mnie mości panie też mrok na oczy padł, a przecież tak dużo nie wypilem. Trzeba by głowę zimną wodą zlać, co by jasne myśli do niej przychodziły.

Imć Kałasanty zaśmiał się.

- Waści zawsze żarty się trzymają, a tu dzień najpoważniejszy przyszedł.

Tak rozmawiali ze sobą, aż na salę wszedł dostojnik ubrany po dworsku w asyście trzech rycerzy zbrojnych.

- Witam w imieniu Najjaśniejszego Króla Jagiełły, mości panowie. Zaraz po jedzeniu szlachta uprawniona do udziału w sejmiku uda się na dwór królewski, gdzie sala jest przygotowana. Rad jestem, że tylu waści zjechało w trosce o nasze dobro. Wszyscy wysłuchali tej mowy w milczeniu. Nawet imć Kalesanty pobladł na myśl, że wreszcie przyszedł czas, by kraj ratować od błędów popełnionych w przeszłości. Bardzo szybko szlachta uporała się z potrzebami i zaczęła zbierać się pod gospodą, a gdy już tłum nie przybywało ruszyli w kierunku dworu. Szli w milczeniu ubrani różnokolorowo i ten barwny korowód przeszedł przez plac zamkowy i znalazł się w korytarzach zamku, gdzie został przeprowadzony przez dostojnika do sali tronowej. Goście zajęli miejsca w ławach przygotowanych dla nich. Imć pan Kalesanty z siostrzeńcem usiadłszy w drugim rzędzie mieli Kokutowicza i Mścislawa przed sobą, zaś Zbysław zasiadał za nimi. Gdy na sali zrobiło się cicho, bo każdy znalazłszy miejsce zasiadł, ozwały się dzwony i na salę w towarzystwie świty składającej się z dostojników, a również i osobistości kościelnych wszedł król Polski Władysław Jagiełło. Król przywitał zebranych i zasiadł przed nimi. Za nim uczynili to wszyscy z orszaku. Imć pan Kalesanty poczuł, że krew zaczyna mocniej krążyć w jego żyłach, bo dawno nie brał udziału w takiej ceremonii. Rzekł.

- O ileż piękniejsze byłoby to powitanie, gdyby kraj był wolnym. Wtem król wstał i przemówił.

- Mości panowie. Szlachto Rzeczypospolitej! Zwołałem ten sejmik, by zaczerpnąć opinii waszej, co do dalszych losów ojczyzny naszej. Chciałbym abyście szczerze mówili, co waszmościom na sercu leży. Może wspólnie Rzeczypospolitą naprawimy? Powiedziawszy to król usiadł i ręką dał znak, by dysputę rozpocząć. Wstał imć pan Dowgiałło, jeden z najstarszych ludzi na sali i rzekł.

- Królu nasz, nie możemy tolerować dłużej wyczynów krzyżackich, którzy podstępnie grabią nasze ziemie. Ogniem i mieczem zwalczają opór. Prawych ludzi Rzeczypospolitej, w lochach trzymają. Kpią sobie z prawa naszego. Coraz więcej ziemi znajduje się w ich posiadaniu. Napadają naszych, a my na swej ziemi musimy się bronić. Trzeba położyć kres temu, królu i ruszyć póki nie jest za późno. Król podparłszy brodę słuchał w milczeniu, a Dowgiałło mówił dalej.

- Jadących do Krakowa na sejmik zakonnicy atakowali, takie słuchy doszły do mnie. Nie możemy pozwolić na to, Mości Królu.

Teraz Jagiełło spytał.

- Kto, z waszmości starł się z Krzyżakami, jadąc do Krakowa? Niech wstanie. Wstali, a król głową pokiwał, bo było ich dwunastu. Było, zatem pewne, że w dwunastu przypadkach, Krzyżacy napadli na ludzi Rzeczypospolitej zdążających do Krakowa i poginęli ludzie w tych walkach. Król zasepił się. Wiedział, że musi wysłuchać ludzi i nie kierować się emocjami, oraz podjąć trudną decyzję, co dalej robić. Jednocześnie teraz wiedział, że Rzeczypospolita jest zbyt słaba, aby stawić czoło zakonowi.

Wiedział, że trzeba sojuszu z Litwą, aby móc się rozprawić z Krzyżakami. Wiedział również, że ciężkie czasy nadeszły nad Rzeczypospolitą. Gdy Dowgiałło skończył mowę, głos zabrał imć Kalesanty.

-Królu, przyjechałem z mymi ludźmi z Wołynia i w drodze do grodu krakowskiego czterokrotnie odparliśmy ataki Krzyżaków. Wyglądało na to, że chcieli abyśmy zawrócili nie dojechawszy do Krakowa. Tylko dzięki waleczności ludzi naszych,

dojechaliśmy i będziemy zawsze na tej ziemi.

Rozległy się brawa, ale w tej chwili drzwi na salę rozwarły się i wszedł Hynek z Rogowa rycerz znamienity. Podszedł do Jagiełły i powiedział coś do króla. Zaraz wyjść chciał, lecz Jagiełło odezwał się tymi słowami.

- Nie mam tajemnic, mów waść głośno, aby wszyscy usłyszeli. Hynek powtórzył.

- Poselstwo od Wielkiego Mistrza Krzyżackiego zjechało do Krakowa i was Królu o audiencję prosi.

- Jakem powiedział nie mam tajemnic przed naszymi, więc niech wejdą i wyjawią cel swego przybycia.

Hynek wyszedł z sali, a po chwili wielkie drzwi rozwarły się i stanęło w nich trzech zakonników ubranych w zbroje, które było widać spod długich płaszczy. Pierwszy z nich Zygfyd. Skłoniwszy się królowi Polskiemu powiedział.

- Najjaśniejszy panie, w imieniu Mistrza Zakonu chcę złożyć skargę, na niektórych z tych ludzi, którzy tutaj siedzą na sali za to, że przywykli mieczem rozmawiać z braćmi zakonu. Podczas, gdy jechali oni do Krakowa w kilku miejscach pobili braci zakonnych, przeto proszę wielki Królu w imieniu Mistrza Zakonu o ukaranie winnych, by w przyszłości takie zdarzenia miejsca nie miały.

Na sali powstała wrzawa, którą król rękę podniósłszy uciszył.

- Ja mam inne wieści - powiedział, ale najlepiej niech powiedzą to ci, których ta sprawa bezpośrednio dotyczy.

Las rąk podniósł się do góry, ale król wskazał na Dokutowicza.

- Mów waść.

Opowieść Dokutowicza była krótka. Mówił jak podczas ich postoju na skraju puszczy, gdy do spania się sposobili zjadłszy wieczerzę jeden ludzi zameldował, że widział przez moment Krzyżaka im się przyglądającego.

- Najjaśniejszy Panie, choć była to szarówka, w blasku ognia zobaczył twarz. Nie był to nikt z naszych. Po chwili twarz zniknęła. A my na szczęście ostrzeżeni, czujność zdwoiliśmy, a oni, gdy ognie przygasły ruszyli na nas. Myśleli, że nas zaskoczą i łatwo się z nami rozprawią. Mości królu, oni nie stają do walki jak rycerze, tylko podstępnie śmierć zadają.

- Fałsz.

Krzyknął Krzyżak, ale król Polski upomniał Zygfyda, że te słowa wypowiedział sławny rycerz, który w przeszłości zawsze był ceniony za prawdę w słowie. Tym bardziej teraz, gdy lata spadły na niego, a głowę pokryła siwizna. -Mów waść dalej. Rzekł król do Dokutowicza, a ten ciągnął zeznanie.

- Wywiązała się walka, ale my czujni nie daliśmy się zaskoczyć. Mając przy swoim boku rycerzy znamienitych odparłem ich ataki. Kilku z nich zostało, gdyż zlegli, a byli to knechci, ale i u nas też ludzie poginęli. U nich jeden starszy poległ i został, a miał przy sobie to oto pismo.

To mówiąc Dokutowicz wyjął zwinięty rulon, rozwinął go i przeczytał. Był to rozkaz wydany w Malborku mówiący o tym, aby ludzi zmierzających do Krakowa rozbijać, by tym samym wywołać niepewność w Rzeczpospolitej. Dokutowicz skończył, a Zygfyd za przykazaniem króla zaczął.

-Taki rozkaz nigdy nie był wydany, mości Królu. Wiara nam na to nie pozwala i nigdy nie podzegliśmy braci zakonnych do napaści.

Na sali znów wrzawa powstała i każdy chciał coś powiedzieć, ale król zdecydowanie uciszył wszystkich i wskazał na imię pana Kalesantego. Kalesanty podniósł się powoli i rzekł.

- Królu najjaśniejszy i wy mości panowie. Wszyscy wiemy, że to prawda, co rzekł mości Dokutowicz. Znam go tak dawno, że za jego słowa ręczę. My też czterokrotnie odparliśmy ataki zakonu w drodze do grodu. Zginęło przy tym kilku moich ludzi, a my dzięki temu, że w bojach jesteśmy zaprawieni ostaliśmy, by świadczyć prawdę. Kiedyś może staniemy naprzeciw braci zakonu, ale nigdy nie podstępem, tak jak to oni czynią.

To powiedziawszy siadł, a król rzekł do Zygryda.

- Czy to też nie prawda?

- Nie prawda - odparł Krzyżak. Tak jak już powiedziałem. Wiara nasza nie pozwala nam na takie czyny.

Wtem drzwi na salę otwarto i Zygryd ujrzał w nich Gotfryda, za którym stał Maćków. Król skinął, aby podeszli bliżej, jednocześnie bacznie obserwował Zygryda, który tego się nie spodziewał. Szybko jednak otrząsnął się i zaczął mówić.

- Człowiek ten zbuntował kilkudziesięciu braci i uciekł z nimi od nas. Rad jestem, że go widzę pojmanego, przeto korzystając z okazji w imieniu Mistrza Krzyżackiego proszę Najjaśniejszy Panie o zwrócenie nam jego, by zakon mógł ukarać go za winy, jakich dokonał.

Gotfryd poczuł, że to może przynieść mu wolność zwiesił głowę i czekał. Ale król - rzekł w te słowa.

- My go ukarzymy przykładowo. No chyba, że prawdę powie, wtedy łaskę otrzyma. Mów, co masz do powiedzenia! A bacznie zważ słowa swoje, abyś później niczego nie żałował.

Teraz Gotfryd zrozumiał, że jeśli powie, iż Zygryd ma rację mówiąc, że on uciekł z zakonu nic mu to nie pomoże, bo i tak głową zapłaci za to, że napadał na Polaków. A jeśli przyzna się i okaże skrucę, może tak, jak król powiedział, łaskę otrzymać. To zastanowienie się Gotfryda, już było przyznaniem się do winy. Wiedział o tym Król Polski i rzekł.

- Chcesz mówić? Czasu nie mamy aż tyle, by go tracić.

Gotfryd zrozumiał, że aby głowę ocalić jedno wyjście mu zostało - powiedzieć wszystko. I powiedział.

- Z zakonu nie uciekłem, wykonywałem do końca rozkazy jego, a teraz proszę królu o łaskę.

- On kłamie - krzyczał Zygryd. Wie, że zakon ukarałby go śmiercią za ucieczkę i napady na Polaków, a u ciebie królu ratunku szuka dla swej głowy.

Gotfryd głowę opuścił i czekał na decyzję króla, a król powiedział.

- Osądzimy cię później, bo teraz nie zebraliśmy się w tym celu. A do Zygryda - rzekł.

- Przekaż Wielkiemu Mistrzowi Zakonu, że z poselstwem do niego wybrać się zamierzam i jeżeli dojdzie do tego spotkania omówimy wszystko, co nas i zakon tyczy.

Widać było, że Zygryd nie jest zadowolony z takiego obrotu sprawy. Z miną posępną skłoniwszy się królowi wyszedł, a za nim dwóch braci zakonnych. Gotfryd

został odprowadzony przez Maćkowego do celi, a na sali wśród szlachty widać było nerwowość związaną z kłamstwami Zygryda. Król uciszył wszystkich i powiedział.

- Bardzo cenię sobie mości panów wypowiedzi i wszystkie pod uwagę wezmę w imię dobra Rzeczypospolitej. Dalszy ciąg obrad przenoszę na dzień jutrzejszy.

To powiedziawszy wstał, a wszyscy z sali skłonili głowy podnosząc je dopiero, gdy drzwi do sali zamknęły się za królem. Majestatycznie, powoli i w milczeniu opuszczali salę, tak jakby każdy myślał już, co przyniesie dzień jutrzejszy. Od Zembrzuskiego dowiedzieli się, że w grodzie organizują różne zawody.

- Mają odbyć się walki, strzelanie z łuków i kuszy do celu. Jazdy zręcznościowej na koniach.

Zembrzuski potrzebował zezwolenia od imć pana Kalesantego na udział w zmaganiach.

- A weź waść ludzi i ja sam chętnie popatrzę, tylko postarajcie się, aby wszyscy zobaczyli, jakich rycerzy na Wołyniu mamy.

Imć Zembrzuski jakby na te słowa czekał, a usłyszawszy je odwrócił się do swoich i powiedział.

- Mamy przyzwolenie wziąć udział w turniejach. Ustalimy, kto, w jakim orężu szczęścia spróbuje.

Wybrany i bardzo szczęśliwy był Maćków do walki na miecze, Przeclaw do walki na topory i Miłosza, który przy pomocy łuku sławy miał szukać. Później przyszła wiadomość, że w turnieju również mając zgodę króla zmierzą się i bracia zakonni, którzy z Zygrydemjeszcze na zamku ostali. Zygryd wierzył, że tu pokazując swoją wyższość w walkach ukażą, że gdyby napadali na Polaków i gdyby to była prawda nie przegrywaliby w tych bitwach. Taka myśl zaświtała w głowie Zygryda i natychmiast poczuł, że wygrywając w turnieju zmienić może zdanie Króla Polskiego. I z tego chciał Zygryd skorzystać, a że mając w swych szeregach dobrych rycerzy zaryzykował i dlatego zgłosił ich, aby brali udział w walkach. Po południu, gdy wszyscy posilili się w gospodzie zaczęli zbierać się na podzamczu. Było to ogromne pole przylegające do murów obronnych, na którym to polu miały odbywać się walki. Od strony murów stały podwyższenia, na których mieli zasiąść obserwatorzy i które już teraz w połowie były zajęte. Na samej górze stał fotel czerwienią wyłożony dla Jego Królewskiej Mości, gdyż wszyscy wierzyli w to, że król Jagiełło zaszczyca ich swą obecnością. Na niższym rzędzie zasiedli bracia zakonni z Zygrydem i widać było, że zadowolenie mają, bo oczy im świeciły bystro. Naraz rozległy się słowa.

- Król idzie.

Wszyscy wstali z pokłonem, a król Jagiełło usiadłszy ze swymi przybocznymi nakazał turniej rozpoczynać. Za chwilę pierwsza para do walki stanęła. Walczyli na miecze. Naprzeciw Maćkowego stanął tak jak i on okryty zbroją Melesław z Chorągwi Częstochowskiej. Król dał znak i walka się rozpoczęła. Maćków ruszył ostro i zbijał mieczem, ale Melesław bronił się dzielnie parując ciosy. Jednak z biegiem czasu sił nie starczało, gdyż uderzenia Maćkowego były piekielnie mocne. Z obozu Melesława była rzucona chusta na murawę i walka została przerwana. Maćków skłonił się królowi i uniósłszy miecz nad głowę wrócił do swoich. Usiadł ciężko dysząc. W drugiej parze przed obliczem zebranych ukazał się potężny Krzyżak zakuty w pancerz, a naprzeciw niego mniejszy wzrostem rycerz od

Mściława zwany Dowgiłłem. Walka, choć bardzo zacięta nie trwała długo, a z niej zwycięsko wyszedł Krzyżak, który teraz hełm z głowy zdjawszy spojrzał triumfalnie. Zygfyrd z zadowolenia zagryzł wargi i rad był, że wszystko układa się po jego myśli. Wstał i poprosiwszy o głos króla, a zgodę uzyskawszy, powiedział.

- Rycerze zakonni nie przegrywają tak łatwo, jak to waszmościowie mówicie. Sami widzieliście. Dam sygnet ten oto temu, kto stanie z nim do walki i słowem tym zwycięstwem zaprzeczy.

Maćków spojrzał na Zembrzuskiego, a ten kiwnął głową, jakby zgodę wyraził.

Maćków wstał, ale za nim znalazło się więcej chętnych do walki z Krzyżakiem.

Jednak Maćków był pierwszy. Założył hełm na głowę, a i Krzyżak postąpił tak samo. Król dał znak. Padły ciosy z obu stron z niesamowitą siłą i Krzyżak zachwiał się jednak przy kolejnym uderzeniu, ale szybko wrócił do równowagi. Jednak Maćków napierał nieprzerwanie. Dość długo trwało to zmaganie i dopiero teraz widać było, że siły Krzyżaka opuszczają ale nadal broni się chytrze. Na raz dwa potężne uderzenia spadły na niego i po drugim miecz wypadł mu z dłoni, a ostrze miecza Maćkowego znalazło się na wprost szyi Krzyżaka. Rozległy się oklaski. Krzyżak spuścił głowę i odszedł do swoich. Maćków stanął na wprost Zygfyryda i powiedział.

- Nie walczyłem Panie dla pierścienia twego. Chciałem wygrać, aby rozwiało się to, na co tak Panie liczyłeś po cichu w swoich myślach.

Król uśmiechnął się, bo zrozumiał, że ma do dyspozycji nie tylko ludzi silnych, ale i mądrych. Zygfyrd pobladł, bo nie spodziewał się takiego upokorzenia. Teraz jeszcze mocniej przygryzł wargi i postanowił w tej chwili, że sam stanie do walki na topory z kimś godnym siebie. Obwieścił to wszystkim, lecz król, aby uspokoić atmosferę nakazał, aby teraz odbyło się strzelanie do celu, a tamtą potyczkę odłożyć na czas późniejszy. Liczył, że Zygfyrd zmieni zdanie, lecz on nadal obstawał przy swoim wierząc w siebie. Był przecież rycerzem w wielu bojach zaprawionym i właśnie topór był jego ulubioną bronią. Tymczasem ustawiono już cele dla łuczników. Odległość od razu była znaczna, aby tylko ci najlepsi do walki stawali. Stanęło do niej również kilku knechtów krzyżackich z nadzieją że może któryś z nich poprawi humor Zygfyryda, który teraz ochłonawszy zrozumiał, że zagalopował się w swoich poczynaniach. Ale słów już cofnąć nie mógł. Dopiero teraz żałował swej porywczosci. Pomyślał, co będzie, gdy znajdzie się ktoś, kto go pokona? Jak to przyjmą w Malborku, gdy się dowiedzą. Strach, choć za wszelką cenę nie chciał pokazać tego, ścisnął go za gardło. Ale, już król dał znak, by zawody strzeleckie rozpoczynali. Strzelcy musieli być naprawdę wyśmienici, aby trafić do tarczy nie mówiąc już o punktach na niej wyznaczonych. Po pierwszej serii strzałów, która trwała dość długo, jako, że każdy mierzył starannie zostało trzech knechtów i siedmiu wojów polskich. Wśród nich znalazł się Miłosza, na którego w jego stronach mówiono, że urodził się z łukiem w ręku. Jednak po pierwszym strzelaniu prowadził rycerz od Mściława Dowgiłł, który wszystkie trzy strzały w jednym miejscu osadził blisko środka tarczy. Miłosza jedną ze strzał miał w sam środek, ale dwie pozostałe zeszły nieco niżej. Teraz te strzały miały zdecydować o zwycięstwie. Tarczę przesunięto jeszcze kilka kroków w tył i jako pierwszy wziął do ręki łuk knecht, który stanął przy linii. Naprężył cięciwę, przymierzył dokładnie i puścił. Strzała pomknęła i trafiła w żółte pole, a więc nieco poniżej środka. Drugi strzał był celniej



szy, gdyż strzała trafiła na przecięcie żółtego z czerwonym, a więc bardzo blisko środka. Krzyżak po raz trzeci naciągnął cięciwę, ale ten strzał był już nie tak celny. Strzelali następni, lecz do tej pory on był najlepszy, aż przyszła pora na Miłosze, któremu Kalesanty powiedział.

- W twoich rękach chłopcze, spoczywa godność nasza. Więc nie zawieź nas, a gdyby tak się stało nie rozpaczaj, boć to przecież zawody i wszystko się zdarzyć może.

Miłosza wyszedł skupiony. Nawet słów, których mówił do niego imć Kalesanty nie słyszał, choć patrzył na niego, gdy ten je wypowiadał. Cisza nastąpiła wokoło nim pierwsza strzała wymknęła się z łuku wypuszczona przez Miłosze. Zaswiszczała dziwnie i pomknęła do celu. Po chwili rozległ się krzyk, bo strzała stanęła w samym środku tarczy. Krzyk nie trwał długo, bo Miłosza znów przymierzył i znów strzała pomknawszy ze świstem utknęła w czerwieni. Miłoszy zdawało się, że jest sam, tam gdzie się urodził, tam gdzie zaczął uczyć się strzelania od ojca swego, tam gdzie pierwszy raz zaczął trafiać bezbłędnie do celu. A tu przymierzył tak jak tam i trafił po raz trzeci w sam środek tarczy. Wygrał i pokonał wszystkich, ale najbardziej cieszył się ze zwycięstwa nad knechtami krzyżackimi. Zygfryd poczerwieniał, a król Polski Władysław zadumał się na chwilę.

- Dobrze, że takich wojów mam młodych jeszcze, a już w bojach zaprawionych. I przyszedł czas na ostatnie walki, te najcięższe, gdzie tarcze i topory w ruch iść miały. Zygfryd przygotowywał się do nich przy pomocy knechtów, którzy w zbroję go zakuwali. Wtem król wstał i oznajmił, że walka na topory będzie jedna i z naszej strony stanie do niej Hynek z Rogowa.

- Hynek wyznaczony przeze mnie stanie do tej walki.

Zapadła cisza, bo nikt nie spodziewał się takiego rozwiązania. Tylko Hynek wiedział, bo prosił króla o to. Wiedział i Zygfryd, dlaczego tak się stało. Kiedyś przed rokiem Zygfryd spotkał kuriera polskiego jadącego do króla i złapawszy go umieścił w baszcie. Kurier ów nie chcąc zdradzić tajemnicy, z czym do króla jechał wzrok stracił, po czym w niewoli życie sobie odebrał. Takie wiadomości otrzymał wtedy Hynek, a kurier był jego bratankiem. Teraz, choć nie na śmierć, ale chciał się zmierzyć z Zygfrydem, by ta walka, choć trochę go uspokoiła. Kiedy już gwar ucichł i cisza nastąpiła wokoło rozległy się uderzenia toporów i szczęk tarcz. Walka trwała długo, to Hynek, to Zygfryd byli w opałach, na przemian. Pot spływał im po twarzach, ale było widać zmęczenie tylko u Zygfryda, który hełm z głowy zrzucił. Ale przez to, że nie miał hełmu było widać również prerażenie, gdyż coraz mniej sił w nim pozostawało. Hynek nacierał jeszcze mocniej, choć również pot zalewał mu oczy. I nagle starli się tarczami tak mocno, że Zygfrydowi topór wyleciał z ręki, a nogi zgięły się i runął na kolana. W ciężkiej zbroi nie mógł się podnieść i walka została przerwana. Zygfrydowi knechci przyszli z pomocą a on ich odtrąciwszy wstał z wysiłkiem niesamowitym i wtedy usłyszał głos Hynka.

- Myślę, że doczekam się chwili, gdy Bóg mi pozwoli, abyś naprawdę zginął z mojej ręki.

To powiedziawszy Hynek odwrócił się i ciężko poszedł do swoich, by wyzbyć się zbroi, która dopiero teraz zaczynała mu ciążyć. Skończyły się walki, a i król opuścił w wielkim zadowoleniu wszystkich zebranych. To samo uczynili w dużym pośpiechu

Krzyżacy, którzy już wcześniej z królem uzgodnili, że po walkach odjadą. I tak się też stało. Przed wieczorem Krzyżaków już w zamku nie było, a polscy rycerze i szlachta, do późnego wieczora, a właściwie nocy siedząc w karczmach prawili o tym, co się stało dzisiaj. Tylko ci, którzy brali udział w zawodach siedzieli cicho, jakby jeszcze raz to przeżywali. Do późna w nocy gwar nie cichł, ale gdy koguty piąć zaczęły, dopiero na dobre zapanowała cisza. Ale czy wszyscy spali? Nie. A czas bezlitośnie biegł i po chwili nowy dzień nastał znów słoneczny, piękny. Po śniadaniu szlachta zaczęła się sposobić do drugiego dnia obrad, które niebawem się rozpoczęły. Rozpoczął je król, tymi słowami.

- Dziękuję tym wszystkim, którzy w dniu wczorajszym chwały orężowi polskiemu przydali pokazując, jaką mamy odpowiedź na butę zakonu. Ja król Polski, chylę czoła przed nimi.

To powiedziawszy usiadł, a głos zabrał podskarbi królewski. Rozmowy toczyły się o finansach, których jakże wielkie były potrzeby na wypadek wojny z Krzyżakami. Rozmowy to poważne, to też przeciągały się długo i dopiero teraz wszyscy uświadomili sobie, że w chwili obecnej nie stać Rzeczypospolitej na prowadzenie wojny z Krzyżakami. Tu odezwał się Jagiełło.

- Mości panowie, czekajmy cierpliwie i róbmy wszystko, aby kraj znów do potęgi doprowadzić. Póki, co, będziemy paktować z Litwą i przymierza z nią szukać, aby w przyszłości Swidrygiełło stanął za nami u boku naszego rycerstwa, a przeciw Krzyżakom.

To powiedziawszy król podziękował wszystkim i o poufności obrad przypomniawszy oddalił się z sali. Przedtem jednak pobłogosławił wszystkich znakiem krzyża ręką wykonanym. Szlachta polska stała w milczeniu, a gdy król wyszedł i oni zaczęli wychodzić rozmowy prowadząc. Dało się odczuć, że nikt z obecnych nie był zadowolony z tego, że Krzyżacy będą dalej na ziemiach naszych się panoszyć, a jednocześnie ludzie rozumieli sytuację, w której była Rzeczpospolita. Część szlachty zaraz po obradach sposobiała swe oddziały do wyjazdu z grodu. A imć Kalesanty podszedł do Zembrzuskiego i powiedział.

- Na jutro trzeba gotować się do drogi. Dzisiaj jeszcze dowiemy się, jaki los spotka Gotfryda, no i gród trzeba na spokojnie obejrzyć, bo nie prędko znów obaj w nim staniemy.

- A któż to może wiedzieć - odparł Zembrzuski.

Lecz tych słów już Kalesanty nie słyszał. Zbysław również na jutrzejszy dzień wyznaczył wyjazd do Trzyciąża i rad był, że razem pod gród z ludźmi imć pana Kalesantego przybędzie. Jednakże Mściśław zarządził, aby Dowgiłło zebrał ludzi i wyruszyli przed wieczorem. Spieszno mu było do domu, gdyż żona jego rodzic miała, a i syna jak mówił chciał, czym prędeż obaczyć. Ruszyli pośpiesznie, aby do nocy możliwie jak najwięcej drogi ubyło. A w grodzie, Kalesanty dowiedział się, że Gotfryd do wieży został przeniesiony, a król przyrzekł wziąć pod uwagę skrucę jego przy wydawaniu wyroku. Koniec dnia szybko minął i noc ubyła niebawem i wszyscy od imć Kalesantego i Zbysława w drogę do domów ruszyli. Skoro świt otwarły się bramy grodu przed nimi. A dalej już droga we wschodzącym słońcu jaśniała. Jechali w milczeniu. Kilka koni szło luzem trzymany na postronku, a na jednym z nich koło od karety przytroczone było, które imć Kalesanty kazał w grodzie dorobić.

Chciał, bowiem, gdy dojadą do rzeki koło założyć, by dalszą drogę kareta przemierzać, gdyż ze względu na lata, które sobie liczył kareta wygodniejszą dla niego była. Póki, co jechał konno obok Zbysława rozglądając się wokoło. I znów po czasie dojechali do kniei tej gęstej, w której trakt jeno drogę wytyczał. Zapuściwszy się w niego dostrzegli ślady koni Mścislawa, który tędy wczoraj ze swoimi przemierzał. Ale Zembrzuski zobaczył ślady kilku koni lżejszych zostawione po prawej stronie duktu, gdy tymczasem ślady głębokie widać było wyraźnie z lewej strony.

- Co, to za ślady - pomyślał i myślą tą podzielił się z imć Kalesantym i Zbysławem.

- Myślisz waść, że to mogą być ślady knechtów krzyżackich, którzy w kusze zbrojni jadą na koniach lżejszych, a szybszych?

- Wszystko możliwe mości panie - odrzekł Zembrzuski. Oby tylko nie było tak jak mi myśli przychodzą.

I odwróciwszy się baczenie obserwował, po czym ruszył do przodu. Zbliżył się do Maćkowego.

- Musisz uważać. Knechtów krzyżackich przed sobą mamy. Może jakąś zasadzkę szykują. Bądź czujny. A do Miłoszy -rzekł.

- Gdy, zbliżymy się do polany pojedziesz przodem i zobaczysz, czy przy zwałonym drzewie czegoś nie knują.

Sam wiedział, że Krzyżacy pojmaliby chętnie kogoś z ważniejszych, aby wywiedzieć się prawdy, o czym radzili z królem na sejmiku w Krakowie. Byłyby to przecież dla nich ważne wieści. Wkrótce dojechali do polany i oczom ich ukazał się straszny widok. Cały widok to polana zasiana trupami i konie leżące dookoła ubite.

Rozejrzawszy się wokoło zsiadli z koni i zobaczyli Mścislawa z mieczem w rękę, który leżał przy koniu przebity włócznią. Na rękach nie miał pierścieni, które zwykł nosić. Pozostały tylko ślady po nich. Także i rycerzy jego było widać, że po walce leżeli porozrzucani po polanie. Za to nie było widać ani jednego Krzyżaka, który by leżał w pobliżu.

- Widać zabrali swoich, aby nie spadła na nich odpowiedzialność. Z pewnością Mścislaw tanio nie sprzedał swojej skóry. Ale jaką siłą musieli nastąpić, aby go pokonać.

Na razie to pozostało tajemnicą. Zembrzuski wysłał jednego ze swoich, by powrócił do Krakowa i przekazał wiadomość o śmierci Mścislawa i jego rycerzy.

- Czyżby Zygfyrd zemścił się za swoje niepowodzenia w grodzie. Przecież wyjechał z niego wcześniej. I jak musiał zaskoczyć Mścislawa, by tak go pokonać. Przecież wyjeżdżając z Krakowa jego oddział nie przedstawiał tak znacznej siły.

To były pytania, które zaprzętały umysły wszystkich rycerzy, którzy zobaczyli Mścislawa i jego ludzi pokonanych. W końcu odezwał się imć Kalesanty.

- Musimy zebrać ich i mogiłę zrobić, a potem wyślemy jednego z naszych z wiadomością do grodu Mścislawa, by nie oczekiwali ich po próżnicy.

To powiedziawszy wyznaczył ludzi do kopania grobu, a pozostali znosili ciała w pobliże dołu. Po ceremonii pochówku krótko stali w milczeniu nad mogiłą, po czym wsiedli na konie i udali się w dalszą drogę. Słońce nie wiadomo, kiedy przechyliło się ku zachodowi, a oni przecież tak nie daleko oddalili się od Krakowa i już tyle nieszczęść się wydarzyło. Dojechali do zwałonego drzewa i wyciętym przejściem

przeszli na drugą stronę. Spiesząc się oddalili od ponurego miejsca, miejsca ostatniej drogi Mścislawa. Chcieli jeszcze za widoku, opuścić tę puszczy. Przed zmierzeniem wyjechali z niej. Tylko po lewej stronie ciągnęła się ona jak okiem sięgnąć. Przed sobą mieli ogromne połacie ziemi niczym nieprzystłonięte i choć jechali w milczeniu przeżywając to, co stało się na polanie, widać było, że konie raźniej idą z woli jeźdźców. Imć Kalesanty podjechał do Zembrzuskiego i rzekł.

- Cofnij waść rozkazy, wszyscy pojedziemy do grodu Mścislawa. Nadłożymy drogi, by zobaczyli i nasze smutne twarze. Może trza będzie komuś pomóc, a tego jeden jeździec nie załatwi.

Zembrzuski natychmiast rozkaz wycofał, aby jeździec, który się już szykował do drogi od kilku chwil, pozostał. Widząc zdziwienie w jego oczach - powiedział.

- Nadłożymy drogi, a sami zawieziemy wieści do grodu Mścislawa. Tak postanowił imć pan Kalesanty.

To mówiąc wrócił na przód jazdy, gdzie Kalesanty jechał ze Zbysławem.

- Powiedziałem tym z tyłu, aby uważali. Tutaj też ludzie wiedzą mości panie.

Rozkazy wydałem.

- To dobrze - odparł Kalesanty.

Korzystając, że droga zbliżyła się do lasu na tyle, że trzeba by dobrze cięciwę naciągnąć, aby strzała do niego doleciała, stanęli.

- Tu na noc staniemy, ale w pierwej posilimy się nieco, a i konie niech odpoczną, aby jutro były dobrze gotowe do drogi - rzekł Kalesanty.

Zsiedli z koni, a Zembrzuski powiedział.

- Dobre miejsce waść wybrałeś, tylko teraz warty postawię, co byśmy mogli spokojnie wypocząć.

Po chwili wszyscy już jedli w milczeniu i po ciemku, jako, że ogniska nie były palone. Tylko na niebie bezchmurnym gwiazd było bez liku, a i księżyc rozjaśniał tę ciemność. Nikt w obozie się nie odzywał, wszyscy jedli w milczeniu, a po zjedzeniu, niektórzy zaczęli przygotowywać legowiska. Zembrzuski jeszcze raz obszedł warty i czujność nakazał, choć wiedział, że Kalesanty miejsce bezpieczne wybrał. Świt obudził go pierwszymi promieniami słońca, podniósł się i rozejrzał wokoło.

Dostrzegł konie, które pasły się w pobliżu, a których dwóch ludzi od Zbysława pilnowało. Po chwili już wszyscy byli na nogach, a imć, Kalesanty krzyknął.

- Wyjeżdżamy mości panowie zaraz, aby drogi nadłożyć, bo gdy przyjdzie skwar z nieba będziemy mogli zaszyć się w cieniu i gorąc przeczekać.

Te słowa jakby rozbudziły niektórych, bo po chwili wszyscy w siodłach siedzieli, a chorągiew z herbem Działosza znalazła się na przedzie. Do południa przejechali znaczną drogę i dopiero teraz ich oczom ukazała się rzeka. Podjechali do niej, aby konie spragnione mogły się napić i ochłodzić. Tak stali jakiś czas. Po czym imć Kalesanty odezwał się tymi słowy, do Zbysława.

- Myślę, że waść nie będziesz miał nic, przeciwko, co byśmy i my wykapali się w rzece.

Zbysław zaśmiał się. Gdy konie się napiły, wyjechali na brzeg i zsiedli z nich.

- Nie daleko tu, powinien być most a przy nim kareta - rzekł Kalesanty do Zembrzuskiego.

- Może wysłać dwu ludzi z kołem, aby do niej je założyli i przyjechali nią tutaj.

- Nie mości dobrodzieju - odezwał się Kalesanty. Razem do niej po odpoczynku pojedziemy, tak bezpieczniej będzie.

Nim się obejrżeli rycerstwo już w wodzie siedziało. Poszli bliżej drugiego brzegu, gdzie woda głęboka była, ale nie na tyle, by gruntu pod nogami nie mieli. Długo siedzieli w wodzie, aż głód przypomniał o sobie, wtedy ruszyli z wody, wychodząc na brzeg. Przyglądał im się Zembrzuski, który dopiero teraz dostrzegł w ich oczach inny wyraz od tego, jaki mieli, gdy zobaczyli ludzi Mścislawa pobitych. Coś dziwnego, przecież już widzieli w swym życiu nie jedno i w niejednej bitwie brali udział, a nigdy nie widział ich tak posepnymi. Dobrze, że nad brzegiem rzeki kępa drzew była, więc w niej obozem się rozłożyli, aby przeczekać skwar. Dopiero teraz Zembrzuski rozkazy wydawszy, co by obozu pilnować w kierunku wody poszedł i dostrzegł imć Kalesantego, oraz Zbysława, którym tylko głowy z nad wody wystawały. Wszedł i zanurzył się przy drugim brzegu i chwilę postał. Poczł przyjemny chłód wody i pomyślał.

- Gdyby tak nie trzeba było obawiać się wrogów, życie nie było by takie złe.

Po chwili był już na brzegu wróciwszy do rzeczywistości, za którą jako dowódca odpowiadał. W chwilę później dostrzegł imć Kalesantego i Zbysława w obozie. Lżej mu się jakoś zrobiło, usiadł przymknął oczy, a było tak jakoś spokojnie, że dopiero teraz przyszedł czas, by pomyśleć o swoich. Miał, bowiem dwóch synów i córkę, których bardzo kochał. Żony nie, gdyż ta umarła przy porodzie ostatniej córki. Wiedział, że oddała się widzenie z nimi, gdyż przyszło zboczyć z drogi, aby do grodu Mścislawa wieści smutne zawieść. Z tych rozmyślań wybił go krzyk.

- Mości komendancie, przed chwilą z lasu wyjechało trzech jeźdźców, a za nimi jeszcze kilkunastu, którzy zdaje się, że ich gonią.

Zembrzuski wstał i spojrział. Rzeczywiście od strony południowej, choć jeszcze daleko było, nadjeżdżało trzech jeźdźców, którzy gnali, co koń wyskoczy. Przewaga była znaczna, więc Zembrzuski zdecydował.

- Jada w naszym kierunku ku rzece, jakby w niej ratunku szukali. Konie nasze przytrzymać, a gdy już nas miną, wyjeżdżamy im naprzeciw.

- Zatrzymamy tych, co ich gonią?- Odezwał się Zbysław.

Po chwili już wszyscy wiedzieli, co mają robić. Oczekawszy chwilę, gdy uciekający ich mijali objeżdżając drzewa - ruszyli. Zbysław bez trudu zatrzymał uciekających, gdyż oni dojechawszy do rzeki konie spięli. A Zembrzuski pognął za goniącymi, bo dostrzegł, że są to knechci krzyżacy. Widząc, że tamci nie chcą się zatrzymać, a zawróciwszy uciekają, dał znak ręką i kilku łuczników, a wśród nich i Miłosza wysunęło się naprzód. Ci w pełnym galopie naciągnęli łuki i wypuściwszy strzały zobaczyli jak trzech knechtów zsuwa się z koni spadając na ziemię. Jeszcze raz łuki naciągnęli i zaświszczały strzały i tym razem dwóch knechtów wyrzuciwszy ręce spadło z koni. Byli już blisko, mając konie wypoczęte i wtedy knechci wiedząc, że są bez szans konie zatrzymali. Zembrzuski ze swymi ludźmi dojechał do nich i teraz zobaczył, że niektórzy mają na sobie kolczatki, a uzbrojeni są w lekki miecz i kusze przewieszane przez plecy.

- Dlaczego goniliście tych ludzi?

Odezwał się. Wtedy jeden z Krzyżaków powiedział.

- To są buntownicy z Piaskowej Skały. Miał być wyrok na nich wykonany z

polecenia komtura zakonu. Ścigamy ich, aby przed jego obliczem stanęli - powiedział ten, który pewnie nimi dowodził.

- A skąd tak dobrze naszym językiem mówisz. Odezwał się Zembrzuski.

- Jestem już długo na tych ziemiach, a głowę mam dobrą. Odezwał się Krzyżak.

- A mamy waszych uciekających, tak, że zaraz prawdy dowiemy się.

To powiedziawszy nakazał przodem Krzyżakom ruszyć, a najstarszemu zapowiedział.

- Powiedz swoim, że jeżeli któryś z nich broni dobędzie zginie.

Tak dojechali do kępy drzew, w której siedział Zbysław z ludźmi swymi i trójką uciekinierów. Stały też trzy konie mocno spienione i ciężko jeszcze oddychające.

Zsiedli z koni, a Zembrzuski nakazał Krzyżakom broń zdjąć i zostawić na uboczu.

Tak też uczynili nie mogąc nic innego zrobić.

-Dajcie tę trójkę.

Odezwał się Zembrzuski. Po chwili dwóch chłopaków i białogłowa stanęli przed nim.

- Kto, waści? Odezwał się Zembrzuski.

- Jesteśmy z małej osady rybackiej w dole rzeki panie. Kilka dni temu knechci napadli na nas. Kilku ludzi od nas uciekło za rzekę, kilku zabili, a nas zabrali do zamku, skąd uciekliśmy. Pomógł nam w tym jeden zakonnik, nie wiemy, dlaczego, ale pomógł i stąd tu jesteśmy.

- A konie skąd macie?

- A od zakonnika - mości panie. Zembrzuski spojrzał na imię pana Kalesantego.

- Możliwe to, aby w zakonie byli i dobrzy ludzie. Kazali przywołać knechtów krzyżackich i Kalesanty rzekł.

- Rozkaz wypełnialiście tedy wolno was puszczyć, jednak bez broni. Oni z nami zostaną.

Tu wskazał na trójkę młodych.

- Jako, że wedle prawa nic nie popełnili.

Dowodzący Krzyżakami zrozumiał, co to oznacza i rad był bardzo, że jego głowa i kamratów na miejscu ostatecznie. Wziąwszy konie natychmiast ruszyli w drogę skąd przybyli odprowadzeni wzrokiem, Kalesantego. Skwar, który dokuczał wkrótce minął i imię pan Kalesanty nakazał w drogę ruszyć w kierunku mostu, gdzie mniemał, że karetka jeszcze stoi. Do uciekinierów odezwał się Zembrzuski.

- Pojedziecie z nami jakiś czas, a później możecie wracać do swoich. Ale ten starszy szybko - rzekł.

- Zabierzcie mnie na służbę do siebie panie, będę rozkazy wszystkie wypełniał.

Widziałem jak moich knechci ubili i nie mamy, po co z siostrą wracać. Jego bliskich też ubili, wskazał na młodego.

- Jak ci na imię? Spytał Zembrzuski.

- Dobrosław, a to siostra Dobra, a ten oto smyk, lecz już dzielny Janko.

- Podjedziecie z tą prośbą do imię pana. Wskazał Kalesantego.

- Dobrze ma on serce to i was może zrozumie.

Starszy podjechał do Kalesantego i przez chwilę coś mówił. Widział Zembrzuski, że Kalesanty zastanawia się chwilę i nagle zobaczył twarz Dobrosława pełną uśmiechu, po czym Dobrosław skłonił głowę przed imię Kalesantym i powiedział.

- Sługą wiernym waści będę, przysięgam na rodziców moich poległych w grodzie. A

on, jeszcze mały.

Tu spojrział na Janko.

- Ale ręczę za niego, bo to dobry chłopak. Kalesanty wysłuchał go, po czym powiedział.

- Szybko wypocząłeś. Jedź tedy i zmień tego, który chorągiew naszą trzyma. Teraz ty nas pod nią poprowadzisz, boć przecież już należysz do Działoszy.

Dobrosław ruszył ostro i bardzo był rad, że taki zaszczyt go spotkał. Chorągiew przejął i dumnie przodem jechał. Przed wieczorem dotarli do mostu i już z daleka zobaczyli, że po karecie jeno popiół został i części żelazne, których ogień nie strawił.

- To psu braty. Odezwał się Kalesanty.

- Nawet i temu nie dali spokoju.

Teraz zły był, że Zembrzuskiego nie posłuchał, gdy ten mówił, aby wysłać umyślnie z kołem dwóch ludzi. Może przybyliby w porę i karetę uratowali. Może teraz wygodniej zniósłby trudy dalszej drogi. W chwilę po tym złość mu minęła, bo przejechawszy most postanowili, że tutaj zanocują.

- Wspaniałe miejsce przy wodzie, bardzo dobre na nocleg - rzekł Kalesanty. Prędko rozbiwszy obóz, a jadło z koni zdjąwszy, szykowali się do wieczerzy. Dobrosław z siostrą i Janko siedzieli przy chorągwi, jakby czuwali nad nią. Zadowoleni byli z tego, że ze zbrojnymi jadą, że kawałek świata zobaczą i może teraz zmieni się ich życie na lepsze. Gdy już wszyscy pojedli, a warty sprawdzone przez Zembrzuskiego, nastąpiła cisza w obozie i noc przeszła spokojnie. Gdy rano na dobre wstał już w drodze byli. Miłosza teraz dopiero przyjrzał się dziewczynie. Jechała ona obok Kalesantego, gdyż tak waść zarządził. I Kalesanty również to zobaczył. Widział zachwyty w oczach Miłoszy i pomyślał.

- Dobraną parą byliby, on czarny jak król nocy, a ona z płowymi włosami.

Ale odwrócił wzrok, by Miłosza mógł się napatrzeć. A i dziewczyna dostrzegła wzrok Miłoszy i uśmiechnęła się do niego i na twarzy koloru czerwonego jej przybyło. Kalesanty zobaczył, że koń Miłoszy coraz bliżej drobi, więc ozwał się tymi słowami.

- Podjedź bliżej. Gdy Miłosza to uczynił - rzekł do niego.

- Jedź koło niej, a pilnuj jej bacznie, aby nic się jej nie stało w drodze. Może kiedyś nagrodę, gdy się dobrze wywiążesz - otrzymasz?

Miłosza podjechał do dziewczyny, ale nie zdobył się na żadne słowo, więc pomyślał.

- Lepiej było zerkać okiem i jechać obok, a mieć ją na oczach, a tak szybko dałem się złapać. Mogłem spoglądać tylko od czasu do czasu, a nie tak.

Nagle odezwała się białogłowa.

- Jak ci na imię? Bo mnie Dobrawa.

To mówiąc spojrziała na Miłosze. Zmieszał się lekko, ponieważ żadnej dziewczynie do tej pory nie musiał swego imienia wyjawiać, ale odparł.

- Miłosza mnie zwa.

- Ładnie.

Powiedziała dziewczyna i zarumieniła się jeszcze bardziej. Dalej już jechali w milczeniu, dopiero po pewnym czasie Miłosza znów się odezwał.

- Powiedz, dlaczego tak dobrze konno jeździsz? Widziałem jak galopowałaś ze swoimi i nigdy bym nie przypuszczał, że to dziewczyna ucieka z nimi.

- Często z ojcem jeździłam na polowania.

- To i orężem władasz nie źle?

Spytał Miłosza i uśmiech zawitał na jego twarzy.

- Ano, władam.

Odrzekła dziewczyna i jakby na potwierdzenie tego wyciągnęła ręce po łuk Miłoszy, który miał przez ramię przełożony. Zdjął go i podał wraz ze strzałą wyjętą z kołczanu. Dziewczyna podniosła łuk do góry i kątem oka zobaczyła w górze sępa, który zniżał lot, jakby zdobycz wypatrzył i wtedy strzała pomknęła ku niemu.

Zatrzepotał się w górze i runął na ziemię. Miłosza pokiwał głową. A i imć Kalesanty i Zembrzuski to widząc byli szczerze zdziwieni. Zembrzuski pomyślał o córce, którą również konno jeździć nauczył, gdyż od małego garnęła się do koni.

- Ale żeby tak łukiem władać? Kalesanty odezwał się.

- Jeszcze jednego rycerza masz waść w swojej drużynie. Po czym zaśmiał się.

- Ciekawym, co ona jeszcze potrafi.

Dziewczyna widząc zdziwienie Miłoszy - powiedziała.

- Dlaczego głową kiwałeś? Czy dlatego, że ja też potrafię mocną cięciwę należycie naciągnąć.

- Nie tylko. Odparł Miłosza.

- Myślę, że na białogłową umiesz dużo. Ale dziewczyna nie powinna zajmować się orężem, a domem.

- Na to mam czas jeszcze, bo nikt się o moją rękę nie stara.

Tu odezwał się imć Kalesanty, do którego te słowa z wiatrem przyleciały.

- Myślę, że nie będziesz musiała długo czekać mości panno, przy takiej urodzie.

I znów się zaśmiał. Po tym wywodzie imć pana Kalesantego rozmowa ucichła, albowiem panna speszyla się nieco, a i Miłosza zasępił się myśląc, o kim jeszcze Kalesanty mówił.

- Ważne, że mnie ją pod opiekę dał - pomyślał. Chciałbym, aby ta panna długo, pod tą pieczę była.

Dobrosław i Janko jechali na przedzie, a obok nich Maćków, który przyglądał się Dobrosławowi, gdy ten chorągiew w rękę trzymał.

- Silny jest, jedną ręką na wietrze, chorągiew utrzymuje. Pod okiem Zembrzuskiego szybko wyrośnie na rycerza.

Dobrosław dumny jechał z tego, że tak krótko jest w obozie, a takim zaszczytem został obdarzony. Po chwili Zbysław zatrzymał jeźdźców, bo dojechali do traktu, przy którym Mścisław ze swymi przyłączył się do nich i jakby teraz czekał na decyzję Kalesantego. A Kalesanty podjechawszy do przodu powiedział.

- Tak jak rzekłem, do grodu Mścisława zawieziemy wiadomość, no a później do domu.

Na to odezwał się Zbysław.

- My jednak, mości dobrodzieju tu pożegnamy się i na Trzyciąż ruszamy. Martwię się o swoich, co by się im nic nie przydarzyło. Czasy takie niepewne, a was, jeśli będziecie do domu wracali serdecznie zapraszam.

Kalesanty rozumiał jego obawy, bo niedaleko od Trzyciąża zakonni klasztor wznosili i zubożała ta okolica z bezpieczeństwa. Pożegnali się ze Zbysławem i rycerzami jego i ruszyli na trakt, który prowadził do grodu Mścisława. Miał on w herbie swoim orli



pazur, a nad nim miecz. Ruszyli. Zembrzuski zamyślił się.

- Znów w mniejszej sile przyszło im jechać i jeszcze nie do domu swego - rzekł do Kalesantego. Przejedziemy drogą w pole, a zbliżywszy się do lasu damy koniom wypocząć i rozejrzemy się wokoło, co by jakaś niespodzianka na nas nie spadła.

- Dobrze - rzekł imć pan Kalesanty.

I raźniej popędzili konie. Znalazłszy się bliżej lasu miejsce na nocleg upatrzili.

Wysłał Zembrzuski, Maćkowego z dwoma rycerzami, aby okolicę zbadali. Ci od razu wypuścili się w kierunku lasu, bacznie obserwując, czy śladów jakiś, ktoś nie zostawił przy lesie, ale nigdzie nic nie było widać. To też zawrócili, a do obozu wyjechawszy zameldował Maćków Zembrzuskiemu.

- Mości komendancie, śladów przy lesie nie widzieliśmy. Wydaje się, że noc spokojną będziemy mieli.

Zembrzuski spokojny podszedł do imć pana Kalesantego, który siedział na siodle i rozmawiał z dziewczyną, oraz Miłosza. Zobaczywszy zbliżającego się Zembrzuskiego - zagadnął.

- Co waść za nowiny niesiesz?

- Wrócił Maćków ze zwiadów, pojechali pod las i przemierzili kawał drogi przed nami, ale żadnych śladów nie zauważyli.

- Zanosi się, że noc będziemy mieli spokojną. Ale na wszelki wypadek będziemy czuj ni jak zwykle.

Teraz i Zembrzuski odezwał się do dziewczyny.

- Ciężkie życie mości panno w drużynie. Trzeba spać pod gołym niebem, niekiedy jeszcze pilnie baczyć, aby się rano żywym zbudzić.

- To drugie to prawda, ale to pierwsze nie - odparła dziewczyna. Zwykłam spać pod gołym niebem, gdyż z ojcem na polowania często jeździłam. W lesie spaliśmy i tam inny wróg, niż tu na nas czyhał. A dyć, w lesie pełno niedźwiedzi - dodała.

- Odważna szelma - pomyślał imć Kalesanty. A jak wie, co odpowiedzieć. Miłoszy coraz bardziej się podobała. Po tej rozmowie humory wszystkim się poprawiły, a jeszcze, gdy pojedli sen mimo zmęczenia nie przychodził. Dobrawa oparła się o brata, a obok niej legł Janko, nieco dalej Miłosza, któremu też myśli sen odbierały, myśli o Dobrawie. Chciał, aby już był ranek, aby mógł ją, choć widzieć.

A i Dobrawa usypiając o nim myślała. Świt wstał, a ich obudził potężny głos imć Kalesantego.

- Do drogi czas się sposobić, abyśmy jeszcze dziś u grodu Mćcisława stanęli.

Niebawem wszyscy już w siodłach siedzieli i znów Dobrosław chorągiew trzymając prowadził jezdnych. Obok niego jechał Maćków. Długo jechali wzdłuż lasu, jako że trakt tak prowadził, ale nagle droga załamała się w las skracając.

- Musimy tu waść jechać - ozwał się Maćków do Zembrzuskiego. Pojadę pierwszy, jeśli waść pozwolicie.

Zembrzuski kiwnął głową i Maćków ruszył. Przemierzył drogi kawał, ale nic nie zobaczywszy wrócił.

- Przed nami droga bezpieczna, mości komendancie - rzekł do Zembrzuskiego.

- Przynajmniej na razie - rzekł Zembrzuski.

Zagłębiwszy się mocno w las ujrzeli człowieka idącego drogą naprzeciw nim.

Podjechali bliżej niego. Zembrzuski spytał.

- Kto, waści i dokąd zmierzasz?

- Jestem Spytko, kiedyś rycerskiego stanu. Teraz do domu wracam od Krzyżaków. Przesiedziałem w ich lochach dwa roki i dzień temu zostałem puszczony, bo to dla mnie dalsza kara. Wiedzą o tym zbóje. Na jedno oko słabo widzę, a w rękach miecza już nie poradzę. Tedy, gdy uznali, że bać się mnie nie muszą, puścili, abym dalszej goryczy zaznał.

-A gdzie jest twój dom - zapytał imć Kalesanty.

- Do Trzyciąża idę, mości panie, do grodu Zbysława.

- Niedawno rozstaliśmy się ze Zbysławem, gdyż razem w Krakowie u króla na sejmiku byliśmy - ozwał się imć Kalesanty.

- To Zbysław żyje? Przecież już dawno Krzyżacy mówili mi, że ducha u nich wyzionął, a przedtem wszystko to, co chcieli im powiedzieć.

- To nie prawda, co mówili Krzyżacy? Zbysław zdrów i na Trzyciąż ruszył w obawie o swoich. Myśleliśmy, że z nami pojedzie, ale rozstać się musieliśmy. Mamy jednak zaproszenie od Zbysława i jeno powinność naszą spełnimy na tenże Trzyciąż i my pojedziemy. Jedź waść z nami, bo sam do Trzyciąża nie dojdiesz pieszo. A u nas dobrze pożywisz się i sił nabierzesz.

Spytko chwilę nie wiedział, co począć, a pomyślawszy - rzekł.

- Dzięki ci panie, pomyślałem chwilę nie nad życiem swoim, bo jego już prawie nie mam. Pojadę z wami mości panie, bo choć iskierkę nadziei mi daliście, że jadąc z wami przeżyję i może kiedyś przyjdzie chwila, że odwdzięczę się Krzyżakom za wszystko.

- Dajcie tu konia - krzyknął imć pan Kalesanty i picie i kawał mięsiwa też podajcie. Gdy już koń stał gotowy do jazdy przed Spytkiem, Maćków wsadził go na konia, gdyż ten sam nie mógł podnieść nogi na tyle, aby ją w strzemień włożyć.

- W drodze pojedź.

Odezwał się imć Kalesanty, bo, pilno nam do grodu Mścislawa. Dopiero teraz zobaczył, że Spytko ubrany jest w wór, w którym wycięto otwory na głowę i ręce. Nogi miał bose, a twarz porośla gęstą brodą i wąsami.

- Jaką podłością musieli się kierować zakonnicy, aby tak człowieka zniszczyć i upodlić - rzekł Kalesanty. Dobrze, że choć tego nie widzą, że swym postępowaniem wzbudzają nienawiść rycerstwa polskiego i wszystkich ludzi.

Zembrzuski nakazał wolniej jechać, co by Spytko posilił się i pragnienie ugasił.

Jechali obok niego, aby dokładnie widzieć, czy sił w nim starcza, by na koniu się utrzymać. Dojechali tak drogą do skrzyżowania i Spytko odezwał się.

- Z tej drogi, wskazał ręką, ja przyszedłem. Nie daleko tam są Krzyżacy i swój zamek mają. Droga prosto musi prowadzić do grodu Mścislawa.

- Wiem o tym - rzekł Zembrzuski. Niedawno gościłem w tym grodzie, a powracając właśnie tą drogą jechałem.

W krótkim czasie wyjechali na przestrzeń otwartą i las został za nimi.

- Tu odpoczniemy.

Nakazał Kalesanty widząc, że Spytko z wielkim trudem trzyma się w siodle. Stanęli, zsiadli z koni i znów Maćków zdjął Spytkę z konia. Wzdrygnął się na myśl, co można zrobić z człowiekiem i gdzie sięga podłość ludzi, którzy mówią, że wiarę krzewią.

- Koni pilnujcie - krzyknął Zembrzuski. Przy lesie dobra trawa rośnie. Puśćcie je tam, niech się popasą.

To powiedział i usiadł koło Spytki.

- Mów waść wszystko, jakie trudności napotkasz, byśmy wiedzieli. Chcemy, abyś, choć trochę doszedł do siebie. Zjedz jeszcze i korzystaj z odpoczynku, bo jeszcze kawałek drogi przed nami, a później też droga długa do Trzyciąża.

Nikt nie wiedział, że w tej chwili obserwuje ich dwoje oczu. Był to knecht krzyżacki wracający z listem do swoich, do zamku, w którym Spytko przebywał. A usłyszawszy, że konie z naprzeciwka idą, ukrył się w kupie gałęzi, jeno te oczy z nich wystawały. Słyszeć nie słyszał, ale dostrzegł Spytkę. Znał go, bo nierzadko widział go prowadzonego na przesłuchania do komtura. A i nie raz osobiście jedzenie mu do celi podawał, aby go przy życiu utrzymać. Leżał teraz bez ruchu i oczekiwał, kiedy Polacy odjadą, by mógł ruszyć do swoich i powiedzieć, co widział. W niedługim czasie już pędził do swoich, gdyż Polacy ruszyli w drogę, po tym, jak Spytko powiedział do Zembrzuskiego.

- Na konia mnie tylko wsadźcie, a ja się już na nim utrzymam. Wiem, jak pilno wam do drogi, a nie chcę abyście ją przeze mnie ją opóźniali.

Tymczasem Krzyżak odjechawszy na bezpieczną odległość teraz gnał do zamku nie szcędząc konia. Dojechawszy do zamku zsiadł ze spienionego konia i czym prędzej poprosił o posłuchanie. Zawiadomiono komtura, który akurat drzemki zaznawał, a ten zły, że mu przeszkadzają kroki swe skierował do sali, gdzie wprowadzono przybyłego jeźdźca. Jeździec podał mu list, a komtur - odrzekł.

- To po to mnie budziliście, list mógł poczekać! Chorym. Tu jeździec odezwał się tymi słowy.

- Nie wiem panie, czy puściliście wolno tego Polaka, bom widział go w oddziale zbrojnym. Zdaje się udającym do grodu Mścislawa.

- To nie możliwe - krzyknął komtur. Prawda, że go puściłem w chwili słabości, ale na pewno o swoich siłach nie mógł dojść dalej, niż do lasu, a tak blisko na pewno nie zapuściliby się Polacy. Kogoś innego widział przypominającego tego psa! Krzyczał. Stary był i siwy, ale wrogość z niego nie ustępowała.

- To był on panie nie mogłem się pomylić.

- To, dlaczego nie posłałeś strzały w jego kierunku i nie zabiłeś tego psa! Krzyczał komtur.

- Byłem sam, a ich wielu. Złapałoby mnie, a list wiozłem.

I tylko ten list i te słowa uratowały go przed dalszym gniewem komtura.

- Natychmiast weźmiesz kilku ludzi i ruszysz. Nie wracaj mi bez wieści, że ten pies żyje!

Krzyżak nisko głowę pochylił i wyszedł rozkaz wypełnić. Pomyślał, że Polacy będą wolniej jechali mając Spytkę, to może uda się ich dogonić przed grodem Mścislawa. Nie wiedział wtedy, że w odpowiedzi w liście napisane było, że Mścislaw nie żyje. Myślał, dlaczego komtur tak nienawidzi Spytkę? A dlaczego go puścił, zrozumiał po słowach komtura.

- Byłem pewny, że nim dojdzie do lasu wyzionie ducha. Chciałem, aby się jeszcze trochę pomęczył, gdyż uznałem, że śmierć w lochach, to za mała kara. Niech wie, że jest wolny, a musi umierać.

Teraz zrozumiał, że przeliczył się w swoich osądach, ale do tej pory nie mógł zrozumieć, co za siła nadludzka pomagała mu przetrwać. Uspokoił się nieco, usiadł, a zamknawszy oczy chwilę posiedział, po czym wstał prędko jak poparzony i zwrócił się twarzą do krzyża, który stał pośrodku sali. Przykląkł i zaczął się modlić. W chwilę później tętent koni na dziedzińcu zamkowym oznajmił, że ludzie jego z rozkazem wyjechali. Blady uśmiech zawitał na jego twarzy, ale na krótko, bowiem przypomniawszy mu się chwila, jak Spytkę pojмали. Wielu jego zakonnych wtedy padło, gdy nacierali na niego, a wśród nich jeden najmilszy sercu, po którym wielka żalność została. Był to, bowiem wnuk jego Gustaw. Tymczasem Krzyżacy wyjechali na trakt prowadzący w kierunku lasu, ale traktem nie pojechali, tylko gnali na przełaj, aby możliwie najszybciej znaleźć się za oddziałem, w którym jechał Spytka. W tym czasie Polacy dojechali do źródła, które było czystą wodą, a o którym Zembrzuski wiedział, że tu jest. Woda była czysta jak kryształ i spływała ze źródła wyrobionym korytem leniwie w dół pola w kierunku lasu skąd przybyli.

- W lesie płynie gęstwiną - ozwał się Zembrzuski, ale tu mamy jej do syta. Dużo nam jej nie potrzeba, bo gród już niedaleko, ale tu trzeba chwilę stanąć i konie niech się napiją.

To mówiąc podjechał do Spytki.

- Masz waść świeżą wodę, obmyj się nieco i zrzuć ten wór z siebie, bo patrzeć nie mogę. Dostaniesz inne ubranie. A ty pomóż - odezwał się do Maćkowego.

Sam objechał, aby sprawdzić, czy bezpieczny jest ten postój. Spytce ta zimna woda przyniosła ulgę nieopisaną a i jadło, które przedtem spożył dodawało sił. Poczł się nieco lepiej i gdy zbierali się do drogi, a przebranego już Maćków na konia wsadził było widać, że teraz będzie żył. Ruszyli. Na przedzie znów Dobrosław i Maćków i chorągiew powiewająca na wietrze. Spytka poczuł się lepiej, jeno oko, na które trochę widział bolało go bardzo. Jechał zasłaniając je ręką i to zobaczył Miłosza. A że jechał obok dziewczyny powiedział do niej.

- Podjedziemy do niego, wskazał na Spytkę. Spytajmy, bo mi się coś widzi, że jego oko pobolewa. Wiem, co zrobić, aby mu w cierpieniu ulżyć.

Podjechali, a Miłosza zagadnął.

- Widzę mości panie, że mimo to, iż hardzi jesteście, bólu ukryć nie możecie. Czy to oko tak boli?

Spytka skinął głową nic nie odpowiedziawszy.

- Może coś zaradzimy, ale trzeba trochę cierpliwości.

Spiął konia i razem z Dobrawą podjechali do Zembrzuskiego.

- Mości komendancie o zgodę proszę abyśmy z ową panną przemierzyli przez pole i poszukali ziele, mogącego przynieść ulgę oczom Spytki.

- A znasz ty, co to za ziele? - Spytał Zembrzuski.

- Ja znam - odpowiedziała Dobrawa. - Wiem, bo kiedyś ojciec przykładał tym zieletem oczy jednemu z naszych, który podczas polowania je zranił.

Miłosza nic nie mówił, choć również wiedział, o jakie ziele chodzi. Zembrzuski zezwolił i ruszyli przez pole pilnie bacząc, ponieważ ziele owo na polach znaleźć było można. Rosło przeważnie w zagłębieniach osłoniętych przed wiatrem, jak również promieniami słonecznymi. Przemierzyli spory kawał drogi, nim Dobrawa krzyknęła. Miłosza głowę odwrócił od ziemi i zobaczył, że Dobrawą zsiadła z konia.

Przykucnęła.

- Ależ ma szczęście, ziele znalazła.

Po chwili już był przy niej. Jednak ona w rękę nie trzymała ziół, jeno patrzyła na ślady kopyt końskich. Widniały one na ziemi.

- Ośmiu jest - policzył Miłosza. Konie nie nasze, inaczej kute.

Rozejrzał się, wokoło, ale nic tylko puste pole było przed i za nimi, a i swoich też nie było widać.

- Wracać trzeba - powiedział. - Pojedziemy wzdłuż tych śladów tylko bacznie uważaj. Odjechaliśmy za bardzo.

Pomyślał a nie wiedział, że droga przed oddziałem skręciła nagle w lewo i zaczęli szybko oddalać się od siebie. Teraz mając przed sobą ośmiu jeźdźców nie mogli się spieszyć, aby nie natknąć się na nich. Przed sobą ich nie widzieli. Jechali, więc czujnie w milczeniu, aż dojechali do skrzyżowania dróg, gdzie znów było widać ślady końskie.

- Pojechali tędy w kierunku do lasu.

Sami też ruszyli wolno. Tuż przy lesie w miejscu osłoniętym Dobrawa zobaczyła ziele, liście tak im potrzebne. Zeskoczyła z konia i jęła je rwać. Wtem usłyszeli odgłos, jakby ktoś naśladował ptaka. Miłosza skrył konia w krzakach przy lesie, a i Dobrawa stanęła przy nim trzymając mocno ziele, które zdążyła zerwać. Głos powtórzył się raz i jeszcze raz.

- Czyżby nasi byli blisko? - Rzekł Miłosza. A ci zmagają się w ten sposób.

Pociągnął Dobrawę za rękę. Konie zostawili i ruszyli pieszo w kierunku krzaków ostrożnie krok za krokiem. Miłosza zdjął łuk z pleców i podał go Dobrawie, sam zaś lekki miecz chwycił. Nie szli długo, a już zobaczyli knechta przy koniach stojącego.

- Poszli pieszo dalej - rzekł cicho do Dobrawy.

Po chwili zobaczyli knechta. Spojrzał Miłosza na Dobrawę, a ona już wiedziała, co ma czynić. Podniosła cięciwę do oka i wypuściła strzałę. Knecht ugiął się w nogach i padł. Konie się nieco spłoszyły. Nie wiedziała Dobrawa, że tak prędko przyjdzie jej pomścić swoich. Podniosła oczy i zobaczyła drugiego knechta, który wracał do koni zapewne coś usłyszawszy. Druga strzała pomknęła i knecht złapał się za serce, po czym runął pod drzewem.

- Są bardzo blisko - powiedział Miłosza.

Pewny, że i swoi na moment stanęli. Teraz już razem konie krzyżackie minęli. I zaraz rozległ się krzyk. Zobaczyli, że knehcci pędzą do koni na oślep. Miłosza wziął łuk od Dobrawy, a jej mieczyk podał. Założył strzałę i pierwszy z krzyżackich knechtów na ziemię runął.

Naciągnął ponownie łuk. Knehcci zorientowali się, że są w zasadzce. Jęli uciekać w bok, ale gdy pierwszy z nich na ziemię się osunął, a zobaczyli w nim strzałę, stanęli. Zrozumieli, że bez koni szans nie mają. Po chwili z drugiej strony Maćków wyskoczył, a za nim kilku zbrojnych i czterech Krzyżaków zostało poprowadzonych przed oblicze imć Kalesantego. Miłosza i Dobrawa dołączyli do nich i gdy znaleźli się w obozie dowiedzieli się, że jeden z Krzyżaków strzelił z kuszy do Spytki, ale go ranił tylko. Zapewne myśleli, że lasem ujdą bezkarnie korzystając z tego, że las ów znali bardzo dobrze.

- A kto ich zatrzymał? - Spytał imć pan Kalesanty.

- Dobrawa z Miłosza - odparł Maćków. Oni wracając natknęli się na nich, a ci myśląc, że są w zasadzce stanęli.
- Patrzcie i dziewczyna się przydaje - odparł imć Kalesanty. Ale, jak oni tu przybyli?
- Tam konie ich stoją i leży ich dwóch - odparła Dobrawa.

Kalesanty kazał konie sprowadzić, a sam spojrzął na Zembrzuskiego. Ten Spytkę opatrywał.

- Co waść powiesz?

- Rana nie groźna i szczęście przy nim widać, bo Krzyżak był blisko, a jednak źle trafił - rzekł Zembrzuski.

Nie wiedział jak to się stało, tylko po prostu szczęściu to przypisał. Tymczasem knecht w chwili, gdy mierzył do Spytki usłyszał, jakby strzała leciała i odgłos ciała walącego się na ziemię. To Dobrawa, która tę strzałę wypuściła przyczyniła się do tego, że Spytka żyje. Związawszy czterech Krzyżaków i wsadziwszy na konie Zembrzuski nakazał ruszyć w drogę. Nie pytał knechtów o nic, bo wszystko było jasne.

- Mieli rozkaz zabić Spytkę, ale dlaczego go puścili? - Rzekł Zembrzuski.

Tylko tego chciał się od nich dowiedzieć, lecz pozostawił to na później. Ruszyli w milczeniu i dopiero teraz Miłosza z Dobrawą podjechali do Spytki. Miłosza rzekł.

- Mamy mości panie ziele, przyłożymy ci je panie do oczu, obwiążemy głowę i konia poprowadzimy, bo będziesz jechał nic nie widząc.

Spytka skinął głową. Po przyłożeniu liści i obwiązaniu głowy jechali obok niego konia prowadząc, a ten pechowo stąpnął, bo zachwiał się, ale zaraz do równowagi wrócił. Spytka poprawił się na należną stronę i zaraz poczuł się lepiej. Poczul chłód na oku, który zaczął łagodzić ból. Gdy słońce zniżyło się wyraźnie i nie było go już widać zza drzew wyjechali z lasu, by znów zobaczyć kulę czerwoną zachodzącego słońca na horyzoncie. W tej czerwieni zobaczyli gród Mściława. Wzdrygnął się Zembrzuski, bo ta czerwień kojarzyła mu się z inną. Otrząsnął się, i do ludzi krzyknął.

- Kasztel przed nami! Maćków rusz ostro i powiadom, kto do grodu zmierza, by nie było zaskoczenia!

Maćków konia pogał i w chwil parę przy grodzie się znalazł. Stał przed fosą, jako, że ona kasztelu broniła i czekał. Naraz głos z góry się ozwał.

- Kto, i z czym do nas zmierza?

- Jest tu imć pan Kalesanty wraz z rycerstwem swoim. Pod chorągwią idziemy z herbu Działosza. Z czym, nie pora o tym mówić, wyjawi to sam imć Kalesanty. Krzyknął Zembrzuski.

Most został opuszczony na fosę i brama rozwarła się. Ukazało się w niej kilku zbrojnych, którzy podjechali do Maćkowego.

- A to ty?

Odezwał się jeden z nich, którego i Maćków poznał. Brał z nim udział w turnieju przed laty, gdy kraj był spokojniejszy.

- Wieści pewnie od Mściława wieziecie. Chyba coś zatrzymało go w drodze i nie wie jeszcze, że syn mu się urodził. Chłop potężny, który już nie długo miecz dźwignie.

Maćków nic nie odpowiedział, odwrócił się i zobaczył swoich, którzy już do tej fosy

dojeżdżali. Zobaczyli kasztel skromny przed sobą. Przed nim pola rozległe były i za nim, aż po horyzont, na którym las majaczył. Zatrzymawszy się na chwilę, imć Kalesanty pozdrowił rycerzy i przez fosę wjechali na dziedziniec grodu. Wokoło stały dzieci i kobiety, które przyglądały się wjeżdżającym. A na schodach prowadzących do ganeczku przy zamku będącym stała sędziwa białogłowa, a obok młodsza, córka Mściława. Kalesanty nie zsiadając z konia - rzekł.

- Wieści przywozimy szanowne panie, tylko szkoda, że smutne bardzo. Ciężko o tym mówić, ale wypowiedzieć je muszę.

Zobaczył, że kobiety zaczęły płakać, te na schodach, i te również, które im się przyglądały. Tedy nie musiał już kończyć, bo i tak w tym nie ludzkim płaczu słów słyhać nie byłoby. Stali tak dłuższą chwilę, po czym starsza łzy otarłszy - powiedziała.

- Jestem matką Mściława. Zapraszam waści na odpoczynek i wieczerzę. Śmierć z narodzinami zesła się w parę - po czym odwróciła się i nakazała.

- Nie wolno nic mówić żonie Mściława, słaba ona jeszcze. Sił musi nabrać. Później już po wieczerzy, opowiedział imć pan Kalesanty wszystko, co zobaczył na polanie, a również podał to miejsce, gdzie ich znaleźli. Matka słuchała tej opowieści w milczeniu, ale gdy imć, Kalesanty skończył - spytała.

- Czy to Krzyżacy?

- Pewnie tak, ale żadnego nie znaleźliśmy na miejscu, gdzie Mściław ze swymi zległ. Pewności nie mam, ale musieli ich w nocy zaskoczyć, a po bitwie swoich zabrac. Tak myślę, choć jak powiadam pewności takiej w myśleniu nie mam.

- Skąd wiesz, waść, że poległych mieli, skoro ich nie było?

- Wiem, bo gdy przyjechaliśmy widziałem krew na mieczu Mściława, widziałem też i na innych mieczach krew zastygłą. Stąd wiem, że musieli się tego bronić i Krzyżaków natłuc.

Oczy zaiskrzyły matce, ale tylko na moment, po czym znów w nie boleść wróciła.

- Cóż za wami widzę, że knechci krzyżacy na koniach siedzą i ręce skrępowane, toż to winni?

- Bystre oko masz pani - powiedział Kalesanty. Mamy u siebie człowieka Spytkiem zwanego, którego długo u Krzyżaków w lochu przebywał. Człowiek ten był bliski śmierci, jednak wola jego i pewnie chęć zemsty powodują to, że jeszcze żyje. A ci - wysłani byli po to, by go znów zabić. Tylko skąd wiedzieli, że jedzie on z nami, a również, po co go puścili, to jest na razie tajemnicą?

- Dajcie ich tu, może od nich się dowiemy - rzekł imć pan Kalesanty. Ale starsza pani - rzekła.

- Znużeni jesteście, trzeba i tego Spytkę obejrzyć, a tę rozmowę przełożyć na jutro. Tymczasem zamkniemy ich na dole i nakazę ich pilnować, co by któryś nie uciekł. Imć pan Kalesanty rad był, bo po raz pierwszy od dawna noc w łożu spędzi to też, gdy znalazł się w izbie zaraz zasnął. Tak go wyczerpały zdarzenia dnia uchodzącego. Nad ranem przyszła potężna burza, która obudziła imć pana Kalesantego. Niebo rozjaśniało się błyskawicami i od czasu do czasu silny grzmot było słyhać.

- Pomyślał. Dobrze, że dach nad głową mają. Długo leżał myśląc, gdyż już zasnąć nie mógł. Myśli nadchodziły same, a przeżyć było nie mało. Gdy niebo rozjaśniało i po burzy ślad zaginał, wstał, ubrał się i wolnym krokiem zszedł na dół do sali, w której

wczoraj siedzieli. Zobaczył, że i Zembrzuski też już jest i prowadzi rozmowę z kimś z zamku. Podeszedł do nich i gdy się zbliżył Zembrzuski przywitał go, a do tamtego powiedział.

- To jest imię pan, Kalesanty, a to imię pan Dokutowicz, który z zaproszeniem przybył do Mściśława.

- Smutne to - odrzekł Kalesanty przywitawszy się z nim.

W chwilę później gwarno było w salonie, bo przy stołach inni zasiedli i rozmawiali.

Później przyszły kobiety, te dwie, matka z córką, aby im w posiłku towarzyszyć.

Przed jedzeniem imię pan Kalesanty podniósł się, a za nim wszyscy wstali i tak w

milczeniu stojąc żegnali się z Mściśławem i ludźmi jego poległymi. Po czym imię pan Kalesanty powiedział.

- Gościmy w twoim domu i bardzo żałujemy, że nie jesteś wśród nas. Może przyjdzie ten dzień, że ciebie szczególnie pomścimy Mściśławie.

To powiedziawszy usiadł, a i wszyscy za nim usiedli. Po jedzeniu, gdy sala już uprzątnięta była, wprowadzono na rozkaz imię Kalesantego Plewę, pierwszego z knechtów.

- Powiedział, że tak go zwą? Zembrzuski zapytał. Mów z czyjego rozkazu jechaliście zabić tego schorowanego człowieka?

Wskazał na, Spytkę, który teraz przy głównym stole siedział. Krzyżak nic nie powiedziawszy, opuścił głowę.

- Myślę, że wiesz, co cię czeka, gdy mówić nie będziesz! Krzyżak nie odpowiadał.

- Wolisz głowę stracić, by coś ukryć. Twoja to sprawa, będziesz osądzony. Świadców do sprawy mamy, aż zanadto. Wyprowadź go - rzekł Zembrzuski do Maćkowego.

Po chwili wszedł drugi z knechtów. Był bardzo młody i jego też Zembrzuski zapytał.

- W służbie u Krzyżaków jesteś i na ich rozkazy działasz. Głowę możesz uratować, gdy tu wszystko powiesz. Z czyjego rozkazu jechaliście napadając nas.

I ten głowę obwiesił i słowa nie wyrzekł. Wtedy Zembrzuski powiedział.

- Młodyś i głupi, ale twoja to sprawa, boć i głowa twoja.

Kazał go wyprowadzić, po czym trzeci wszedł starszy już wiekiem. Nad okiem potężna szrama, zapewne po mieczu widniała. Spojrzał lękliwie na Zembrzuskiego.

- Mów - ozwał się do niego Zembrzuski. Mów wszystko a odjedziesz wolnym. Nie spodziewał się, że otrzyma odpowiedź i to taką, która rozwiąże wiele zagadek.

- Mieliśmy rozkaz od komtura, by tego oto człowieka zabić. Znaliśmy go, bo dość długo u nas przebywał. Był on u nas w lochach. Wczoraj komtur wypuścił go na wolność o świcie, a już po południu wydał ten rozkaz.

Myślał knecht i był pewny, że ta odpowiedź będzie wystarczająca, ale niespodziewanie Zembrzuski zapytał.

- Mów ilu rannych Zygfyrd do was przyprowadził? Krzyżakowi źrenice się rozszerzyły. To i o tym wiedzą - pomyślał.

Muszę mówić, bo nie chcę mi się jeszcze umierać. Przeszło mu przez głowę.

- Zygfyrd przyjechał do nas po jakiejś bitwie. Z kim ona była nie wiem. Tylko

komtur i jego najbliżsi wiedzą, ale sam widziałem, że dużo rannych zjechało. A i

mieli rycerzy, którzy od ran poniesionych chyba w drodze ducha wyzionęli. Komtur rozkazał ich pogrzebać. A zwoławszy wszystkich zapowiedział tajemnicę trzymać.

- A gdzie odjechał Zygfyrd? - Spytał Zembrzuski.



- Nie odjechał, na zamku jest panie, knechci jego i rycerstwo rany goją. Więcej nie panie nie wiem.

- Rozwiązać go! - Rozkazał Zembrzuski. A do niego - rzekł.

- Puszczony będziesz, tak jak powiedziałem. Słów na wiatr nie rzucam. Ale teraz pójdiesz z moimi i w sąsiedniej izbie zaczekasz. Może kamrata będziesz miał, choć jednego do drogi.

- Panie zostanę, to brat mój. Przekonam go, co by prawdę mówił. On młodszy, a bliżej komtura siedzi i coś więcej z pewnością ode mnie wie.

Zembrzuski odparł.

- Wyjdiesz, a gdy zajdzie potrzeba wezwę cię.

Po czym skinął głową na Maćkowego, a ten ruszył z knechtem do izby sąsiedniej. Po chwili znów wprowadzili młodego knechta i Zembrzuski spytał.

- Chcesz mówić? Bo czasu niewiele mamy.

Młody głowę spuścił i spod opadających włosów spoglądał.

- Znasz mowę naszą, rozumiesz, o co pytam? Młody potaknął głową.

- Tedy mów, kiedy jeszcze nie jest za późno. Lecz knecht nie mówił.

- Wprowadźcie tamtego!

Weszli, a tamten zobaczył brata i zbliżył się do niego. Młody zobaczył, że brat ma ręce wolne i nie jest spętany - zrozumiał. Prawdę mówią, ale i prawdy oczekują i nie czekając dłużej - odparł.

- Co chcecie wiedzieć panie?

- Wiemy już dużo. Cieszy mnie to, że zmądrzałeś wreszcie. Młody jesteś, a głowa najważniejsza, więc pilnuj jej. Widziałeś Zygfyda na zamku?

- Widziałem panie, moc rannych sprowadził.

- Co, wiesz jeszcze?

- Za kilka dni, gdy wy dobrzeją komtur wesprze ich swoimi i mają udać się do Malborka. Wieści jakoweś zawieść mają, ale to wszystko, co wiem.

- Rozwiązać mu ręce - powiedział Zembrzuski. A, gdy już rozkaz wykonano - rzekł.

- Puścimy was wolno, tak jak powiedziałem. Tamtych dwóch nie. Pojedziecie i komturowi powiecie, że rozkaz wykonaliście i Spytko nie żyje. Waszych knechtów pojaliśmy, a wy zdołaliście zbiec.

Starszy z Krzyżaków skłonił się.

- Konie i oręż im oddajcie. Za bramę wyprowadźcie.

Patrzyli z niedowierzaniem, ale gdy znaleźli się za bramą przejechali fosę i popędzili ku swoim. Zrozumieli, że są wolni.

- Co zrobimy z tymi dwoma? - Spytał Maćków.

- Pojadą z nami do Trzyciąża, a tam ze Zbysławem pomyślimy. Teraz dopiero odezwała się matka Mściława.

Słyszałeś waść, że ci, którzy zabili mego syna jadą do Malborka? Chwila wyśmienita, aby im odplącić i nie dopuścić, by do Malborka dojechali. Muszą to być ważne wieści, skoro tak długą drogę zamierzają dla nich przebyć. Proszę waści o pomoc, aby nasza siła była większa. Do walki tej, nawet chłopów zwołam. Oni też pomogą. Na to imć Kalesanty - odrzekł.

- Do domu czas, ale odmówić nie możemy, bo to i nasz wspólny wróg.

Wyśle tedy ludzi do zamku komtura, co by Zygfyda na oczach mieli. A tymczasem

odpoczywajcie waści, bo ja muszę was opuścić, czas mi nad strawą pomyśleć. Wyszły z córką. Teraz dopiero moi Dokutowicz - rzekł do Zembrzuskiego.

- Dobrego rycerza ma imię pan Kalesanty w panu, moi dobrodzieju.

- Ano mam - rzekł Kalesanty, a i na pozostałych nie narzekam.

- Jeśli już zamierzacie się na Zygfryda zasadzić to i mi przyjdzie rozkaz wydać, aby moi przyszli z pomocą. Tedy opuszczam waści, gdyż ze mną jest tylko kilku zbrojnych. Rano przybędzie ich więcej. Ja niestety nie, bo uroczystość mam, tedy żegnam teraz imię panów - rzekł Dokutowicz.

To powiedziawszy wyszedł, a za nim Zembrzuski. Koło stajni, gdzie konie przebywały, zobaczył chmarę dzieci, przyglądających się przez szpary w deskach. Podeszedł bliżej i spytał.

- Cóż tak podglądacie?

- Mości panie patrzymy - odpowiedzieli.

I rozpierzchli się wokoło. Zembrzuski, choć na chwilę oderwał się od trosk, które szybko wróciły. Dwaj knechci, którzy zostali z jego rozkazu w kasztelu wykorzystali moment sposobny do ucieczki. Jeden z nich sobie znanym sposobem zdjął sznur z rąk i zaatakował strażnika. Ten nie spodziewając się tego dał się pięścią powalić. Po chwili też drugi knecht miał ręce wolne. I dopiero teraz, gdy mieli ręce wolne przyszła myśl, co będzie, gdy ich złapią. Wiedzieli, że muszą ująć z kasztelu, lecz aby to uczynić potrzebowali innego ubioru. Zdjęli tedy ubiór z tego, który ich pilnował, a który na jednego z nich doskonale pasował, po czym związali mu ręce, a usta zakneblowali. Tak go zostawiając ruszyli na schody. Weszli do góry i rozejrzeli się. Górny korytarz był pusty. Czas ich naglił, lecz nie chcieli ryzykować, to też powoli przemknęli korytarzem do drzwi, które zobaczyli. Te drzwi prowadziły na dziedziniec. Szczęście było przy nich, ale nie wiedzieli teraz, że wkrótce się od nich odwróci. Zembrzuski nakazał zmianę wartownika i Maćków wzięwszy jednego ze swoich zszedł na dół. Zobaczył leżącego, który już przytomność odzyskał, alarm wszczynając. Rozbiegli się wszyscy za uciekającymi, a po kilku chwilach byli oni już złapani. Zembrzuski, gdy stanęli przed nimi - powiedział.

- Sami o śmierć się prosicie. Dobrze będziecie ją mieć, a teraz was tak przypilnujemy, że nawet o ucieczce nie pomarzycie.

To powiedziawszy kazał ich do krat przykuć.

- Ręce i nogi, tak jak to wy czynicie w lochach zakonnych. Gdy zostali już przykuci do krat, Zembrzuski - rzekł.

- Teraz to i strażnik nie potrzebny.

Ale na wypadek kazał Maćkowemu, by kogoś wyznaczył. W chwilę po tym wyszli na górę. Spojrzał Zembrzuski w bramę otwartą i zobaczył kilkunastu ludzi na koniach tego zbrojnych i około dziesięciu łuczników. Pomyślał, ludzie od Dokutowicza. Szybko przyjechali. Zszedł na dziedziniec, a jeden z nich wyczuł, że to on dowodzi, bo zameldował.

- Imię pan Dokutowicz zlecił nam tu przybyć i waści w rozprawieniu się z Krzyżakami pomóc. Przeto jesteśmy pod waści rozkazy.

- Zsiądźcie z koni. Przyłączcie się do naszej kompani. Miło mi was widzieć i poznać, a resztę w boju zobaczymy.

- Zygfryda trzeba pojmać - wtrącił Kalesanty. I z nim się rozprawić, co by naszych

więcej nie nękał.

- Po tom tu przybyli mości panie, a reszta przed nami. Wyjechaliśmy naprzeciw imć pana Dokutowicza, a on nas tu natychmiast skierował, dlatego wcześniej jesteśmy.

- Skoro świt, bo konie wypoczęte w drogę ruszamy - powiedział imć Kalesanty.

Przygotuj wszystko - rzekł do Zembrzuskiego.

Gdy tu tak ważne słowa padały mały Janko, Miłosza i Dobrawa siedzieli w ogrodach znajdujących się poza kasztele. Był z nimi również Dobrosław. Siedząc i rozmawiając zapomnieli, w jakich czasach żyją. Młodość teraz w pełni do nich przysła, bo dowcipkowali śmiejąc się, jakby zapomnieli, że te dni smutne być powinny. Co jakiś czas Dobrawa uciszała ich, ale oni na jej złość, prawili głośno się śmiejąc. Nie wiedzieli jeszcze, że jutro już w drogę ruszają. Dzień oddalił się szybko jak i noc. Wstał świt i przysła pora wyjazdu. Pożegnali się i ruszyli przez bramę fosą i tylko stukot kopyt końskich obwieszczał, jak liczny i silny oddział wyrusza.

- Lasem pojedziemy - ozwał się Zembrzuski.

Zaraz skręcili w kierunku, gdzie było najbliżej do niego. Jechali wolno, bo mieli jeńców, a i Spytko jechał z nimi, gdyż za żadną namową nie chciał w grodzie zostać. Czuł się znacznie lepiej, ale i tak z trudem na konia wsiadał. Wolno jadąc dotarli do lasu. Mając ludzi przy zamku zakonnym, nie obawiali się niczego, boć to ludzie miejscowi, znający tutaj każdy kąt. A oni zaszyli się w lesie w dobrej widoczności i cały zamek krzyżacki na oczach mieli. Widzieli jak wyjechał z niego jeden konny, ale zmierzał w innym kierunku. Odprowadzili go tylko wzrokiem, aż w las wjechał.

- Pewnie z pilną wiadomością wysłany, bo gonił konia ponagłając - rzekł jeden z pilnujących.

Poza tym nic się nie działo. Trzech ich było, a ten, który dowodził - rozkazał.

- Weźmiesz konia. Ruszysz do grodu i przekażesz, że Krzyżak wyruszył z zamku z pilną wieścią, bo gnał, jakby go poparzyło.

Po chwili tego trzeciego już nie było. Ostrożnie oddalał się od zamku krzyżackiego. Dopiero po pewnym czasie wsiadł na konia i pogalopował. Tymczasem Zembrzuski, gdy już do lasu wjechali - rzekł do Maćkowego.

- Nie daleko wodopój tu jest i z dobrych źródeł tu woda płynie. Może zasadzimy się na zwierza? Wywiedziałem się, że Krzyżacy aż tu się zapuszczają i trzebią zwierzynę. Pojechałbym na zwiad i zobaczył, bo pod zakon nie mamy się, co spieszyć. Tamci może za kilka dni ruszą, a mięso suszone na późniejsze potrzeby ostać może. Teraz to ognie można jeszcze rozpalić.

- Dobrą radę dajesz - wtrącił imć Kalesanty. Niech Maćków jedzie, bo i ja z chęcią świeżego mięsa bym pojadł, a i zakonni będą go przez to mniej mieć - zaśmiał się.

Maćków ruszył galopem na przełaj przez las. Drugiego konia za cugle trzymał.

Jednak nie za długo tak pędził, bo według tego, co się dowiedział, wodopój powinien być blisko. Zdjął łuk z pleców, konia przywiązał i ruszył. Przeszedł zagajnik i znalazł się koło figurki.

- Zgadza się - pomyślał.

Jeszcze kilka kroków i ukazała się polana, na której one źródła były. Zobaczył stado saren pasących się przy wodzie, przy których potężny jeleni czuwał. Maćków oblizał palec, podniósł go i sprawdził skąd wiatr wieje.

- Dobrze, że pod wiatr wyszedłem.

Ale dalej nie zechciał już ryzykować i się zbliżyć.

Wiedział, że odległość znaczna, ale wierzył w swoje siły. Wyjął z kołczanu dwie strzały. Jedną nałożył na cięciwę, a drugą położył na gałęzi choiny, obok której stał. Podniósł łuk do góry i przymierzył. Po chwili wypuścił strzałę, a gdy ta doszła celu stado rozpiezchło się, tylko jedna na miejscu pozostała. Wziął strzałę i nałożył ponownie. Nie chciał ubijać starego jelenia, więc wybrał łanie, która zbliżała się po skosie do niego. I tym razem strzała doszła celu, sarna przekoziółkowała pędem i zległa na murawie. Później po stadzie nie było już śladu, chyba, że kopyt, bo tych pełno było przy strumieniu. Z wolna ruszył po konie, które przyprowadził na polanę. Zjechał na nią i po chwili obie sarny leżały obok siebie. Przygotował je do drogi zarzucając na luznego konia. Po czym wskoczył na drugiego i z wolna ruszył, w kierunku swoich. Dojechawszy do nich - powiedział.

- Teraz możemy mięsa świeżego pojeść - mości komendancie. Świeże ono, że aż pachnie.

Skusiło to imć, Kalesantego, który postój dłuższy nakazał, bo jeszcze odległość od siedziby zakonu była taka, że śmiało mogli ogniska palić. A wiatr też sprzyjał, bo dął ponad drzewami w kierunku przeciwnym do drogi, w którą jechali. Tedy sarny były szybko przygotowane do pieczenia. I ogień wkrótce zapłonął. Zaraz po tym przybył człowiek Mścisława z wieścią o knechcie, który z zamku wyjechał.

- Żeby on tylko dymu nie zobaczył. Po co mają Krzyżacy wiedzieć, że ktoś się zbliża do nich.

Dalej piekli, a gdy mięso było już upieczone uczta była przednia. Gdy skończyli jadło, imć Kalesanty - rzekł.

- Spieszyc się nie mamy, co. Po takim jedzeniu poleżeć trzeba koniecznie.

Ale nie za długo ruszyli, bo woleli w zasadzce czekać na krzyżackich rycerzy. Ten krewki, bo tak było po nim widać zaraz pojechał do swoich, aby do oddziału dołączyli, bo droga do Malborka w inną stronę biegła, niż oni byli ukryci. A oddział przemieszczał się w kierunku traktu biegnącego w stronę Malborka.

Przed wieczorem byli już w obozie i znów Zembrzuski wysłał zwiad. Tym razem swoich na skraj lasu, co by bacznie czuwali, aby nikt z zamku niepostrzeżenie nie wyjechał.

Ruszyli, a Zembrzuski - powiedział.

- Jutro trakt do Malborka obstawimy i będziemy czekać. Może wreszcie uda się pojmać Zygryda. Odjedziemy jednak traktem na tyle, aby oni pomocy nie mogli się spodziewać z zakonu. I aby szczęku oręza nie było słychać w zamku.

Kalesanty dodał.

- Pojedziemy lasem, co by śladów nie zostawić. Musimy tego łotra złapać, choćbym miał nie wiem ile drogi nadłożyć. I do króla go zawieść, aby go sam osądził, no chyba, że w boju polegnie.

Skończywszy swój wywód, imć Kalesanty skinał głową, a Zembrzuski dał znak ręką, aby ruszali. Dobrawa jechała obok Miłoszy, na dobre już zaprzyjaźnieni. Podobał się jej ten chłopak, to też, co raz spozierała na niego, śmiejąc się. Przy siodle miała pęk kwiatów, od niego. Pięknych, polnych w różnych kolorach. Dalej za nimi na koniu, dzielnie się trzymając jechał Spytko. Widać było, że znów cierpi, więc Dobrawa spytała.

- Znow waści ból wrócił?

Spytko skinął głową. Wtedy ona wyjęła z torby, którą przy koniu miała przytroczoną, woreczek z liśćmi i stanawszy chwilę obwiązała głowę Spytce, ziele do oka przykładając. Ręce miała delikatne, ręce, które ulgę przynoszą.

- Może i ja kiedyś ci się odwdzięczę - rzekł Spytko.

To powiedziawszy, pogładził ją ręką po włosach, a ona wzięła konia jego i przy swoim prowadziła. Jechali w milczeniu. Coraz ciemniej się robiło. Zembrzuski nakazał zsiąść z koni, warty wystawić i sposobić się do odpoczynku. W niedługim czasie cisza nastąpiła w obozie, tylko w oddali odezwał się głos puszczyka. Po chwili wszyscy oprócz pilnujących spali smacznie, wyczerpani jazdą i wydarzeniami dnia dzisiejszego. Noc jak zwykle szybko minęła, a i od tego spokojnie. Zaraz z rana Zembrzuski wysłał jednego z ludzi Dokutowicza do tych, którzy na brzegu lasu, obok zamku krzyżackiego zalegli. Zembrzuski nakazał.

- Jedź do nich i z nimi zostań. Drogi tu znasz, boś stąd, a gdyby coś znać dajcie.

Zbrojny na konia skoczył i pogalopował. Po chwili już śladu po nim nie było. Znał te drogi i przejścia w lesie. Pilnowali tu zawsze od czasu, gdy Krzyżacy na tę ziemię przybyli. Pilnowali, aby Krzyżacy cichcem ich nie napadli. Gdy dojechał do skraju lasu myślał, że nie ma tu w ogóle ludzi, tak byli dobrze ukryci. Dopiero oni zobaczyli, że to swój i dali mu znak z ukrycia. Woj podjechał do ukrytych.

- Komendant mnie przysłał, abym z wami czuwał i baczył pilnie.

- Schowaj się przy nas w te gałęzie i naciągnij je tak, co by nas nie było widać.

Po chwili nastąpiła cisza. Ale również taka cisza panowała na drodze biegnącej do zamku krzyżackiego. Gdy słońce stało już wysoko, zobaczyli wóz z towarami jadący z przeciwnej strony. Jechał traktem od nich dość daleko, ale widzieli go wyraźnie. Było dwóch ludzi, jeden szedł obok wozu, a drugi siedział na wozie. Gdy podjechali pod bramę czekali dość długo, nim brama została otwarta. Wóz wtoczył się na podwórzec zamkowy i znow cisza zapanowała wokoło. Dwóch ludzi z pilnujących spało, to ci, którzy w nocy pilnowali. Cisza im pomagała w spokojnym śnie, a spokój sprzyjał. Na raz brama rozwarła się i wyjechało z niej dwóch zakonnych. Zmierzało prosto na nich. Chwilę zastanawiali się, co robić, po czym postanowili przepuścić ich i dalej zamku pilnować. Krzyżacy bardzo blisko przejeżdżali ich kryjówek, tak, blisko, że słyszeli urywki rozmowy. Usłyszeli imię Zygryd i słowo - pojedzie. Krzyżacy przejechali nie wiedząc, jak blisko byli Polaków. Później Polacy leżeli tak i pilnowali przez kilka dni. Nic się nie działo i gdy już bardzo znużeni tą bezczynnością byli, nagle koło południa wyjechało kilku zbrojnych, którzy pojechali traktem, ale po jakimś czasie wrócili. I dopiero teraz przez bramę wyjechał oddział krzyżacki. Jechali pod chorągwią komtura. Na białych płaszczach widniały czarne krzyże. A na dwóch hełmach przypięte były białe pióropusze.

- Któryś z nich to Zygryd - powiedział pośpiesznie jeden z pilnujących.

Ale już nie było na to czasu, by myśleć. Wycofali się i doszli do koni ukrytych dość daleko i ruszyli w stronę obozu. Przodem wysłali tego od, Dokutowicza, aby jak najszybciej powiadomił Zembrzuskiego, co widzieli. A sami jechali wolno. Krzyżacy tymczasem traktem jeszcze jechali, bacznie go obserwując, ale śladów pozostawionych przez Polaków nie mogli ujrzeć. Jechali po dwóch. Na przedzie zbrojni. Z tyłu knechci na lżejszych koniach z kuszami i krótkimi mieczami. Zbrojni

mieli ciężkie miecze zasadzone w pochwach. Jechali pomału niczego się nie spodziewając, ani niczego nie podejrzewając. Tymczasem Daniło, ten od Dokutowicza, przybył do obozu polskiego.

- Jada - odezwał się do Zembrzuskiego. Wyjechali z zamku i wprost na nas zacierają. Zembrzuski rzekł.

- Na razie traktem jada. Jednak przybliżą się i do lasu, bo tak droga prowadzi. Pierwsi łucznicy ich przywitają, aby zbrojni bez pomocy zostali, gdy za miecze chwycą. My zaś, jedni z prawej, drudzy z lewej ruszymy, co by z dwóch stron zaatakować. Dwóch naszych odetnie odwrót, gdyby któremuś z nich zechciało się komtura powiadomić, lub tam pomocy szukać. Jenó zależy mi na tym, aby tych dwóch starszych do niewoli wziąć. Bo jeden z nich, to z pewnością Zygfyrd. Pamiętajcie, że Mścislawa mścimy, a i o rozwadze pamiętajcie. Zalegli po obu stronach drogi i czekali. Miejsce było sposobne, łucznicy stanęli dogodnie, by było widać Krzyżaków z dala nadjeżdżających po obu stronach. Nużyło ich to czekanie, każdy z nich już chciałby, aby Krzyżacy pojawili się przed nimi. Nagle usłyszeli konie. Jeden z ich zarżał, zapewne czując zapach ich koni. Ale Krzyżacy nie spodziewając się niczego, dalej jechali. Gdy byli już blisko łucznicy podnieśli łuki i kilkanaście strzał wymknęło się z rąk. Pierwsi zaczęli z koni spadać. Krzyżaków to całkowicie zaskoczyło, wstrzymali konie i wtedy następne strzały spadły na knechtów. Kilku z nich osunęło się na ziemię, a wtedy Krzyżacy już nie czekając zaatakowali ludzi Zembrzuskiego, zjechawszy do lasu. Walka stała się zaciekle, miecze spadały na tarcze czyniąc szcęk potworny. Teraz dopiero z drugiej strony lasu uderzył Maćków na tyły krzyżackie. Dobrawa z małym Janko i Miłosza byli blisko. Tak jak kazał im Zembrzuski. Mieli z łuków korzystać, a gdy nadarzy się sposobność strzałami razić. To też strzały z tej strony były dla Krzyżaków śmiertelne. Jednak ci zbrojni stanowili jeszcze siłę. Gdy Maćków uderzył z tyłu. Krzyżacy rozdzielili się i dopiero teraz dostrzegli wielkie niebezpieczeństwo. Jeden z nich przebiwszy się w las ruszył. Dobrawa posłała strzałę za nim, ale on osłonięty zbroją ruszył w kierunku zamku komtura. Teraz już pozwolili mu odjechać, bo nikt za nim nie popędził. Wiedzieli, że i tak nie dojedzie, gdyż na drodze spotka dwóch Polaków zbrojnych. Krzyżacy tu natomiast wielki opór stawiali. Konie ich, tak jak i konie Zembrzuskiego pianą się pokryły, a i ludziom sił ubywało. Jednak Krzyżacy bronili się zaciekle. A zwłaszcza ci z białymi pióropuszcami przy hełmach. Obracali zręcznie konie unikając w ten sposób potężnych uderzeń, które jednak spadały na ich tarcze. Nagle kilku z nich ruszyło w las do przodu zwartym szykiem, ale zostali zatrzymani przez ludzi Dokutowicza. Zembrzuski, który rozprawiał się z Krzyżakami dostrzegł kątem oka topór krzyżacki w górze, w ręce uniesionej z prawej strony swego konia. Zrobiwszy unik, konia swego położył na przednie nogi, odczekał chwilę nim topór spadnie i wtedy dopiero mieczem swoim sięgnął Krzyżaka. Ten jęk wydając z konia się zwałił. Poderwał konia Zembrzuski, i wtedy czymś dostał w głowę tak potężnie, że z konia spadł. Wtedy Maćków skoczył, dwóch Krzyżaków sobą walką związał, aby odwrócić ich uwagę od Zembrzuskiego. A i Miłosza to dostrzegł zostawiwszy łuk, miecz chwycił i pobiegł. Nie bardzo rozważnie, ale susami szedł z pomocą Zembrzuskiemu. Wiedział, że musi być, jak najszybciej przy nim. Naraz na jego drodze stanął knecht, który zamierzył się w niego toporem. Miłosza odskoczył od

niego i wtem strzała świsnęła obok jego głowy i knecht złapał się za szyję, a to wystarczyło, aby Miłosza go pokonał. - Pomyślał. Dobrawa albo Dobrosław. Komu to zawdzięczał?

W chwilę po tym był już koło Zembrzuskiego. Ten się podniósł, owinął dookoła i spojrzał. Miecza z ręki nie wypuścił jednak i teraz bardzo mu się przydał, gdyż zdażył nim odparować cios Krzyżaka. Po chwili Krzyżak legł od uderzenia Miłoszy. Odgłosy walki słabły. Krzyżacy, a zostało ich kilku, stracili wolę walki. Widząc przewagę nacierających jeszcze raz postanowili się przebić i wszyscy na rozkaz ruszyli w kierunku drogi do zamku komtura, jak gdyby tam chcieli szukać pomocy. Ale tylko jednemu udało się wydostać na trakt i pogalopować w stronę zamku. Jednak i on nie dojechał daleko i tak jak poprzedni, natknął się na ludzi Zembrzuskiego. Walka ustała, Krzyżacy rzucili miecze na ziemię. Stali niesamowicie zmęczeni, a było ich czterech. Zembrzuski, który już na koniu siedział podjechał do nich i wrzasnął.

-Z koni!

Gdy już na niej się znaleźli kazał zdjąć hełmy i rzucić na ziemię. A gdy to zrobili i tak nie dostrzegł Zygfyryda, choć był pewien. Wielkie zdziwienie można było wyczytać w jego oczach.

- Gdzie Zygfyryd - wrzasnął!

Ale odpowiedziała mu cisza, gdyż Krzyżacy milczeli.

- Gdzie Zygfyryd - powtórzył.

Ale i tam razem nikt nie odpowiedział. Głowa go potwornie bolała od uderzenia, po którym hełm pękł. Wiedział, że od Krzyżaków nic na razie nie wyciągnie, więc rozkazał.

- Ze zbroi ich rozzuć i związać. Straty nasze policzyć. Dopiero teraz zobaczył imię pana Kalesantego i rzekł do niego.

- Zygfyryda nie było wśród nich. Chyba, że to on uciekł traktem. Jeśli tak to nie mam pewności czy go osądzimy. Jeśli nasi go nie poznają zginie pewnie.

Wtem zobaczył, że dwóch Polaków nadjeżdża z przodu Krzyżaka mając. Nie miał on hełmu na głowie i nie był to Zygfyryd. Wkrótce bez zbroi dołączył do swoich.

- Straty już policzone - mości komendancie. Sześciu naszych poległo, a pięciu rannych mamy, jeden z nich niestety ciężko.

- Gdzie on - ozwał się Zembrzuski.

- O, tam leży.

Był to jeden z jego dobrych druhów o imieniu Szymon, z którym nie raz ataki odpierali. Szymon widząc Zembrzuskiego - wyszeptał.

- Łatwiej mi odchodzić z myślą, że Zygfyryd zawiśnie.

To powiedziawszy zamknął oczy, nim Zembrzuski zdołał coś powiedzieć. Wielka żalność ścisnęła mu serce. Ale po chwili rzekł.

- Przecież ja też cudem żyję, mogłem teraz tak jak on leżeć. Takie widać przeznaczenie. Ocknął się, jakby przebudził i natychmiast rozkazał.

- Zebrać wojów, którzy zginęli i pochówki sporządzić, a i Krzyżaków zabitych na drugą stronę ściągnąć, co by na drodze nie leżeli.

A sam zaczął mówić do imię Kalesantego, który obok niego stanął.

- Zygfyda nie było z nimi, cóż się stać mogło? Czyżby nas w pole wyprowadzili zmieniając wcześniej postanowienia. Czyżby tych dwóch knechtów ostrzegło Zygfyda? Nie to nie możliwe. Na pewno Zygfyd ruszył z innym oddziałem inną drogą, dalszą, a bezpieczniejszą.

- To prawdą być może - ozwał się imć Kalesanty.

- Tedy myśl waść, co dalej, abym mógł rozkazy ludziom wydać.

Tymczasem Dobrawa opatrywała rannych na szczęście nie groźnie. Wszyscy byli od dobrej chwili opatrzeni, a większość to ludzie Dokutowicza. Więc Kalesanty zarządził.

- Jedzcie do swoich i rany kurujcie, a my w stronę zamku krzyżackiego ruszamy, bo tam droga nasza wiedzie. Ominiemy zamek i wtedy rozdzielimy się, bo i drogi nasze się rozejdą. Wy od Mściśława i od Dokutowicza w prawo ruszycie, a my w przeciwnym kierunku.

Ci ranni ruszyli prosto przez las, aby jak najkrótszą drogą jechać, a i co rychłej wiadomość zanieść. Natomiast pozostali ruszyli traktem w stronę zamku komtura.

Jednak noc się zbliżała szybko. Jechali milcząc. Nikt nie był w pełni zadowolony.

Wprawdzie Krzyżaków pokonali, ale i swoi polegli, a Zygfyda nie mają.

Pojechawszy traktem w kierunku zamku jakiś czas, stanęli, bo noc przyszła.

Zembrzuski powiedział.

- Przenocujemy tu.

To powiedziawszy zjechał z traktu w miejscu, gdzie droga z lasu wychodziła.

- Tu dobre miejsce mamy i tu odpoczniemy po walce. Miłosza niech weźmie kogoś i niech pilnują, co byśmy spać spokojnie mogli.

Po chwili konie stały przywiązane w lesie, a obok nich Dobrosław czuwał. Miłosza zaś z Dobrawą na skraju lasu zalegli. Nie rozmawiali ze sobą, każde z nich przeżywało tę walkę w lesie. Jak również śmierć ludzi. Szczególnie Szymona, który umarł wiedząc, że Zygfyd został pojmany. W połowie nocy zmienił ich Maćkowy.

- Idźcie pospać - powiedział, ja do rana popilnuję. Ruszyli, a gdy byli przy koniach - odezwał się Dobrosław.

- Spać mamy, a jeśli już, to tu jest dobre miejsce.

Po chwili i oni ze zmęczenia i przeżyć posnęli tak głęboko, że gdy już gwarno było w obozie oni jeszcze spali. Dopiero Zembrzuski ich obudził.

- Dzień prześpicie - powiedział, a tu jeść trzeba i w drogę pora.

Jadąc zobaczyli, że kilka ptaków zerwało się z kępy drzew, które były na polu przed nimi niedaleko. Spojrzeli uważnie i za chwilę z tych drzew wyjechał wóz. Był ciągniony przez jednego konia.

- To pewnie wóz ten, który widzieliśmy - ozwał się jeden z rycerzami jadący.

Widzieliśmy jak z przeciwnej strony do zamku komtura zmierzał. Wjechał później przez bramę do niego.

- Dobrze, tu zaczekamy na nich może się dowiemy czegoś ciekawego.

Czekają. Niebawem wóz zbliżył się do lasu. Pozwolili mu wjechać, po czym za nim wolno podążyli. Gdy wóz wjechał głębiej w las pięciu ludzi Zembrzuskiego zajechało od przodu, zatrzymując wóz. Zobaczyli dwóch ludzi z podniesionymi rękami do góry.

- Litości panie wołał jeden, jesteśmy kupcami.



- Skąd jedziecie? - Krzyknął Zembrzuski.

- Jedziemy od grodu do grodu i handlujemy panie. Część towarów wymieniamy, a część sprzedajemy - odparł wymijająco ten starszy.

- A w grodzie komtura byliście? Starszy zaprzeczył.

- Gród jego panie omijamy, bo strach do niego wjeżdzać, a i co im sprzedać nie ma.

- Kłamiesz! - Krzyknął Zembrzuski, pewnie dopiero będziesz mówił, gdy bat rozwiąże ci język. Polakiem jesteś?

- Tak panie.

- Toć ze swoimi rozmawiasz, więc dlaczego kłamiesz.

Starszy zrozumiał, że kłamstwo nie popłaca. Nie chciał kłamać, ale musiał w obawie, aby Krzyżacy nie dowiedzieli się i nie zemścili na nich.

- Byłem w grodzie z nim, wskazał na tego drugiego. Boję się panie, bo on dużo mówił, to teraz nie ma języka w gębie, gdyż mu go Krzyżacy ujęli. Więc teraz ja tylko muszę mową władać.

- Nie bój się i mów prawdę. Odjedziecie wolno i nikt nie wspomni nigdy o naszej rozmowie.

Z towarami wjechaliśmy panie do grodu, by pohandlować. Krzyżacy nas wpuszczają, gdyż i oni potrzebują towarów naszych. Świece od nas biorą.

- Mów coś widział, to, co nas interesuje.

- A widziałem. Wczoraj oddział konny wyruszał, a po jakimś czasie drugi znacznie silniejszy. Ci drudzy pojechali w innym kierunku.

- A jak to mogłeś zobaczyć? - Spytał Zembrzuski.

- Ano staliśmy. A gdy bramę rozwarli widziałem, że ją przejechawszy skręcili na południe. Akurat wtedy jedliśmy obaj, tu wskazał na tego drugiego. Zembrzuski wiedział, że teraz prawdę mówi, bo skąd wiedziałby o tamtych, z którymi walnęli stoczyli.

- Jedźcie w swoją stronę, ale nim to zrobicie wóz sprawdzimy, czy czasem kogoś nie ukryliście.

- Nie panie, teraz prawdę mówię.

Przeszukali wóz i nic nie znalazłszy poza beczkami z mazią i towarami, puścili kupców.

- Milczeć masz, skoro życie ci miłe. Ten drugi nie powie.

Przestraszył go, choć miał pewność, że stary nic nikomu nie powie, gdyby kogoś w drodze spotkali. Gdy oni ruszyli, Zembrzuski zapytał imię Kalesantego.

- Widzisz waść jasność mamy, że Zygfryd z drugim oddziałem ruszył i tym samym się ubezpieczył, a nas oszukał. Pewnie tak zawsze robią, by mieć całkowita pewność. Pojedziemy za nimi do traktu, a gdy ślady zobaczymy - zdecyduję.

Jadą. Zembrzuski widzi zakłopotanie na twarzy imię Kalesantego. Wiedział, że to człowiek nadzwyczaj prawy i zaraz pomyślał.

- Pewnie za nim karze ruszyć, by bezkarnie Zygfryd nie uszedł.

Jechali w milczeniu i widać było, że imię Kalesanty spogląda na pięciu Krzyżaków, którzy jechali związani przed nim. Jeden z nich to dostrzegł, gdyż do tyłu spojrzął, ale zaraz twarz odwrócił.

- Widziałem go gdzieś, tylko gdzie?

Powiedział, jakby do siebie. I teraz to, dłuższy czas zaprzętało mu głowę. Popędził

konia i teraz mógł do woli patrzeć na Krzyżaka, który jechał udając, że nie widzi imć pana Kalesantego. Na lewym jego policzku widniała blizna, a czarne wąsy splatały się z bakami.

- Tak to ten sam, który z Zygfydem wszedł na salę u króla Jagiełły w Krakowie. Teraz wiedział, że się nie myli. To do tego oddziału Zygfyd mu nakazał przystąpić i go poprowadzić. Ale przynajmniej nie spodziewał się, że ten oddział zostanie rozbity. Zapewne planowali się gdzieś w drodze połączyć i to trzeba by z niego wyciągnąć. Gdyby tak się udało, wiedziałbym dużo - pomyślał. Żałował, że od razu nie wzięli się za Krzyżaków, którzy może zaraz po bitwie prędzej by powiedzieli. Ci pozostali na pewno nic nie wiedzą, ale ten wie. Trzeba go tego nastraszyć - pomyślał Kalesanty. Podjechał do Zembrzuskiego, a ten już wiedział, czym Kalesanty jest strapiony.

- Cóż waść?

- Ano trzeba byłoby stanąć na chwilę i tego z wąsami przepytac. Był on w Krakowie z Zygfydem. Poznałem go. On będzie wiedział, gdzie miał oddział poprowadzić. Dobrze, abyśmy i my o tym wiedzieli.

Zembrzuski pokiwał głową. Po chwili zjechali z drogi na polanę w lesie. Zembrzuski podjechał do Krzyżaka ze szramą.

- Mów, dokąd prowadziłeś swoich ludzi, a siebie i ich uratujesz. Jeśli nie powiesz, to ty i oni zginiecie, bo też nam w drodze uciążliwi jesteście.

- Jeśli powiem to i tak z ginie, więc wolę nie mówić.

- Słowo masz moje, że odstawimy was do Dokutowicza, a gdy rozprawimy się z Zygfydem, wrócimy i puszcę was wolno. To mogę ci obiecać i tej obietnicy dotrzymam.

Krzyżak głowę opuścił i zdawało się, że myśli, czy może Zembrzuskiemu zaufać. Ale on myślał, o czym innym. Myślał, że może skłamać, by oddalić śmierć i szukać szczęścia w ucieczce, która może się nadażyć u Dokutowicza. Jednak odrzucił tę myśl natychmiast. Nie pewne to jest, a on tak, jak pozostali chciał żyć.

- Nie bardzo ci ufam panie - powiedział. Jesteśmy wrogami, ale nie mam wyboru. Prawda, że Zygfyd wyruszył inną drogą. Mieliśmy się spotkać w osadzie Jangrod.

- Toż to blisko Trzyciąża, tedy zdanie zmienić muszę nie to o waszej wolności, bo tego nie cofam. Teraz pojedziecie z nami do Trzyciąża i stamtąd, gdy Zygfyda pojmiemy ujdziecie wolni. Słowo takie daje jakem szlachcic, Polak.

Krzyżak patrzył nieufnie, ale wiedział, że wyjścia innego nie ma. Chyba, że udałoby się uciec wcześniej to wtedy, może by i Zygfyda ostrzegł. Zembrzuski rozmawiał jakiś czas z imć Kalesantem jadąc koło niego.

- Wszystko teraz trzeba zmienić mając te wiadomości, a i nad dobrym planem pomyśleć.

- Musimy wysłać ludzi do grodu Mścisława i Dokutowicza i powiadomić ich o naszej pogoni za Zygfydem - rzekł Kalesanty. Wyślę jednego na ziemie nasze, co by zobaczył, czy spokój panuje, by sumienie sobie uspokoić.

- Dobry pomysł imć panie - powiedział Zembrzuski.

- Może z grodów Mścisława i Dokutowicza jacyś rycerze do nas dołączą, a i w Trzyciążu pomoc od Zbysława dostaniemy i Zygfyda do pętli doprowadzimy - rzekł imć Kalesanty.

Zembrzuski wydał rozkazy i trzech jeźdźców ruszyło przed siebie. Dwóch w jednym

kierunku, a trzeci w chwilę później skręcił i od nich odjechał. To ten, który do grodu imć Kalesantego podążył. Tych dwóch miało wracać zaraz i dołączyć, trzeci ten lekko ranny miał, gdy dojedzie, na Wołyniu zostać. Miał też rozkaz przekazać, aby z Wołynia ruszyła lekka jazda w sile trzydziestu wojów. Miał ich poprowadzić syn imć Kalesantego, Junosza. Mieli się kierować na osadę Wolbrom na gród księcia wolbromskiego, a stamtąd na Trzyciąż.

- Rozkazy wydałem - odezwał się Zembrzuski do imć Kalesantego. Kalesanty odpowiedział.

- Ominiemy zamek komtura, a gdy noc zapadnie powinniśmy już być daleko od niego.

I gdy noc przyszła głodni i zmęczeni obozem stanęli. Wiedzieli, że na razie nie mogli jechać szybko omijając gród zakonny, ale było to w ich planach, ponieważ musieli do nich dołączyć rycerze, którzy do grodu Mściława i Dokutowicza byli wysłani. Teraz już każdy rycerz się liczył, bo kilkunastu poległo w bitwach. Oddział nie przedstawiał, takiej siły, choć rycerze w nim przedni zostali. Po nocy, gdy każdy do drogi był gotów, ruszyli, ale Kalesanty zmienił plany.

- Nie będziemy czekać, co by nam Krzyżacy za bardzo nie odjechali. Moi jak zdają, to dobrze, a jak nie, trudno. Musimy ostro jechać, aby jak najbardziej zbliżyć się do Zygfyda.

Oddział ruszył i tym samym przybliżała się droga do Trzyciąża.

- Trzy dni jazdy i w Trzyciążu staniemy, jeśli się coś w drodze nie zdarzy - rzekł Kalesanty.

Przejechawszy las wjechali na pola ugorem leżące i widok był daleki jak okiem sięgnąć. Nagle Maćków dostrzegł trzech ludzi na koniach pod lasem, który za owym polem był przed nimi. Jechał na przedzie i zaraz przecisnął się do Zembrzuskiego.

- Mości komendancie, trzech ludzi tam pod lasem zobaczyłem. Jeśli ja ich, oni nas tym bardziej, bo natychmiast skryli się w lesie za drzewami.

Zembrzuski wysłuchał i powiedział.

- Nie możemy za nimi ruszyć, bo jesteśmy widoczni. Trzech ich, to nam nie zagrażają, ale jak się nadarzy sposobność, a oni nie wyjadą, tylko będą nas śledzić, wtedy my zasadzimy się na nich. Miej oczy otwarte i o wszystkim melduj. Maćków ruszył na przód oddziału. Jechał w milczeniu, gdy po pewnym czasie znowu ujrzał trójkę jadącą pojedynczo. Wzrok miał sokoli, tedy widział ich wyraźnie. Sami jechali traktem, który po skosie zbliżał się do lasu. Zembrzuski celowo nie wysyłał nikogo na zwiady, aby nie płoszyć tych, którzy tak baczenie się im przyglądali i z największą ostrożnością wjechali w las. Dopiero w lesie powiedział do Maćkowego.

- Weź Miłosze i Dobrawę i objeźdźcie dookoła. Tropu koni poszukajcie. Gdy coś znajdziecie ty decydujesz. Tobie dowództwo powierzam.

Maćków ruszył i zaraz Miłoszy i Dobrawie przekazał słowa Zenbrzuskiego. Razem we trójkę nieznacznie oddalili się od obozu. Zamierzali szukać śladów, ale nigdzie ich nie było widać. Wtedy Maćków - powiedział.

- Może konie mają kopyta owinięte, aby nie pozostawiały śladów.

Tymczasem Krzyżacy jechali spokojni. Byłi dość daleko i Austach, knecht dowodzący swymi ludźmi - rzekł.

- Nie widać Polaków, a jak ich nie widać lepiej uchodzić przed nimi. Tymczasem

Maćków zdecydował, aby wrócić. Zjechał w dół po zboczu leśnym i wtedy zobaczyli ślady dwóch koni. Konie szły w kierunku ich obozu zostawiając lekkie wgłębienia.

- Knechci lekko zbrojni - pomyślał Maćków, pewnie zwiadowcy. Ale gdzie ten trzeci, byłby za nimi?.

I w chwili, kiedy Maćków przyglądał się śladom, trzeci Krzyżak nie dostrzegł Miłoszy i Dobrawy i zaatakował pięścią. Maćków w ostatniej chwili odparował cios. Zdzielił Krzyżaka między oczy, które patrzyły złowrogo. Krzyżak zachwiał się tylko i sztylet w niego wymierzył. Teraz dopiero ujrzał Miłosze, który z łuku do niego wycelował.

- Na kolana - powiedział cicho Miłosza.

Ale Krzyżak rzucił sztyletem w niego. Chłopak pochylił się widząc rzut i w tej samej chwili strzała ugodziła Krzyżaka. To Dobrawa nie wytrzymała i strzałę wypuściła bojąc się o życie Miłoszy. Knecht padł. Ściągnęli go z miejsca widocznego, po czym ukrywszy się czekali na tych dwóch. Czekali długo, a oni nie szli. Maćków zdecydował.

- Pojedziemy w stronę obozu, nasi pewnie już ruszyli. Knechci już zobaczyli swoich w obozie i czekają na dogodny moment, aby ich uwolnić. Może liczą na to, że las nie bardzo odległy od zamku komtura jest im dobrze znany i to może pomóc w ucieczce. Maćków nic nie wiedział o nich, a oni posuwali się powoli konie prowadząc. Nagle usłyszał konie knechtów i rozejrzał się dokoła. Nikogo blisko przy nich nie było. Zobaczył Dobrawę i rzekł do niej.

- Weź konie i poczekaj, a potem rusz za nami.

- Dobrze - odparła dziewczyna.

Po chwili Dobrawa odwiązała je, a Miłosza z Maćkowym ruszyli. Byli już blisko obozu. Niemal widzieli swoich wyraźnie, choć odległość była znaczna. A Zembrzuski wybrał na miejsce postoju las po to, aby nikt nie mógł podejść niezauważony.

Maćków pomyślał.

- Muszą tu być.

Bacznie obserwował. Rozejrzał się uważnie, ale nikogo nadal nie mógł zobaczyć, bo tu gdzie oni byli zarośla rosły gęsto. Miłosza spojrział na niego i cicho rzekł.

- Musimy poczekać. Jak nasi ruszą nie doczekawszy się nas, to i knechci nam się pokażą.

- Rację masz - powiedział Maćków, ale teraz wróć do Dobrawy, co by z końmi się zatrzymała.

Miłosza ruszył, lecz przeszedł konia swego trzymając, do miejsca, gdzie ją zostawili. Jednak nie znalazł dziewczyny. Zdziwił się mocno i wtedy zdecydował odezwać się głosem cietrzewia. Po chwili Maćków był przy nim.

- Nie ma Dobrawy? Pewnie natchnęła się na knechtów i ci ją zabrali wracając po konie. Jak oni szli, że ich nie widzieliśmy?

- Nie czas na rozważania, ruszajmy - rzekł Maćków.

Pognali galopem przez las. Pędzili jak szaleni i już wkrótce ujrzeli na skraju lasu tych dwóch. Knechci jechali, jeden przodem, a drugi z tyłu, a w środku dziewczyna. Nie jechali szybko. To Dobrawa opóźniała ich jazdę. Słońce schyliło się bardzo ku zachodowi. Na szczęście oni jechali drogą, która prowadziła skrajem lasu. Maćków - rzekł.

- Pojedziemy w las, wyprzedzimy ich i urządzimy zasadzkę, ale tak musimy to zrobić, aby nie stała się krzywda Dobrawie - powiedział Maćków.

Wyprzedzili knechtów, czuli to, bo jechali bardzo szybko. Wtedy znów ruszyli w lewo w kierunku drogi.

- Nie możemy pozwolić, by knechci ostrzegli Zygryda i powiedzieli mu, że za nim podążamy. Ale najważniejsze, to odbić Dobrawę - rzekł Miłosza.

Wyjechali na drogę, rozejrzeli się uważnie i zaraz po tym usłyszeli konie, które do nich się zbliżały. Rozejrzał się Maćków, bo czasu mieli mało. Po lewej stronie od pola stała kępa drzew i trawy wysoko tu rosły.

- Stań tam.

I kiedy chciał coś dodać, Miłoszy już przy nim nie było. Maćków w las wjechał i cofnął się w kierunku, gdzie knechci jechali z Dobrawą.

- Pomyślał, przepuszczę ich, niech jadą na Miłosze, a ja im zamknę drogę. Wkrótce wyjechali knechci z dziewczyną. Ręce związane miała. Maćków podniósł łuk i czekał z naciągniętą do połowy cięciwą. Strzała była nałożona. Po chwili zauważył, że jeden z knechtów ręce wyrzuciwszy w górę na koniu zawisł. Wtedy natychmiast i on strzałę wypuścił do drugiego, który koniem w las skręcił. Krzyżak trafiony został, a koń jego poniósł w las. Miłosza już był przy Dobrawie. Sznury na rękach przeciął i po chwili ruszyli za Maćkowym w las. Dojrzeli, że Maćków klęczy nad knechtem. Knecht jeszcze żył, choć strzała głęboko utkwiała w jego ciele.

- Od Zygryda jesteś? - Spytał Maćków.

Knecht nie odpowiadał. Zaraz po tym zamknął oczy i głowa mu opadła. Maćków wstał i rzekł do Miłoszy.

- Nic nie powiedział, ale dobrze, że Dobrawę mamy. Wracamy.

Nie musieli długo jechać, bo Polacy byli tuż za nimi. Maćków zameldował Zembrzuskiemu o wszystkim, a ten powiedział.

- Obawiałem się, długo was nie było. Postanowiłem ruszyć, bo czasu szkoda. I tak go dużo straciliśmy. Noc jasna, a skoro na trakt wyjechaliśmy nadrobimy to nocą, co w dzień straciliśmy. Może nad ranem trochę odpoczniemy. Teraz trzeba kilku przodem puścić, by czuwali.

Po chwili trzech odjeżdżało pełnym galopem po trakcie. Rzeczywiście noc była nadzwyczaj jasna, gdyż księżyc bystro rozjaśniał ziemię, a powietrze niemal przejrzyste było. Nad ranem dopiero zsiadli z koni, posilili się nieco i zmęczeni warty wystawiwszy spali. Nie za długo Zembrzuski otworzył oczy i gdy wszyscy jeszcze spali poszedł do koni, które stały blisko. Zobaczył ludzi ich pilnujących.

- Wszystko w porządku? - Spytał.

- Tak - usłyszał w odpowiedzi.

Przeszedł na drugą stronę obozu i tu również ludzie czuwali. Wszedł do obozu.

Zbudził czterech każąc im zmienić pilnujących, aby i oni mogli, choć na kilka chwil zamknąć oczy. I znów obóz zamarł. Zmęczeni byli, ale gdy krzyknął im pan Kalesanty i Zembrzuski oczy otworzył.

- Jedźmy - powiedział, Kalesanty.

Po chwili obóz życiem tętnił. Nie długo już w siodłach siedzieli. Miłosza, Maćków ani nikt inny nie rozmawiał z Dobrawą, jak doszło do tego, że ją knechci pojмали. A ona wiedziała, że gdy rozstali się z Miłoszą i Maćkowym i została sama z końmi

knechci już ją obserwowali. I natychmiast, gdy oni odjechali pojмали ją zachodząc z koni, które prowadziła. Poruszali się teraz dość szybko, jako, że droga dobra była, a do Trzyciąża daleko. Spytko czuł się znacznie lepiej i oko mniej bolało. To Dobrawa z Miłosza czuwała nad nim oko ziołami okładając.

- Ciekawym, czy dojdziemy w drodze Zygryda, czy ludzie nasi z Junoszą zdążą i czy tamci, którzy pojechali do grodu Mścislawa i Dokutowicza też.

To nurtowało Zembrzuskiego, który jechał zamyślony. Przejechali dzień cały i dopiero teraz obozem stanęli.

- Trzeba wieczrę zjeść - rzekł Zembrzuski. Na pewno zbliżyliśmy się do Krzyżaków. Przecież oni nic nie wiedzą. Z pewnością częściej w drodze odpoczywali.

Każdy w milczeniu jadł mięso suszone, a gdy znów w drogę się wybierali, zobaczyli, że człowiek jako wyś traktem zdąża. A i on ich zobaczył, i gdy już był blisko - rzekł.

- Ze starszym chcę rozmawiać! Podszedł imć pan Kalesanty.

- Jada ze mną rycerze Mścislawa i Dokutowicza, oraz waszych dwóch panie.

Jedziemy wam z pomocą. Ja jadę przodem, aby wam powiedzieć, że dwa dni bez przerwy w siodłach siedzimy.

- Dobrze - odparł Zembrzuski, noc nadchodzi i obozem tu staniemy. Miejsce dobre przy drodze, osłonięte, a ludzie muszą się wyspać.

Spojrzał, na Kalesantego, a ten głową skinął, jakby też na to przystał.

- Za to wcześniej rano pognamy przed siebie.

I Zembrzuski i Kalesanty, a także pozostali nie spodziewali się takich posiłków w postaci dwudziestu zbrojnych. Ale Zembrzuski wiedział, że będą oni bardzo pomocni w walce z rycerzami Zygryda. Noc przeszła spokojnie, tylko na jej początku Dobrawa opowiedziała bratu, jak doszło do tego, że ją knechci złapali. Musiała, choć jemu powiedzieć, gdyż nie mogła znieść tego, że nikt jej o to nie pytał. On przytulił ją do siebie i tak zastał ich świt. Szarzało jeszcze, gdy Zembrzuski postawił wszystkich na nogi.

- W drogę! - Rozkazał.

Imć panu Kalesantemu droga już dawała się mocno we znaki. Stary był, ale niesiony chęcią złapania Zygryda przewycięzał słabości. A i Spytko czuł się lepiej i jego pewnie ta sama wola podnosiła na duchu.

Oko po okładach Dobrawy mniej bolało, kości też, a co najważniejsze mógł więcej spać. Sen dodawał mu sił. Ruszyli ostro i znów przodem jechał Miłosza i Dobrosław, oraz Dobrawa, a orszak zamykał Maćków.

- Do Trzyciąża może dzisiaj dojedziemy, jeśli nic się nie zdarzy - powiedział Zembrzuski.

Kalesanty odpowiedział.

- Rad byłbym bardzo, ale teraz staniemy. Nieco odpoczniemy. Wyślij jednego z naszych do Zbysława, aby go powiadomić, że jedziemy.

- Dobrze - odezwał się Zembrzuski.

Jeszcze chwilę jechali w milczeniu. Słońce bardzo mocno grzało, gdy dojechali do lasu. Wjechali wń i dopiero Zembrzuski powiedział.

- Do Trzyciąża dojedziemy wieczorem.

Wyśłał jednego ze swych ludzi do Zbysława, a sami zsiadli z koni. Ten, który do

Zbysław jechał, konia na wypoczętego zmienił. Przesiadł się na innego, który do tej pory szedł luzny. Długo nie odpoczywali. Ruszyli, bo też im pilno było do rozmowy ze Zbysławem. Wieczorem dojeżdżali, a naprzeciw nim wyjechał Zbysław.

- Rad jestem, że waści znów widzę - powiedział na przywitanie. Zdjął z głowy czapkę, na której trzy duże pióra stały.

- Chyba tak od tych trzech piór gród się nazywa, bo trzy i ciężą na czapie Zbysława - rzekł Zembrzuski.

Ale i Kalesanty tak myślał, gdy witał się ze Zbysławem serdecznie. Zbysławowi ludzie też byli gotowi do drogi. Ale Zbysław dopiero teraz ujrzał Spytkę. Przyglądał mu się i nie dowierzał. Myślał, że ten stary druh już nie żyje, zabity przez Krzyżaków. Podjechał do niego.

- Oczom swoim nie wierzę - rzekł.

- To uwierz panie. Żyję i niech teraz Krzyżacy drżą. Ale przedtem muszę do zdrowia dojść, bo te psubraty mi je odebrały.

Zbysław złapał go w ramiona i lzy potoczyły mu się po policzkach.

- Jeńców w grodzie zostawimy pod strażą, a że wieczór nie patrzmy. Ruszajmy, aby jeszcze dziś drogi ująć - krzyknął imć Kalesanty.

Drogi dzielącej ich od Zygfyda. Noc głęboka była, gdy obozem stanęli. Koniom, a i ludziom należał się odpoczynek. Znów przed świtem wstali. Jangrot, gdzie mieli się spotkać Zygfyd z drugim oddziałem był przed nimi. Tylko z tamtego oddziału, o czym Zygfyd nie wiedział niewiele zostało, bo rozbili go Polacy.

- Już niedaleko - rzekł, imć pan Kalesanty, to już naprawdę niedaleko. Zobaczymy wszystko, gdy Krzyżacy będą czekać. Będziemy jechali wolniej, a przodem puścimy ludzi, co by pilnie patrzyli. Musimy podejść Zygfyda jak najbliżej, nim się zorientuje.

Gdy słońce już na dobre wzeszło, wrócił jeden ze zwiadów.

- Imć panie są - rzekł do Kalesantego. Zalegli przy drodze i czekają.

- Ilu ich jest?

- Nie sposób dowiedzieć się, gdyż nie podchodziliśmy tak blisko. Nie można ich płoszyć. Lepiej wziąć z zaskoczenia.

- Dobrze - odparł imć Kalesanty.

Z Zembrzuskim, oraz Zbysławem uradzili. Kilku ludzi od drogi miało ostrożnie obejść obóz krzyżacki i przyczaić się. Mieli to być wojowie od Dokutowicza. Ludzie Zbysława z drugiej strony. A Zembrzuski ze swymi mieli ruszyć z przodu prosto na Krzyżaków.

Zembrzuski ze swoimi odczekał, nim Zbysław zajmie pozycję i ruszyli wolno z rozwagą. Dojechali do swoich, którzy byli tuż przy obozie. Jeden z nich meldował.

- Był tu strażnik, ale go ubiliśmy.

Teraz wsiedli na konie ukryte w krzakach i ruszyli pełnym impetem. Zaskoczeni Krzyżacy rozbiegli się wokoło. Jedni do koni biegli, drudzy bronili się bez koni. Lecz szybko niektórzy z nich koni dosiadłszy, zaczęli opór stawiać. Widać było, że w świetle Zygfyda jechali rycerze znający swój fach, bo bronili się tego. Szczękały miecze, w ruch poszły topory, bo łuki stały się bezużyteczne, gdyż wielu już z rycerzy Zygfyda w tęgiej zbroi na koniu zostało. A konie też były osłonięte. Ludzie Zembrzuskiego walczyli zaciekle. Wszystko to obserwowała Dobrawa, która ze

Spytkiem na uboczu w zaroślach stała. Jednak Polacy, mimo, że padło kilku Krzyżaków cofali się i wtem ruszył Zbysław. Krzyżacy widząc to w bok skoczyli, ale tu wyjechali im naprzeciw ludzie Dokutowicza. Krzyżacy poczuli, że są zamknięci. Ruszyli w stronę rycerzy Dokutowicza, gdyż tu najmniejsze siły były. Potworny szcęk oręza słyhać było i rzenie koni gwałtownie wstrzymywanych cugłami. Kilku z nich przebiwszy się przez ludzi Dokutowicza pognało w las, a pozostali zacięty opór stawiali osłaniając jakby tamtych. Ruszył Maćków za nimi, lecz na jego drodze wyrósł potężny Krzyżak z toporem w ręku. Maćków przez chwilę znalazł się w opałach, osłonił się tarczą jednak, a w dłoni miecz dzierzył. Topór z wielką siłą prześlizgnął się po tarczy. Maćków poczuł to uderzenie, ale w tym ułamku czasu zadał cios mieczem. Krzyżak w porę tarczę nadstawił i walka trwała. Długo jeszcze, bo obaj byli nadzwyczaj silni. Każdy z nich wiedział, że chwila nieuwagi życie kosztuje. Objeżdżali się końmi dookoła, bacznie uważając. W szczelinie hełmu, który Krzyżak miał na głowie dostrzegł oczy z iskierką strachu i to dało Maćkowemu przekonanie, że Krzyżak osłabł i teraz odpoczywa. Ruszył, więc i dwa potężne uderzenia spadły na tarczę Krzyżaka. Przyjął on uderzenia Maćkowego i sam też toporem cios zadał, ale już słabszy. Następne uderzenie też słabsze przyjął, ale po następnym, tarcza mu z rąk wypadła. Konia w bok słał, po czym skreślił i do ucieczki ruszył. Maćków dogonił go i w pełnym galopie skoczył mu na plecy. Spadli razem na ziemię i potoczyli się nieco. Hełm spadł z głowy Krzyżakowi, ale Maćków siedział na nim. Pchnął sztyletem, który w ostatniej chwili wyrwał zakonnemu i tak skończyła się ta walka. Wstał i rozejrzał się dookoła. Koń jego stał, więc dobiegł do niego, podniósł z ziemi miecz i tarczę i ruszył, aby za chwilę znów znaleźć się w środku walki. I jakby na czas zdążył, bowiem zobaczył Miłosze, na którego dragi potężny Krzyżak natarł. I teraz Miłosza znalazł się w opałach. Wjechał Maćków między nich korzystając, że koń Miłoszy w bok odjechał wiedziony przez jeźdźca i mieczem zadał cios potężny, który Krzyżak swym mieczem odparował. Teraz znów natarł i Krzyżak widząc niebezpieczeństwo spał konia, po czym chciał odskoczyć do swoich. Ruszyli za nim, ale w tej chwili koń jego runął na ziemię. Zawadził kopytami o drugiego, a Krzyżaka po ciosie, tylko zbroja uratowała. Ale już przy następnym padł na kolana. Potem na twarz. Po tych, którzy umknęli do lasu nie było już śladu. A i zaraz za nimi tą samą drogą kilku umknęło. Nikt za nimi nie ruszył w pogoń, bo nie było chwili wytchnienia. Gdy szcęk oręza ucichł, dopiero teraz było widać pobojuwisko straszne. Szukali swoich i Zygryda. Swoich niestety kilku znaleźli, za to Zygryd zdążył uciec, jeżeli był z nimi. Od rannego Krzyżaka dowiedzieli się w zamian za obietnicę wolności, że Zygryd zostawił ich oddział z tyłu, a sam z kilkunastoma w przedzie jechał.

- Na pewno usłyszał szcęk oręza, ale do swoich w obawie o swoją głowę nie wrócił, aby im pomóc - rzekł Zembrzuski. Taki właśnie jest Zygryd. Teraz z pewnością jest już daleko przed nami, ostrzeżony zgiełkiem walki. Tamci, którzy odjechali, też są na pewno przy nim. Weźmiesz kilkunastu ludzi - ozwał się Zembrzuski do Maćkowego. Dziewczynę też weźcie. Widzę, że Spytko lepiej się trzyma. Gdybyście do nich doszli jedźcie za nimi w bezpiecznej odległości. A dziewczyna niech wraca do nas, byśmy wiedzieli. Gdyby na was ruszyli unikajcie walki i też zawracajcie. Na pewno nie będą dążyć za wami w kierunku, skąd uciekli.



Maćków ruszył wzięwszy piętnastu rycerzy. Od Dokutowicza, też pięciu z nim jechało. Gdy odjechali - Zbysław rzekł do imć pana Kalesantego.

- Szczwany lis z tego Zygfyryda. Tracę nadzieję, że go dojdziemy. Kalesanty odpowiedział.

- Szczęście, a i rozwaga są po jego stronie, ale honoru mu brak, boć przegrał ten honor z nami. Pojedziemy jeszcze trzy dni za nim, a gdy go nie dopadniemy z bólem serca wracać nam pozostanie. Teraz martwię się, bo mogą najechać na mego syna. On przecież zdąży na Jangrod z Wolbromia.

Nie wiedział jeszcze, że jego syn Junosza wpadł w pułapkę zastawioną przez Krzyżaków, którzy ich pierwsi dostrzegli. Zostało ich tylko pięciu, wśród nich ranny syn imć pana Kalesantego, którzy teraz uchodzili w ich stronę. Nie za długo Maćków usłyszał tętent koni. Dostrzegł pięciu jeźdźców, bo Krzyżacy Zygfyryda gonili ich czas jakiś, ale potem wrócili, bojąc się natknąć na Polaków. Syn był ranny. Maćków widząc, że to swoi wyjechał im naprzeciw. Wtedy dowiedzieli się wszystkiego. Piętnastu ludzi wpadłszy w zasadzkę krzyżacką zginęło, tylko im udało się w końcu zbiec. Maćków kazał im ruszyć w drogę, skąd Polacy mieli nadjechać. A sami ostrożnie posuwali się za Krzyżakami. Nie za długo znaleźli się w miejscu pułapki przez Krzyżaków zastawionej. Leżeli ludzie w beładzie, ale Maćków zauważył, że kilku Krzyżaków też życie oddało.

- Straszne to życie - rzekł.

Po czym znów ostrożnie podążyli za Krzyżakami. Jechali, ale po nich jakby ślad zaginął. Sprawdzili to dokładnie.

- Pewnie lasem jadą. Mogli pojechać w każdą stronę. Nawet rezygnując z kierunku, w który jechać powinni. Pewnie kluczą, aby nas zmylić.

Postanowili zwawo pogonić do przodu, ale w niedługim czasie zmienili zdanie.

Postanowili, że poczekają za Zembruskim. Tymczasem pięciu jeźdźców jechało w stronę Zembruskiego. Wkrótce pierwsi zobaczyli oddział zbrojny nadjeżdżający z przeciwka.

- Ojciec mój - ozwał się Junosza. Dobrze, że go zobaczę, bo może nie wyżyję.

Kalesanty zobaczył syna, gdy wyjechali naprzeciw i ręką znak krzyża zrobił. Zsiadli z koni.

- Widzieliśmy w przedzie naszych, Maćków ich prowadził i polecił abyśmy w waszą stronę jechali. Siedzę jeszcze na koniu, ale ramię mam stłuczone od miecza krzyżackiego - rzekł Junosza. Dobrze, że cudem jakimś bokiem miecza, a nie ostrzem dostałem, dlatego jeszcze w siodle siedzę.

Kalesanty podjechawszy głowę syna do piersi swej przycisnął i powiedział.

- Prawda, że to cud, iż ciebie widzę.

Kilku zostało z Junoszą na rozkaz imć pana Kalesantego, a reszta z wolna ruszyła za Maćkowym i Krzyżakami. Ci, którzy zostali mieli opatrzyć stłuczone ramię Junoszy i ruszać za nimi. Stłuczenie na szczęście okazało się mało groźne i po jakimś czasie ranny konia dosiadł. Ból jednak przy ramieniu został. Cierpiał, ale jechał zagryzając wargi. Słońce przechyliło się do zachodu, gdy dojechali do Maćkowego.

- Ślad się urwał - powiedział Maćków. Pewnie w las głęboko wjechali zbaczając od celu. Właściwie nie wiadomo, gdzie pojechali?

Ruszyli dalej, gdy Kalesanty tego wysłuchał. Jechał i myślał - po czym przywołał do

siebie Zembrzuskiego. -Co byś zrobił teraz?

- Jechałbym na Wolbrom, a przed nim zjechałbym w prawo i w kniei przy trakcie zgotował zasadzkę. Może szczęście dopisze, że bylibyśmy tam przed Zygfydem, bo on w ucieczce drogi nadłoży i dużo czasu stracą. Natomiast my jechalibyśmy prosto. Jest szansa, ale tylko wtedy, gdy jest jak mówię i oni Wolbrom też zechcą ominąć.

- Skoro tak mówisz, to tak zrobimy, bo to jest prawdopodobne. Pojedziemy prosto traktem do Wolbromia - rzekł Kalesanty.

Pół nocy jeszcze jechali, bo trakt szeroki, a księżyc znów dobrze rozjaśniał drogę. Później zjechali z drogi, aby odpocząć. Kalesanty - krzyknął do syna. -Tu jestem - odparł Junosza. Zaraz po tym odezwał się ojciec.

- Jak się czujesz, czy ból ustał?

- Ustać nie ustał ojciec, ale do rana może przeminie nieco.

- Źle zrobiłem, że po was posłałem. Nie mogę sobie darować. Pomocy żadnej, a strat dużo. Ale któż to mógł przewidzieć. Zaśnij synu, a i ja położę się koło ciebie, aby do rana możliwie odpocząć. Przecież to rano już prędko przyjdzie, jakby do siebie to powiedział.

Zaległa cisza, wszyscy twardo spali, tylko kilku ludzi koni i obozu pilnowało. Świt wstał pochmurny i zrobiło się zimno. To też Zembrzuski zbudził się, wstał i poszedł obejść warty, które nad ranem zastąpił Miłosza z Maćkowym i jeszcze kilkoma, których zbudzili. Miłosza stał przy koniach, i do niego podszedł Zembrzuski. Zdziwił się, że to on stoi, a jednocześnie powiedział.

- Spałem głęboko, ale dobrze, że oni czuwają. Wszystko dobrze? - Spytał.

- Tak - usłyszał w odpowiedzi.

Maćków z ludźmi zmienili tych, którzy w nocy czuwali i oni już od dwóch godzin śpią.

- To dobrze, że tak zrobiliście, gdy ja przysnąłem nieco. Widać, że trudy już i do mnie dotarły. Wy młodzi szybciej wypoczywacie.

Poklepał, Miłosze i poszedł obejść obóz od drugiej strony. Po chwili natknął się na Maćkowego.

- Daj znak ludziom, którzy pilnują, a ja pobudzę wszystkich i ruszamy, by jak najszybciej być pod Wolbromiem.

Nie wiedział, a Krzyżacy również spali i w tej chwili Zygfyd ich obudził. Ci i ci ruszyli w drogę. Polacy w kierunku Wolbromia, by później przed nim zboczyć, zacząć się i czekać. Tak też się stało. Dojechali na miejsce przed wieczorem, a znalazłszy miejsce dogodne do zasadzki zalegli w nim. Kalesanty ostrożność nakazał i tak czekali. Minęła noc i nic się nie wydarzyło. Rano wysłali dwóch ludzi w kierunku spodziewanego przyjazdu Krzyżaków, ale oni po południu wrócili i zameldowali Zembrzuskemu.

- Nie widzieliśmy nikogo, mości panie. Krzyżaków ani śladu. Ślad, zatem po Zygfydzie zaginął.

- Czyżby nas wyprzedzili wcześniej?

- Nie, to niemożliwe - rzekł im pan Kalesanty. Poczekamy do jutra, a jeśli oni nie nadjadą wracamy - powiedział do Zembrzuskiego.

Usłyszał to Zbysław i spojrzął na Zembrzuskiego i ani ten, ani ten, nic nie wymówili. Czekali jeszcze w nadziei, ale przeszedł dzień i przyszła pora wracać.

- Straciliśmy kilkunastu ludzi - rzekł Kalesanty, ale Krzyżaków padło znacznie więcej. Dobrze, że syn żyje. Ale nie dobrze, że Zygfydowi udało się ominąć zasadzkę.

O tym samym myślał i Zembrzuski, zapewne i Zbysław. Musieli odłożyć spotkanie z Zygfydem, ale wierzyli w to, że kiedyś im szczęście dopisze. Wczesnym rankiem zdecydował imć Kalesanty wyruszyć w drogę powrotną i po kilkunastu dniach widać było jego ziemię, jego kasztel stojący w kępie drzew. Zobaczyli też ludzi biegnących im, naprzeciw. Ludzi, którzy biegli, by zobaczyć, czy pan ich zdrów i cały podąży do domu. Znow przyszły w miarę spokojne dni, dni pracowite. Niemal każdego Kalesanty myślał o Zygfydzie, bo nienawidził go srodze za podłości przez niego popełnione. A jednocześnie myślał o tym, jak król Polski poradzi sobie z Krzyżakami, aby ci już na zawsze nie zagrażali zwykłym ludziom. I tak przeszła jesień i zima.

### ROZDZIAŁ III

Z nastaniem wiosny nadeszła wieść nowa. Wieść o śmierci komtura na zamku w Malborku. Stary on był i wielu rzeczy nie wiedział o wyczynach Krzyżaków jemu podległych. Ale najgorsza wieść przyszła trochę później. Wieść, że te rządy przejął w swe ręce Zygfyd. Zapowiadało to pogorszenie stosunków z Polakami i królestwem. Wiadomość tą podał im człowiek, który zmierzał do króla, by mu to obwieścić. Wkrótce i król dowiedział się o tym. Zasepił się, myśląc o Zygfydzie. Zdobycie władzy przez tego zbira nie wróżyło nic dobrego. Tymczasem w grodzie, Miłosza przyszedł jednego dnia do imć Kalesantego i powiedział.

- Mości panie, syn waści Junosza, który do niedawna się ze mną bratał, teraz odwrócił się ode mnie. Rozumiem, bo on z rodu szlacheckiego, a ja nie. Jeszcze nie tak dawno przyjaźń nas łączyła i ja za nim w ogień bym skoczył. Teraz jednak, jak mówiłem, odwrócił się ode mnie.

- Coś was skłóciło? Zapytał imć Kalesanty.

Choć domyślał się już, ale chciał to usłyszeć od chłopaka.

- Dobrawa, mości panie.

- Idź, zatem i przyślij ją do mnie.

Miłosza już szedł w kierunku miejsca, gdzie Dobrawa pracowała z kobietami.

Nauczyła się, bowiem płótno wyrabiać i to zajmowało jej znaczną część dnia.

Miłosza podszedł do niej i powiedział.

- Musisz iść do imć pana Kalesantego.

Dobrawa poszła, a gdy znalazła się przed Kalesantym - ten rzekł.

- Słyszę, że przez ciebie mości panno, niektórzy przyjaźń tracą. Myślę, że będziesz musiała stanowczo wybrać jednego, a przyjaźń do nich powróci.

Dobrawa głowę opuściła.

- Ja mam panie tylko jednego w sercu. Tego drugiego nie chcę krzywdzić, ale nie mogę zwrócić się do niego sercem. Chciałabym panie, abys ich pogodził.

- A kogóż to w sercu swym nosisz - ozwał się Kalesanty. Zapytał, choć i tego łatwo się domyślał. Dziewczyna głowę opuściła.

- Śmiało mów - powtórzył imć Kalesanty. Sercem twoim ty rządzisz i ja nie będę miał

za złe, gdy odrzucisz syna mojego. Dobrawa odpowiedziała.

- Gdy pierwszy raz Miłosze zobaczyłam to postanowiłam, że przy nim będę i teraz tego zdania nie mogę zmienić.

Kalesanty opuścił głowę. Dziewczynę pogładził po włosach i rzekł.

- Idź tedy do niego, a ja porozmawiam z Junoszą, aby ta przyjaźń do nich powróciła. Dobrawa wyszła i zobaczyła, że Miłosza czeka na nią, więc podeszła do niego i powiedziała.

- Wybrałam ciebie, teraz chcę od ciebie usłyszeć, jakieś miłe słowo.

A on przytulił ją do siebie i to jej w zupełności zastąpiło odpowiedź, której już nie oczekiwała. Odtąd byli już zawsze razem, a przyjaźń wróciła po jakimś czasie, tak jak obiecał imć pan Kalesanty. Znów przyjaźnili się tak, jak dawniej we czwórce, bo i Dobrosław do nich należał. Mijały dni. Przyszły te coraz cieplejsze i razu jednego przybył do grodu posłaniec od Zbysława. Spotkał się z imć panem Kalesantym i przekazał wieści, że duży oddział ruszył z Malborka.

- Kierują się w głąb kraju - powiedział. Jeden z kurierów jadących do króla z ową wieścią zjechał do Zbysława, gdzie konia zmienił i tę wiadomość mu przekazał. A Zbysław mnie natychmiast wysłał.

- Odpocznij tedy, najedz się i wracaj do Zbysława. Dobrze, że mnie ostrzeżliście. Kalesanty zamyślił się.

- Gdzie oni mogą jechać, dokąd? Jaką mają misję do spełnienia? Czyżby do króla z jakimś żądaniem jechali.

To były tylko domysły. Postanowił to sprawdzić. Kazał przywołać Zembrzuskiego, a gdy ten się pojawił u niego zaczęła się rozmowa. Imć pan Kalesanty powiedział mu, co usłyszał od posłańca i również poprosił o zdanie Zembrzuskiego.

- Moim zdaniem nie możemy siedzieć spokojnie - odparł Zembrzuski. Musimy ruszyć, mości panie. Bo może Zygfryd wysłał zbrojnych, by się zemścić. Może do Zbysława jadą, a może do Dokutowicza, a może i do nas. Trzeba wyjechać im naprzeciw i strzec ich bacznie, by nie dać się zaskoczyć.

- Masz rację, dziś wydam dyspozycję w grodzie, a jutro zebrawszy ludzi ruszymy. Niech już dziś ludzie oręż szykują, tego dopilnuj.

- Dobrze mości panie - rzekł Zembrzuski. Wszystko będzie na czas gotowe.

Po chwili już ludzie szykowali się do drogi. Na wieść o Krzyżakach imć pan Kalesanty, jakby odmłodził. W ogóle z wiosną poczuł się lepiej, mimo, że roczek przybył. Jeszcze lepiej, gdy rozkaz wydał, aby szykować konie i jadło do drogi i wszystko, co może być w drodze potrzebne. Dzień i noc przeszły i przyszedł ranek. Stańli na koniach zbrojni, a Zembrzuski zameldował imć Kalesantemu.

- Do drogi gotowim, mości panie. Wszystkiego, już od świtu pilnowałem, aby niczego nie zbyło.

Skinał głową imć pan Kalesanty i brama w grodzie została otwarta. Wyjechali na trakt. Wiedzieli gdzie jechać, znali tu każdy zakątek tej ziemi. Przemieszczali się dość szybko mając konie wypoczęte. Jechali dwójkami, a na końcu szły konie juczne. Było ich kilkanaście. Imć Kalesanty zdecydował, że będzie konno jechał, bo przeczuwał, że i lasami gęstymi przyjdzie też jechać, a i nie raz w gęstwinę się zaszyć. A konno lepiej. Jechali teraz w milczeniu w kierunku grodu Zbysława. Na przedzie Maćków, Miłosza i Dobrawa, gdyż dziewczyna ubłagała imć pana Kalesantego, aby zezwolił jej z Miłosza jechać. Zastanawiał się imć pan Kalesanty,

wreszcie zgodził się. Rozumiał dziewczynę, a i wiedział, że już nie raz z nimi była i sprawiała się

nadzwyczaj dobrze. A i brat jej Dobrosław jechał za nimi.

- Co też wydarzy się, myślał imć pan Kalesanty, a i o tym samym myślał też Zembrzuski.

Nagle zobaczyli ludzi jakowyś, jadących z przeciwnej strony. Byli to ludzie nieznani imć panu Kalesantemu. Zatrzymał ich tedy i zagadał.

- Dokąd zmierzacie?

- Jedziemy panie na południe, podobnież Krzyżacy z północy zmierzają w głąb kraju. Kalesanty spojrział jeszcze raz na nich. Widział, że niektórzy z nich są silni, więc zapytał.

- A dlaczego przed nimi uchodzicie? Przed zimą panie, a na początku jej jeszcze mieszkaliśmy w lesie. Osadę tam mieliśmy.

Zawitali do nas Krzyżacy i wymordowali prawie wszystkich, a osadę zrównali z ziemią ogniem. Nam tylko udało się przeżyć, gdyż na polowaniu byliśmy, dalej od domu. Później pobudowaliśmy szałas i zimę w nich przemieszkaliśmy.

Ale teraz doszły nas wieści, że Krzyżacy jadą to i my panie ruszyliśmy z obawy o życie.

- Rozumiem - ozwał się imć pan Kalesanty. Nie chcielibyście odwdzięczyć się Krzyżakom za waszych, którzy poginęli?

Spojrzeli z niedowierzaniem.

- Z luków nieźle strzelacie, prawda?

- A prawda panie.

- No to przyłączcie się do nas i w drogę.

Po chwili tamci do oddziału przyglęli i wszyscy teraz już jechali. Nie było takich upałów, więc jazda nie była tak męcząca, to też drogę pokonywali dość prędko.

Wiedzieli, że Krzyżacy powinni jechać koło grodu Zbysława, jeżeli do króla polskiego zmierzali. I tam właśnie imć pan Kalesanty zamierzał dotrzeć.

- Jeśli zorientujemy się, że Krzyżacy do króla jadą, tedy przepuścimy ich.

Jednak, gdyby na rozkaz Zygfyryda zamierzali napaść na gród jakowyś, z zemsty za rok poprzedni, gdy uchodzili w popłochu, musimy wtedy czoła im stawić.

W drodze, gdy przejeżdżali przez las, podziwiał imć pan Kalesanty piękne drzewa, które tego roku naprawdę cudnie wyglądały. Dęby i buki stały przy drogach, które mijali. A świerki i sosny też im pięknnością dorównywały.

Odezwał się Kalesanty do Zembrzuskiego.

- Ziemię piękną mamy, a i puszcze i lasy cudowne, tylko spokoju nam brak. Może kiedyś wywalczymy sobie i spokój.

Lżej mu się na duchu zrobiło, choć wiedział, że do tego spokoju droga daleka. Przed nocą stanęli przygotowując się do wieczerzy i odpoczynku. Napalili ognisko, gdyż świeże mięso mieli ze sobą i po upieczeniu go, pożywili się. Potem noc przysła spokojna. Ogniska przygasły i sen zmorzył wszystkich za wyjątkiem Zembrzuskiego, który sprawdzał wszystko, czy jest tak, jak być powinno. Dopiero później, on się położył i zasnął. Ranek obudził ich śpiewem ptaków i przyjemną wonią, która rozchodziła się wokoło. Wszystko budziło się do życia, tak jak i od nowa, rozbudziła się niechęć do Krzyżaków, niechęć imć pana Kalesantego. Wstali pośpiesznie i nie

jedząc ruszyli w drogę. Dobrosław znów w rękę trzymał chorągiew. Lubił to mimo tego, że ciężiej było jechać trzymając chorągiew w dłoni. Od wyjazdu z nią się nie rozstawał. Widział to imć pan Kalesanty. Pomyślał. Pożytek mam z niego, a i przez jesień i zimę nie próżnował. Tęgo z bronią się poznawał, a i sam Zembrzuski dobre słowa o nim mówił. Pilnie śledzi rycerzy i sam ćwiczy, że już teraz nie chciałbym stanąć mu na drodze. Miłosza i pozostali też ćwiczyli, aby z wprawy z orężem nie wyjść. Teraz dobrze przygotowani jadą. Z tego rad był imć pan Kalesanty. W południe stanęli dojechawszy do potoku w lesie. Napoili w pierwszej konie, później dla siebie wody nabrali. Odjechali nieco dalej i z koni zsiadli. -Tu odpoczniemy chwilę - odezwał się imć pan Kalesanty.

Gdy usiadł, jął z pod oka obserwować Dobrawę. Nie widać było po niej żadnego zmęczenia. Doszły słuchy, że i ona również bacznie ćwiczyła z Miłosza przez całą zimę.

- Co za dziewczyna - pomyślał. Jak chłopak.

Wiedział, że i Miłosza jej nie odstępuje. A i syn jego Junosza siedzi obok, pogodziwszy się już dawno z losem swoim.

- Miło patrzeć na młodych - pomyślał. Jeszcze żartować im się chce, bo widział, że coś mówią i się śmieją.

Nagle z myśli tych wyrwał go tętent konia. Skoczyli z Zembrzuskim, nad słuchując. Po chwili zobaczyli jeźdźca, który ich chorągiew zobaczywszy zatrzymał się przy nich.

- Dobrze, że waści spotykam. Jadę od Zbysława. Krzyżacy na gród nie tak odległy od naszego napadli. Wszystko z dymem puścili. Nie znam szczegółów, miałem jeno to waści przekazać, abyście, co rychlej dążyli do grodu. Krzyżacy na razie ku nam nie idą, bo grabią gród, na który napadli.

- A co to za gród? - Spytał Zembrzuski.

- Michałów panie, gród, co prawda mały, ale ludzie w nim zacni.

- W drogę! Rozkazał imć pan Kalesanty.

Wszyscy po chwili na koniach siedzieli. W dwa dni i nocę w wielkim pośpiechu dojeżdżali do grodu Zbysława. Ku nim wyjechali rycerze od Zbysława i co rychlej wszyscy znaleźli się za palisadami w grodzie.

- Teraz wać musimy pomyśleć, co dalej robić - odezwał się imć pan Kalesanty do Zbysława.

I uradzili, aby kilku ludzi pojechało śledzić Krzyżaków, czy aby do Dokutowicza nie jadą. Zaraz też wyruszyło pięciu zbrojnych od Zbysława, w stronę grodu w Michałowie. Podjechali lasem na tyle, że gród Michałowski było widać. Ogień w nim przygasał, jeno dym gdzieniegdzie się wydobywał. Naraz zobaczyli, że ku nim jedzie kilku ludzi na koniach i kilku idzie pieszo. Stanęli opodal i jeden z nich zapytał.

- Skąd jesteście?

- My z chorągwi spod znaku Działosza, od imć pana Kalesantego. On we własnej osobie jest teraz w gościnie u Zbysława, bo tam nasi zalegli, a nas wysłano, abyśmy zobaczyli, co tu się dzieje.

- Krzyżacy na nas nocą napadli - odezwał się jeden z pieszych. W lesie mamy ludzi pochowali, tych, którzy z życiem uszli. Ale dużo z grodu zginęło. A i pana naszego Michała podobno zabrali ze sobą. Do lasu się wycofali i tam zalegli, co by

przeczekać, aby wszystko ucichło.

- Jedźcie w las do swoich, a my z wieścią do imć pana Kalesantego wrócimy, a on już zaradzi, co dalej robić.

Tamci odeszli w milczeniu, a ci zawróciwszy konie pognali do grodu Zbysława.

Kiedy imć Kalesanty dowiedział się o tym, że Krzyżacy uszli w lasy - rzekł.

- Chyba chcą przeczekać, aby to nie im przypisano ten gwałt. Nie wiedzieli, że niektórym udało się uratować, gdyż zbiegli w porę do lasu. To plan chytry, wymyślony przez Zygryda.

Tylko, dlaczego polecił spalić właśnie ten gród? Tego Kalesanty, ni Zembrzuski nie mogli zrozumieć.

- Trzeba by wysłać jednego człowieka, co by nie wzbudzając podejrzeń sam zakradł się do nich, jeśli ich znajdzie. Musimy wiedzieć gdzie oni są, gdzie chcą przeczekać.

- Na pewno od grodu odjechali daleko - powiedział Zembrzuski, jak gdyby głośno myśląc.

- Tak. Więc, zaraz jeden z rycerzy ruszy do grodu spalonego, ominie go lasem i pojedzie na północ szukając śladów.

Wyjechał i po dniu jazdy znalazł ślad kopyta końskiego. Był to ślad pozostawiony na piasku, przy samym brzegu drogi.

- Nie jadać drogą, aby śladów nie zostawić - pomyślał.

Jechali lasem przy samej drodze. Skraj ten porastał mech. Przyjrzał mu się uważnie i te obserwacje potwierdziły jego myśli.

Musieli dawno tędy przejeżdżać. Ruszył ostro drogą i tak dojechał do krzyżówki.

Zsiadł z konia, schylił się i badał, w którą stronę pojechali Krzyżacy. Na raz usłyszał rżenie konia w oddali. Myślał, że mu się wydawało, ale po chwili usłyszał je ponownie.

- Czyżby byli już blisko? - Pomyślał.

I dopiero teraz usłyszał trucht konia. Skoczył prędko w las i po chwili ujrzał knechta uzbrojonego w miecz, który miał przy pasie i w kuszę, którą trzymał w rękę. Drugą ręką dzierżył cugle. Jechał rozglądając się wokoło. Miejsce nie było wygodne, by go z konia zrzucić i dowiedzieć się czegoś, gdyby knecht chciał mówić. Myślał nerwowo, co robić, ale nic mu do głowy nie przychodziło. Wtedy zdecydował się jechać za nim. Po pewnym czasie ten konia zatrzymał, przywiązał go do drzewa i ruszył w las. Polak zaczął się blisko konia, a swego zaś starannie ukrył. Czekał dość długo i po tym czasie, usłyszał trzask łamanej gałęzi. Spojrzał i zobaczył, że nie jeden, a dwóch ich idzie. Ten drugi konia prowadził.

Polak zdjął łuk z pleców. Teraz już czasu nie miał. Naciągnął cięciwę i strzała znalazła się w piersi knechta, tego, który konia prowadził. Nim naciągnął ponownie tego drugiego już nie było, a koń tego, który upadł stał spokojnie. Rozejrzał się, a po drugim nie było śladu. Czekał spokojnie i nadśluchiwał. Schylił się w pewnym momencie przy drzewie gdzie stał, aby od dołu zobaczyć i wtedy tuż nad głową przeleciał bełt i trafił nad nim w drzewo. Odwrócił się i zobaczył knechta, uciekającego. Naciągnął strzałę. Mierzył w nogę. Poczekał chwilę, oddech uspokoił i strzała pomknęła, a knecht stracił równowagę, ale w krzakach zniknął.

- Trafiłem go, teraz muszę uważać - pomyślał.

Postanowił nie ruszać się, a czekać na ruch knechta. Stał dość długo nadśluchując i co

najgorsze, nie słyszał żadnych odgłosów, ani jęku, ani kroków, nic, tylko martwa cisza. Konia krzyżackiego widział doskonale, tego drugiego też, więc stał i czekał. Nic się nie działo.

- Czyżby strzała trafiła go na dobre i leży martwy. Pomyślał.

Odrzucił tę myśl. Konie widzę, więc muszę jeszcze czekać. Wiedział, że jeżeli knecht żyje, ma naciągniętą kuszę i czeka na jego błąd. Stał za dość grubym drzewem i postanowił ostrożnie wychylić się, by coś zobaczyć w przedzie, bo ta cisza była nie do zniesienia. Wychylił ostrożnie głowę, po czym jeszcze bardziej i zobaczył krzaki, w których z pewnością knecht siedzi. I wtedy bełt jeno zaskrzeczał, wbiwszy się w drzewo tuż koło jego głowy.

- Pomyślał. Zanim drugi raz naciągnie mam chwilę czasu, więc ruszył. Biegł w bok i dopadł do konia tego drugiego. Przeskakując martwego knechta, wskoczył na konia i skrył się w krzakach. Wszystko to działo się bardzo szybko, po czym nastąpiła znów cisza. Z miejsca, gdzie był z drugim koniem, widział pierwszego, tego przywiązanego. A i knecht go widział.

- Pomyślał, pewnie był bez konia. Zabrał teraz naszego i odjechał. Nagliła go rana i strzała w nogę wbita. Bolało go niesamowicie. Zaczął się czołgać, kuszę naciągniętą w rękę trzymając. Był już przy koniu i wtedy poczuł, że ktoś jest za nim, odwrócił się i wtedy zobaczył Polaka. Stał on z łukiem wycelowanym w niego. Ale on, jednak kuszę do góry dźwignął i wtedy strzała wypuszczona z łuku trafiła go w pierś. Widać, że śmierć wybrał. Polak konia wzięwszy, ruszył ostrożnie.

- Muszą być tu blisko - pomyślał.

Pojechał znów w stronę krzyżówki. Tymczasem Krzyżacy, naprawdę byli niedaleko. Cały czas jadąc lasem dojechał do gęstwiny. Zaraz za nią byli Krzyżacy, zalegli tu obozem, warty wystawiając.

Dowodził nimi Elwin, bliski przyjaciel Zygryda. Zalecił ciszę i tak zamierzał kilka dni przeczekać. Jedzenia mieli dość, gdyż wszystko to, co się wydarzyło zaplanowane było. Zygryd już dawno miał w planie spalić Michałów. A sposobności do tej pory nie miał. Teraz przyszła pora i zlecił jej wykonanie Elwinowi. Leżeli, więc w najlepsze i czekali na dalszy rozwój sytuacji. Tymczasem Polak zbliżył się do nich. Z daleka widział gęstwinę, więc postanowił. Jeśli się uda obejść ją. Ale teraz zsiadł z konia i ukrył się. Był jednym z najlepszych zwiadowców u Zembruskiego i najbardziej doświadczonym. Wprawne jego oczy dostrzegły miejsce, przez które konie pojedynczo przeprowadzili. Przyjrzał się uważnie. Teraz nie miał wątpliwości. Byli za gęstwiną. Nagle, usłyszał trzask łamanej gałęzi i to utwierdziło go w przekonaniu, że Krzyżacy są blisko. Zdwoił czujność i wycofał się do tyłu ostrożnie. Odprowadził konia dość daleko i dopiero go dosiadł. Te dwa zostawił przy trakcie, a na swoim odjechał, oglądając się za siebie. Kawał drogi odjechał, po czym znów wjechał w las, okrążając gęstwinę. Tu stwierdził, że Krzyżacy nie obawiali się niczego, bo podszedł bardzo blisko. Położył się, łuk w zasięgu ręki mając i obserwował. Pozycję miał dogodną, widział ich wyraźnie, ale głosów nie mógł usłyszeć na tyle, by wiedzieć, o czym mówią. Znał ich mowę, bo zanim do Kalesantego przyszedł, dwa lata był u nich. Pracował przy koniach nim którejś nocy udało mu się zbiec. Poczekał chwilę, po czym głowę uniósł. Rozważał sytuację, czy może podczołgać się bliżej. Teraz nie zdecydował się, bo jeden z Krzyżaków stał



przy koniu i czegoś w torbie zawieszanej przy nim szukał. Odwrócił się nawet w jego stronę, ale po chwili, spokojnie poszedł do swoich. Wtedy Polak zbliżył się i tak leżał do wieczora, gdyż i Krzyżacy siedzieli w milczeniu. Zrobiło się szaro. Słońce już dawno skryło się za drzewami i noc nadchodziła. Wtedy obóz jak gdyby odżył. Przyszła pora u nich na wieczerzę. Podchodzili kolejno, a jeden wydawał jedzenie. Po czym siedli i w milczeniu spożywali posiłek.

- Nic się nie dowiem - powiedział do siebie. Może wycofać się i gnać do swoich? W końcu postanowił jeszcze chwilę poczekać. Zaraz po kolacji, a zrobiło się jeszcze ciemniej, gdyż Krzyżacy ogni nie palili - usłyszał.

- Zmienić warty i pilnie czuwać.

Przesiedzimy tutaj kilka dni, by wszystko ucichło, a dopiero później ruszymy do Malborka. Tu nas nikt nie będzie szukał. Rozeszli się, widział to Polak, więc korzystając z ruchu w obozie oddalił się bezpiecznie. Dotarł do konia i chwilę prowadził go przez las, jak mógł najciszej w kierunku traktu.

Gdy już uznał, że jest bezpiecznie, wskoczył na konia i pogalopował. Noc była ciemna, ale zobaczył dwa konie, które tu zostawił przywiązane. Wziął je i poprowadził w zarośla. Ukrył starannie, swego również i położył się spać. Spał niespokojnie budząc się, co chwila i nadśluchiwał. Gdy przyszedł świt, zabrał konie i natychmiast ruszył w drogę. Gdy odjechał dalej, pożywił się nieco. Był zadowolony teraz, że zadanie swoje wykonał. Wiezie dobre wieści dla imć Kalesantego i wszystkich kompanów, a również i dla Zbysława. W jakiś czas przejeżdżał obok spalonego grodu. Stał jakby wymarły, bo nie widział przy nim żadnego człowieka. Minął go i ruszył ostro, aby jak najszybciej być już u swoich. Dojechawszy do grodu Zbysława zsiadł z konia i wszystkie trzy prowadził. Chciał rozprostować nogi i wtedy zobaczył wypalone piętno na zadach końskich. Takie samo piętno i w tym samym miejscu znajdowało się na koniach, które przejmowali po Krzyżakach, od Zygfyda. Z grodu też już go dostrzegli, bo bramę otwarto. Zembrzuski wyszedł mu naprzeciw.

- Mów coś widział i słyszał! Widzę, że konie ich prowadzisz.

- Tak panie, te dwa to krzyżackie. Byłem u nich. Zalegli obozem i chcą przeczekać kilka dni, aby wszystko ucichło po spaleniu Michałowa. Jednego knechta, tego od konia, zostawili za sobą, aby patrzył, czy pościg za nimi nie podąża. Ale był i drugi. Wiem, że nie będą się o nich martwić, gdyż przy ich koniach znalazłem żywność na kilka dni. Pewnie mieli pilnować i wrócić dopiero, gdyby zobaczyli pogoń za nimi. Najpierw pilnował jeden, a tego drugiego to mu później przysłali. Dowiedziałem się, że mają kilka dni siedzieć, a potem mają ruszyć do Malborka.

Zembrzuski kazał mu odpocząć. Klepnął go po ramieniu, jakby dziękując i poszedł w stronę Zbysława. Później wszyscy radzili, aż przyjechali ludzie z wieścią, że spokój panuje u Dokutowicza. Kalesanty myślał, co począć.

- Musimy, czym prędzej zebrać ludzi i prowadzeni przez zwiadowcę, jak najbliższą drogą dotrzeć do Krzyżaków. Zaatakujemy ich o świcie, jeśli będziemy mieli taką sposobność i wtedy się z nimi rozprawimy. Co rychlej zaczęli się do drogi szykować. I po nie długim czasie silny oddział ruszył od grodu Zbysława prowadząc dwadzieścia koni luźnych, bo tak zarządził imć pan Kalesanty. Zwiadowca jechał obok Miłoszy i Maćkowego i tak dojechali do spalonego grodu. Nie kryli się na razie, to też ludzie ukryci w lesie zobaczyli ich, a widząc, że to swoi wyszli do nich. Gdy

dowiedzieli się, że Polacy idą na Krzyżaków, kilkunastu tych na koniach prosiło, aby ich zabrać. A jeden z nich odezwał się do imię Kalesantego, widząc w jego oczach rozterkę.

- Weź nas panie, daj nam możliwość, abyśmy mogli pomścić naszych.

Teraz Zembrzuski zrozumiał, po co Kalesanty kazał zabrać te dwadzieścia luźnych koni.

- Jedźcie tedy z nami i rozkazów słuchajcie, tu komendant, on wami dowodzi.

Wskazał na Zembrzuskiego.

Zembrzuski - odezwał się.

- Kto bez koni, niechaj wybiera, bo widzę, że oręż macie. Dosiadajcie koni i ruszamy. Koni starczyło dla chętnych i ruszyli żegnani przez kobiety i dzieci, które były wśród ocalałych z grodu. Ominęli pogorzelnisko i w drogę najkrótszą pojechali w kierunku, gdzie obozem stali Krzyżacy. Tego dnia tylko raz zatrzymali się przed wieczorem, aby się posilić, po czym ruszyli dalej, a późną nocą stanęli, aby się wyspać. A już rano znów w siodłach siedzieli.

- Tu niedaleko mieli tych dwóch na zwiadzie, tych od koni - powiedział do Maćkowego, ten, który obok niego jechał.

Po chwili Zembrzuski zatrzymał jazdę i dwóch polami wyruszyło sprawdzić w kierunku gęstwiny, czy Krzyżacy się nie domyślają. Pojechali i po jakimś czasie dojechali do miejsca, gdzie polegli obaj knechci.

- Wszystko jest tak, jak zostawiłem. Wracajmy, do naszych!

Wrócili, zdając relację Zembrzuskiemu. Jechali na razie traktem i dopiero, gdy zwiadowca powiedział Zembrzuskiemu, że to już blisko, jechali bardzo ostrożnie. Zbliżali się do miejsca obozowania Krzyżaków.

- Musimy objechać te gęste zarośla, które są przed nami. Zatem bardzo ostrożnie i w pełnej ciszy objeżdżali zarośla.

-Tu zostaniemy, by rano podejść do nich, dalsza jazda jest już niebezpieczna. Zsiadli w ciszy z koni i czekali. Przyszła noc i niebo gwiazdziste widzieli, a i to, że przeciwnik blisko. Czekali na moment dogodny, który da im przewagę. Wreszcie nad ranem, gdy świt ledwie wstał ruszyli, bez koni. Szli ostrożnie. A plan był taki. Dotrzeć do koni krzyżackich i rozpędzić je. To miało zrobić kilku chłopów z grodu Michała. Dopiero teraz, ludzie pilnujący koni Polaków, mieli je podprowadzić. Był to Maćków, Miłosza, Dobrawa i Dobrosław, oraz jeszcze szesnastu ludzi ze spalonego grodu. Taki był plan. Szli powoli i z rozwagą. Zwiadowca z daleka wskazał miejsce, gdzie konie stały. Poszedł z nimi w stronę koni, a reszta pod wodzą Zembrzuskiego chwilę czekała. A gdy usłyszeli krótką walkę przy koniach i rzenie wystraszonych koni, ruszyli na dobre. Zaskoczeni Krzyżacy skoczyli na nogi, ale Polacy już mieli przewagę i z wielkim impetem natarli, bijąc Krzyżaków. Świt wstał dopiero, ale doskonale było widać wszystko wokoło. Padali jeden po drugim, gdyż w popłochu i panice nie stanowili takiej siły. Dopiero po jakimś czasie, gdy padały komendy, zbili się wokół siebie i zaczęli bronić zajadle. Wtedy ruszył Maćków, z Miłosza konno, a i pozostali za nimi wjechali na Krzyżaków, z koni ich atakując. Nie mając szans zakonni i ich dowódca Erwin, gdy to zrozumiał, że uciekać, na czym nie mają - rzekł do jednego ze swoich.

- Wykończ tego z grodu, a my jeszcze tu opór stawimy.

Knecht ruszył w kierunku, gdzie Michał był związany. Maćków zobaczył oddalającego się Krzyżaka i ruszył koniem w jego kierunku, objeżdżając pozostałych. I w samą porę znalazł się z tyłu za Krzyżakami, gdyż zakonnik już podniósł rękę ze sztyletem, aby zadać cios. Maćków strzałę wypuścił, która o chwilę wcześniej, gdy Krzyżak uderzył doszła celu. Sztylet wbił się w ziemię obok Michała. Obejrzał się Maćków, nikogo przy nim nie było. Zsiadł z konia i przeciął więzy Michałowi, po czym razem konia dosiedli i ruszyli w kierunku walczących. Michał, gdy znalazł się na ziemi, bo z konia zeskoczył, podniósł miecz i tarczę i wpadłszy w środek walczących, jał w prawo i lewo zadawać ciosy. Maćków również, przyłączył się do walki. Zdzielił mieczem, który w jego ręku zawitał, pierwszego Krzyżaka, od góry, a ten nawet nie zdążył zastawić się tarczą. I już z drugim walczył objeżdżając go koniem. Elwin widząc, że tylko kilku jego ludzi zostało, strach zajrzał mu w oczy. Korzystając z chwili, gdy nie był atakowany rzucił miecz i ręce do góry uniósł. Zobaczywszy to Zembrzusi - krzyknął.

- Wstrzymać walkę!

Zaraz zrobiło się cicho. Kilku Krzyżaków, którzy zostali przy życiu również miecze rzuciło i tak ta walka została zakończona zwycięstwem Polaków. Chwilę stali nim ochłonał Zembrzusi, bo i jemu w tej walce tchu brakowało. Gdy uspokoił oddech - krzyknął.

- Odrzućcie oręż, który przy sobie macie!

I odrzucili. Kilka mieczy i sztyletów legło na trawie. Związali ich i przed sobą przeprowadzili do koni, gdzie one stały z dala od bitwy, tylko później ta zażarta bitwa przybliżyła się do nich. Wyprowadzili jeńców przez łąkę z dala od bitwy. Zembrzusi spytał Elwina.

- Jak cię zwa?

Krzyżak wskazał, że nie rozumie. Zembrzusi przywołał tego, który był na zwiadach u Krzyżaków i to on zapytał.

- Elwin - odparł Krzyżak.

- Na śmierć i tak zapracowałeś - rzekł Zembrzusi. Ale zaraz to zdecydujemy.

Było widać lęk w oczach Elwina, po czym zwiesił głowę i tak siedział. Krótko po bitwie wiedzieli już, że nie mają większych strat i zaczęli rozważać, co dalej. A rozważali Kalesanty, Zembrzusi, Zbysław, oraz uwolniony Michał. Postanowili nakłonić Krzyżaków do przyznania się, że to oni spalili gród i wysłać z nimi ludzi do Krakowa. Gdy ludzie uprzątnęli pobojuwisko wezwali Elwina do siebie.

Przyprowadził go Dobrosław. Miał ręce związane i nawet płaszcz na sobie nie miał, a i zbroi.

- Jak musiał się tego bronić, że nie poległ - pomyślał Zembrzusi. Siadaj powiedział, a zwiadowca tłumaczył.

- Niektórzy z twoich po polsku mówią, a dlaczego ty nie?

- Niektórzy z waszych też po naszymu mówią, a dlaczego ty nie panie? To tak jak ja, odpowiedział wymijająco.

- Cwany - pomyślał Zembrzusi.

Ale po chwili znów strach ujrzał w oczy Krzyżaka.

- Dlaczego, gród spaliłeś? Z czyjego polecenia. Krzyżak odpowiedział.

- Nie ja go spaliłem. Nie wiem o czym mówisz panie. Wtedy dostrzegł Michała

siedzącego obok.

- Nie ty go spaliłeś? Powiadasz. Zwiadowca przetłumaczył.

- To, co robił u ciebie ten człowiek.

- Nie znam go i on u nas nie mógł być. Pierwszy raz go na oczy widzę. Jechaliśmy do Krakowa z posłaniem do króla, a wy nas w drodze napadliście, a ściślej podczas snu. Powiemy o tym królowi.

Zembrzuski spojrział na niego i krew mu trysnęła do głowy.

- Nie znasz tego człowieka! Krzyczał, wskazując na Michała.

- Nie - odpowiedział Elwin.

- Kłamiesz i za to zawieszysz na tej gałęzi.

Po chwili już Maćków powróż szykował. Robił to bardzo powoli, gdyż wiedział, że to dla wystraszenia Krzyżaka. Zembrzuski nigdy, jak tylko razem z nim walczył nie zrobił czegoś takiego. Więc i teraz z pewnością też nie. Choć po raz pierwszy nie wiedział i nie był pewny, czy Zembrzuski tak zdenerwowany nie mówi tego naprawdę. Elwin widząc pętlę na drzewie załamał się, a widać to było. Po chwili - rzekł.

- Jak powiem prawdę, puście mnie wolno, oddając konia?

- Nie mogę ci tego obiecać, ale będziesz żył nadal i to życie twoje, teraz w twoich rękach.

Krzyżak głowę zwiesił, jakby mając mało czasu - myślał.

Ale już Zembrzuski - odezwał się.

- Mów, albo lina czeka.

Maćków ruszył do Krzyżaka. Ten zrozumiał, że to koniec, więc - rzekł.

- Rozkaz wykonywałem i nie mogę być za to ukarany.

- A czyj to rozkaz? - Spytał Zembrzuski.

- Komtura z Malborka. Nie wiem, dlaczego, ale to on kazał gród spalić.

- Dowiemy się o tym, dlaczego? Od Michała, może on to będzie wiedział. A czy też z rozkazu wybiłeś ludzi bezbronnych kobiety i dzieci?

Krzyżak zwiesił głowę. Zembrzuski przyjrzał mu się dokładnie. Był to człowiek zapewne z wysokiego rodu, gdyż rysy na twarzy na to wskazywały. Nie miał więcej niż trzydzieści lat, a na palcu pierścien widniał z herbem w kamieniu.

- Szkoda, że musisz tak młodo umierać, bo prawdy nie powiedziałaś.

- Powiedziałem ją, miałem rozkaz Michałów spalić. Ludzi wszystkich ubić, a Michała na postronku na zamek do komtura sprowadzić, gdyż to jeden z odwiecznych wrogów komtura.

- Przed królem polskim to powiesz? Krzyżak skinął wreszcie głową.

- Tedy żył będziesz - odparł Zembrzuski.

Niebawem pobojowisko uprzątnięto dokładnie i Kalesanty zarządził, aby wszyscy, którzy przy życiu zostali wsiedli na konie i ruszyli w drogę.

- Odjedziemy z tego miejsca i dopiero wtedy na postój staniemy. Posilimy się i czas byśmy się zastanowili, co robić dalej.

Po chwili ruszyli, ale dopiero zatrzymali się przed grodem Michała, to jemu tak było spieszo. Zsiedli z koni, a widok był straszny. Postanowili najpierw odpocząć po bitwie i się posilić. Jedli, więc na uboczu, a zasłużyli na to jadło. Zembrzuski, imć Kalesanty, Zbysław i Michał, radzili. Kalesanty przekonywał Michała, żeby do króla

od razu z Krzyżakami jechać, co by król zdecydował, co z nimi zrobić.

- Król na pewno waści pomoże w odbudowie grodu - rzekł Kalesanty.

Dopiero teraz Michał przystał na to. W gniewie chciał zwołać ludzi okolicznych i tak jadąc, a zabierać ludzi po drodze, dotrzeć do Malborka, by się rozprawić z Zygfydem. Ale na szczęście prędko ochłonął i porzucił pomysł niedorzeczny.

- Zatem do króla, zgodził się.

Gdy go jeszcze raz Kalesanty przekonywał. I Kalesanty liczył się ze słowem Michała, gdyż był on ze starego, rodu szlacheckiego. Ojciec jego w większym grodzie panował, a ten wybudował, gdy Michał rodzinę założył, syna się spodziewając. Zbysław poparł plan.

- Tedy ruszamy, mości panowie. Na gród spalony jeno wejrzę - odparł Michał. O żonę i syna nie obawiam się, gdyż los zrządził, że przed tym, nim Krzyżacy gród spalili, nie wiedząc o niczym wysłałem moją z synem do ojca. Pojechali z kilkoma rycerzami i myślę, że bezpiecznie tam dotarli, gdyż to jest w innym kierunku, niż przybyli Krzyżacy. Jeszcze spotkam się z ludźmi i porozmawiam z nimi.

Zgodził się imć Kalesanty i Zbysław. Pomyśleli, niech Krzyżacy na własne oczy zobaczą, co zrobili. Wiedział, że w walce to inaczej wygląda, a inaczej, gdy patrzy się spokojnie po czasie. Ruszyli teraz do grodu, zwanym Michałów, od imienia swego pana zapewne. Dojechali blisko i Michał spojrzął, a łzy stanęły w jego oczach.

Niezdługo i ludzie jego się pojawili, wychodząc z lasu, gdzie kryjówki swoje mieli. On podjechał do nich i ze łzami w oczach - powiedział.

- Rad jestem, że was widzę przy życiu. Bo gród da się odbudować, a życia niestety, już nie. Ci, co zginęli do was nie powrócą.

Ludzie Michała zobaczyli teraz Krzyżaków, którzy mieli związane ręce.

- Spalić ich - krzyczeli.

Ale Michał podniósł rękę i uciszył wszystkich.

- Gdybyście ich spalili, stali byście się tacy sami jak oni, a pewnie tego nie chcecie. Jesteście porządnymi ludźmi i takimi zostacie. Przy pomocy ojca mego, a może i króla gród do świetności doprowadzimy i wszyscy miejsce w nim znajdziemy, jak dawniej. Teraz niech, pojedzie dwóch do ojca mego. Po chwili dwóch w drogę ruszyło.

- Ja jadę z tymi, którzy w bitwie ostali do Krakowa, do króla. A wy, gdy ojciec mój przyjedzie, przekażcie mu pokłon ode mnie i zabierzcie się do pracy. On wam pomoże. Drzewa mamy dostatek i z niego nowy dwór powstanie.

Ludzie pokłonili się jemu, a gdy jeźdźcy ruszyli, stali tak w milczeniu dotąd, dokąd było widać jadących. Później, gdy już im z oczu znikli, nie bojąc się do grodu ruszyć, weszli do niego, choć był cały spalony. Polacy tak jak postanowili, jechali na dwór do króla przedtem puściwszy jednak dwóch przed siebie, co by jechali bez przerwy, by króla wcześniej powiadomić. Mieli zmieniać konie, gdy zajdzie potrzeba, w kasztelach polskich po drodze, aby jak najszybciej król wiedział, że oni z Krzyżakami pojmanymi, na dwór zmierzają. Reszta nie spieszyła się zbyt, konie oszczędzając. Jechali przez kraj piękny, podziwiali pola obrosłe zielenią przepiękną jak i drzewa precudne, stare, mające rozłożyste konary. Od wielu, wielu lat, patrzące na tę ziemię. A niektóre z drzew takie, że kilku rycerzy by ich nie objęło, takie potężne. Jechali w milczeniu i każdy z nich wiedział, że dobrze wypełnili zadanie.

Ukarali już Krzyżaków i Zygfyda za podłości, ale co będzie dalej, co postanowi król Polski. To każdy z nich chciałby już teraz wiedzieć. Ale z tym musieli poczekać i mieć cierpliwość. Gdy tak jechali zamyśleni, zobaczyli stado kaczek przelatujących. Jeszcze była ta chmara dość daleko, ale zbliżały się w ich stronę.

- Na jeziora dążą - odezwał się Zbysław, tam gdzie najwięcej grodów krzyżackich stoi.

- To prawda - rzekł im pan Kalesanty. I do Zembrzuskiego powiedział.

- Przygotuj ludzi, co by z łukami stanęli. Niech się wyteżą. Może kolację będziemy mieli wysmienitą a Krzyżacy mniej ich na łowiskach.

I po chwili wszyscy, którzy w posiadaniu łuki mieli, a było ich ponad pół setki, zajęli stanowiska. Gdy nadleciały kaczki, poszybowały do nich strzały. Dziesiątki ich i moc ptactwa dorodnego spadła na pole. Chłopi od Michała prędko je wyzbierali, a za jakiś czas, gdy słońce się zniżyło, już się piekły i miły zapach obwieszczał o tym dookoła. Stali obozem, warty wystawili, a jeńców kazał Zembrzuski bacznie pilnować. Po czasie wszyscy najedzeni mięsem, którego dawno nie kosztowali, mięsem soczystym i wspaniałym, chwilę odpoczywali. Po czym koni dosiedli i jechali do zmroku. Gdy już znaleźli dobre miejsce do odpoczynku nocnego stanęli, aby na noc się rozbić z obozem, gdy nagle usłyszeli głos puszczyka, jeden pojedynczy. Maćków i Miłosza ruszyli natychmiast. Pomyśleli, że to jakiś Krzyżak, który cudem uniknął ich miecza i może uszedł niezauważony przez nich teraz oznajmia swoim, że jest i zechce ich nocą uwolnić. Musiałby być bardzo odważny i trochę szalony, by liczyć na powodzenie tej akcji. Z pewnością liczył na spory awans i dobre życie, gdyby mu się udało uwolnić swego dowódcę Erwina i może pozostałych. Do tych dwóch dołączyła również Dobrawa. Zembrzuski nie zatrzymywał jej, choć widział, że ona też się udaje za swymi. Jej koń tak podskakiwał dziwnie, ale zaraz go uspokoiła. Po głosie zorientowali się, że Krzyżak nie mógł być daleko, więc Maćków z Michałem odeszli kawałek od obozu i przyczaili się czekając. Dobrawa też odjechała niedaleko i również łuk w ręku gotując czekała. Każde z nich stało w innym miejscu, ale na linii skąd głos dochodził. Tymczasem w obozie zwiększono czujność nad jeńcami. A Zembrzuski powiedział do imć Kalesantego.

- Nie mamy spokoju, ale mam nadzieję, że go szybko złapią.

- A może ich więcej? - Odezwał się imć Kalesanty.

- Nie myślę, by ich więcej z pola bitwy uciekło. Ale już wkrótce zobaczymy. Ludzie położyli się blisko siebie i każdy miecz, lub za rękojeść topora trzymał.

Nikt nie spał, a każdy miał oczy szeroko otwarte, jakby po to, aby na wypadek ataku lepiej widzieć. A tu, nieznośna cisza panowało dokoła.

- Trzeba było nam konno skoczyć w las i złapać go - rzekł Kalesanty. A gdyby bardzo czujni byli i byłoby ich kilku, to z pewnością ktoś z naszych by poległ.

Nad tym samym też myślał Zembrzuski. Nie odpowiedział Kalesantemu.

- Przecież jeden nawet, gdyby był w tych ciemnościach mógłby zabić wielu naszych, nim byśmy go pojмали.

Wzdrygnął się i tak jak pozostali jął nadśłuchiwać. Sen zamykał już oczy. Niektórzy już nie mogli sobie poradzić, gdy wtem zaczęło się. To Krzyżak szedł i natknął się na Miłosze. Ten widząc, że to nikt ze swoich, bo umówili się, że każdy będzie czekał na swym miejscu, zaatakował. Wywiązała się walka. Krzyżak mocniejszy fizycznie od

Miłoszy odparł kilka ataków i sam z wielką furją ruszył, aby pozbyć się przeciwnika i czym prędzej w las umknąć, nim przybiegną Polacy. Wiedział, że to jedyna jego szansa, ale Miłosza unikał zrećźnie ciosów, i sam je potężne zadawał. Krzyżak chciał tę walkę za szybko zakończyć. Odkrył się na moment i Miłosza to wykorzystał. Po ciosie Krzyżak padł. Wszystko to trwało tak szybko, że nim Maćków i Dobrawa byli przy nich, zobaczyli tylko Miłosze, który dysząc stał nad Krzyżakiem. Krzyżak był bez zbroi, jeno kolczatkę miał na sobie, krótką osłaniającą pierś. W chwili później przybiegło kilku z obozu, wysłanych przez Zembrzuskiego. Zostawili Krzyżaka, który nie żył i powrócili do obozu. Elwin widząc, że powracają, głowę zwiesił. To on kazał swemu dobremu wojowi być w odwodzie na wszelki wypadek. Elwin nie spodziewał się tej sytuacji, w której był, ale od dawna miał taką zasadę. Zawsze pozostawiał kogoś na uboczu. Nigdy do tej pory z takiej pomocy nie musiał korzystać, ale teraz by się przydała.

- Niepotrzebnie ratowałem głowę przed stryczkiem, licząc na ucieczkę - zamamrotał pod nosem.

Teraz już wiedział, że żadnych szans nie miał.

- Chyba, że sam, myślał gorączkowo, ale jak?

Po chwili już wszyscy Polacy powrócili i zapanowała cisza. To utwierdziło w przekonaniu Erwina, że któryś z Polaków ubił tego, na którego tak bardzo liczył w nocy. Ranek przyszedł szybko, ale Zembrzuski pozwolił zmęczonym ludziom dłużej pospać. Należało im się to po bitwie. A i Zembrzuski zamknął oczy. Pomyślał, że warty wystawione, więc niech jeszcze pośpią, skoro taki spokój panuje. Jednak, gdy słońko wyraźnie wzbilo się nad drzewami, zbudził ludzi, a ci natychmiast szykowali się do jazdy do Krakowa. Pilno im było, bo i sprawa pilna. Jechali i znów nad głowami powiewała chorągiew, którą teraz Maćków trzymał. Dobrosław z kilkoma Polakami, jeńców krzyżackich pilnował. Sam odpowiadał jednak za Elwina. Elwin widząc chłopaka w koszuli lnianej i takiej kapocie - pomyślał.

- Toż to nie rycerz, tylko zwykły chłop. Ale dlaczego jego przydzielili, aby mnie pilnował? To opatrzność losu chyba nade mną czuwa - myślał.

I gdy Dobrosław spojrział na niego, on wskazał mu pierścień złoty, który miał na palcu. Dał przy tym do zrozumienia, że gdyby ten go uwolnił w nocy, to ten pierścień otrzyma. Widząc, uwagę Polaka, z jaką się przyglądał pierścieniowi i ciekawość jego uznał, że Polak rozważa jego propozycję.

Zatem jeszcze raz zachęcił go gestem. Ale Dobrosław podniósł wzrok, spojrział przed siebie i myślał.

-Warte, to chyba dużo. Ale sam nie miał pojęcia, ile. Wiedział tylko, że nieliczni takie pierścienie noszą, bo nawet imć Kalesanty posiadał dużo, dużo mniejszy. Las skończył się niebawem i wyjechali na trakt. Tu pierwszy raz wtedy Mściława zobaczyli, gdy z tego lasu wyjeżdżał. Przymknął Zembrzuski oczy i jakby to widział. Tak nie dawno to było, a ilu już ludzi poległo. Choć zimą spokój panował. Ocknął się prędko, bo ludzie jego meldowali, że przed nimi ktoś traktem jechał, tylko droga skręciła nad lasem i z oczu zniknęła.

- Ilu ich było? - Spytał Zembrzuski.

- Kilku i jakby wóz z nimi jechał. Było daleko, ale Maćków to zauważył.

- Dziesięciu, tedy niech ruszy w cwał. Sprawdzić, kto to, by niespodzianek nie było.

Ruszyli. A tamci skręcili w drogę i zobaczyli, że oddział zniknął im z oczu. Teraz, gdy znów go zobaczyli, wóz ukryli w krzakach, ale same ślady kół zaprowadziły Polaków na miejsce. Dojechali do gęstwiny i stanęli. Jeden krzyknął!

- Rzucić oręż, a wyłazić.

- Nie mamy oręża! Krzyknął ten, w krzakach. -Wyłazić!

Usłyszał w odpowiedzi.

Po chwili wyszło trzech ludzi.

- Kim jesteście i co tu robicie?

- Jesteśmy kupcami panie, zmierzamy przed siebie, gdyż handlujemy ze wszystkimi, którzy nam są przyjaźni, a towarów potrzebują.

- Dlaczego się chowacie? - Spytał Maćków.

- Bo myśleliśmy, że to zbóje jacyś nas gonią.

- A chorągwi naszej nie widzieliście, że to Polacy jadą.

- Nie panie.

Odezwali się wszyscy naraz.

- Wóz na drogę!- Rozkazał.

Wyciągnęli wóz z krzaków. I gdy on znalazł się na drodze - rzekł.

- To teraz możecie spokojnie chorągiew zobaczyć. A nasi już blisko.

Tych trzech spojrzęło i dopiero teraz zobaczyli na chorągwi herb Działosza, gdzie róg jelenia i skrzydło sępa widniało na złotym polu. Teraz dopiero i Dobrosław poprosił Zembrzuskiego, aby go zwolnił od pilnowania Elwina. A gdy ten wyznaczył do pilnowania jednego z ludzi Zbysława, Dobrosław powiedział do Zembrzuskiego.

- Sygnetem chciałem mnie skusić mości komendancie, abym mu ułatwił ucieczkę.

Zembrzuski nic nie mówiąc, podjechał do Krzyżaka i zdjął mu pierścień z palca, po czym go schował do torby, którą miał przy siodle.

- Gdy cię król ułaskawi. I tu się uśmiechnął.

- Oddam ci ten pierścień, a gdyby nie, królowi go oddam. Dojechali do miejsca, gdzie kupcy z wozem stanęli.

- Mości komendancie - odezwał się ten, który z kupcami rozmawiał. Zatrzymaliśmy ich i ten wóz z krzaków wyciągnęliśmy. Teraz trzeba sprawdzić ten wóz.

- Przeszukajcie, jeno dokładnie, a dobrze patrzcie czy oręża nie wiozą. Jeśli inne towary, niech jadą wolno.

Przeszukali wóz i nic nie znaleźli, tylko towary do handlu potrzebne.

- Możecie ruszać w drogę - powiedział do nich Zembrzuski, a i my ruszajmy. Zaraz ruszyli ostro, bo tak nakazał imć pan Kalesanty.

- Pojedziemy inną drogą - rzekł. Nie chcę jeszcze raz widzieć miejsca, gdzie poległ Mćcisław z ludźmi swymi.

Popatrzył imć pan Kalesanty na Zembrzuskiego, a te słowa usłyszeli także Michał i Zbysław. Michał w milczeniu konia prowadził, siedząc na siodle bogato wyprawionym. To siodło zobaczył Zbysław i od niego spadły słowa w kierunku Michała.

- Skąd, wać takie piękne siodło pod tobą?

Spytał widząc, że żalność trawi Michała. Ten ocknął się z odrętwienia i powiedział.

- Nie dosłyszałem? O co wać pytałeś. Zbysław powtórzył.

- Siodło to dostałem w prezencie od mego ojca. Stare ono, ale dobrze służy -



powiedział Michał. Ojciec mój je otrzymał od króla naszego. Później, gdy ja dorosłem oddał je nam, bo i syn mój już na nim próbuje. Może i jemu kiedyś będzie służyć, bo i on już za miecz chwyta.

Zaśmiał się Michał. Porywczy jest i to już teraz mnie niepokoi. Jeszcze dwie, trzy zimy i trudno będzie go utrzymać w grodzie.

- A i ja mam dwóch takich u siebie. Co prawda jeszcze im daleko do bitek, ale już teraz się do nich sposobią.

Rozmawiali sobie przyjemnie i Zbysław zobaczył, że twarz Michała się zmieniła. Nie było widać tego zatroskania i smutku. Rozmowa o synu jego pozwoliła, jakby zapomnieć o tragedii grodu.

- Staniemy u króla, to królowi powiemy, jaką krzywdę doznałeś od Krzyżaków - rzekł Zbysław. A i od nas już bezpośrednio dowie się król o śmierci Mściława.

Zboczyli nieco i wjechali na inny trakt.

- Dłuższa to droga - powiedział im Kalesanty do Zembrzuskiego, ale do grodu na termin nie jedziemy przecież. A i nasz jeździec już pewnie się do króla zbliża, a kto wie, może król powiadomiony.

Jechali, a przed nimi rozciągały się teraz pola pokryte zielenią. Młode pędy roślin wydobywały się z ziemi. Szło nowe życie. Słońce coraz mocniej przypiekało, choć było już dawno za nimi. Teraz dopiero zobaczyli las w oddali. Było widać z tej odległości, że potężne drzewa na skraju jego stały. A pod lasem, kiedy już podjechali, zobaczyli osadę ogromną. Ogrodzona była balami długimi, które zamocowane jeden do drugiego wznosiły wysokość około trzech metrów. Po środku brama też z ciężkich bali zrobiona. W grodzie już ich zauważono, bo ruch zrobił się w niej niesamowity. Niektórzy z grodu podglądali, któż to do nich jedzie. Dopiero rozpoznawszy chorągiew wiedzieli, że to swoi nadciągają. Otworzyli bramę, ale Zembrzuski zdecydował, aby konie za ogrodzeniem zostawić, jako że tam miejsce sposobne było. Rozkazał konie pilnować i mieć oczy szeroko otwarte. Powiedział to do ludzi Michała, gdyż to ich wyznaczył.

Na jego rozkaz, gdy konie pały się już przy lesie i były dobrze pilnowane, imć pan Kalesanty pierwszy przekroczył bramę osady.

- Co właściwie sprowadza w te strony? - Rzekł siwy starzec. To on stał na czele osady.

- Do Krakowa dążymy, na zamek - odparł Kalesanty.

- Widzę, że macie panie i wrogów ze sobą.

- Ano mamy i do króla z nimi jedziemy.

- Dobrze, że są związani, bo gdy ręce tylko wolne mają mordują, palą i inne gwałty czynią. Na nas też kiedyś napadli, ale w porę do puszczy z naszymi uciekliśmy. Ale osadę splądrowali, podpalili i szkód nam przysporzyli. Odbudowaliśmy ją, ale już nie taką, jak tamtą. Ta biedniejsza, gdyż w tamtej straciliśmy wszystko, co mieliśmy.

- Staniemy tu na chwilę, by odpocząć i z wami porozmawiać - odpowiedział Kalesanty. W drodze już któryś dzień jesteśmy i już się ckną, aby z kimś porozmawiać. Nie o bitwach, jeno o prostym życiu.

- Ano panie ciężkie ono jest za sprawą tych tu - wskazał głową, bo przez nich trzeba było od nowa zaczynać nic nie mając. Trzeba dużo potu wylać, aby znów oczy miały się, czym cieszyć. Nam na razie do tego daleko po spaleniu.

Przeszli w głąb osady, gdzie stary żuraw stał.

- Wody na drogę jeno weźmiemy - rzekł Zembrzuski.  
- A weźcie panie, ile potrzebujecie. Woda tu dobra u nas i bardzo pragnienie gasi, a wy w drodze macie go zanadto - ozwał się starzec.

Zembrzuski popatrzył na ludzi, którzy kosze z wikliny pletli.

- Poręczne kosze robicie - odrzekł.

- Ano robimy, rzekę mamy. Nidzicę nie daleko, a i przy niej wiklina rośnie. Tedy się jej używa do pracy. Później jeździmy z koszami od grodu do grodu i wymieniamy na inne towary, które nam są potrzebne. W rzece ryby łapiemy, bo rzeka rybna panie - powiedział starzec.

Wtem do rozmowy wtrącił się imć pan Kałasanty.

- A czy to wasi ludzie, na jesieni mój gród odwiedzili? Pamiętam, że jakowyś ludzie też u nas byli z koszami. Moi ludzie bardzo te kosze chwalili, że mocne i poręczne.

- Nie wiem panie, bo tu wzdłuż rzeki w kilku osadach robią. Ale wszystkie one solidne, bo i my uczciwi.

Zembrzuski zobaczył, że koło jego ludzi młodych jeszcze wiekiem, stoją młodzi z osady, ubrani w zgrzebne koszule i takież spodnie. Jeden z nich rozmawiał z Miłosza, obok którego stała Dobrawa. Widział jak Miłosza wskazuje mu imć Kałasantego. Młody spojrział i zobaczył, że Zembrzuski patrzy na niego, więc - spytał Miłoszy.

- A ten, kto?

- Nasz komendant, on dowodzi.

Miłosza wiedział, po co młodemu to mówi, akurat wtedy, gdy Zembrzuski patrzy, i bacznie się przygląda. Niech się trochę boi na początku - myślał. Wiedział, że nazywają go Cytko. Ale dlaczego akurat tak? Tego nie wiedział. Odezwał się do chłopaka tymi słowy.

- Wiesz Cytko, komendant nasz to człowiek prawy, dobry rycerz władający bezbłędnie orężem, ale i wymagający.

- A on tak srogo patrzy na mnie.

- Nie srogo - ozwał się Miłosza, on taki już jest, ale do niego można iść ze wszystkim, a doradzi mądrym słowem.

- To, do kogo mam iść z prośbą, bo teraz sam nie wiem? - Zapytał Cytko.

- Do tego drugiego, bo ten, choć dowodzi, słowo tamtego ważniejsze. Tymczasem drugiej parze przyglądał się imć, Kałasanty. Dawno nie widział syna, tak radosnego. Przy nim stała dziewczyna w białym odzieniu z włosami kruczo czarnymi splecionymi w warkocz.

- Ładna - rzekł pod nosem Kałasanty. Piękna.

Poprawił się w mig, gdy przyjrzał się uważnie. Widać było, że i ona jest zadowolona z rozmowy z Junoszą, a kolory czerwone wystąpiły jej na policzki. Podała coś Junoszy, a ten natychmiast schował to za koszulę, po lewej stronie. Kałasanty doszedł do nich. Junosza - powiedział do dziewczyny.

- To jest mój ojciec, szlachcic wołyński, ale ty nie bój się, bo wbrew temu, co widzisz, to człowiek delikatny.

Tak powiedział, gdy zobaczył przestraszoną minę dziewczyny. A ona głowę, skłoniła i długo nie mogła podnieść oczu na imć pana Kałasantego. Dopiero Kałasanty pod brodę ją złapał, głowę uniósł i powiedział.

- Nie chowaj tych oczu, bo piękne są, a to, co piękne trzeba pokazywać.

A widząc zakłopotanie dziewczyny, odszedł. Wtedy to doszedł do niego ten starszy z osady wraz z Zembruskim, a zaraz potem, Cytko. Skłonił się przed imć Kalesantym i zaczął w te słowa.

- Panie, weźcie mnie ze sobą do Krakowa. Moich najbliższych Krzyżacy usiekli, gdy osadę palili. Jam z innymi zdążył uciec. Teraz nic mnie tu nie trzyma, a zrozumiałem, że aby swoich pomścić muszę pilnie uczyć się władać orężem. Trzy roki temu, dwóch z naszych też zabrali przejeżdżający tędy rycerze. Ja wtedy słaby byłem, bo młodszy, panie. Ale dziś sami widzicie. Może mości król mnie zrozumie, ale przedtem waści o zrozumienie proszę.

- Aleś gaduła - odezwał się Kałesanty, ale przekonująco mówisz. Konia masz?

- Nie mam panie. Ale jeździć konno umiem - rzekł Cytko.

- To konia dostaniesz od tego imć pana. Wskazał na Zembruskiego.

- Słuchać od dziś jego rozkazów musisz, a później zobaczymy. Gdyby cię król przyjął, a umieścił gdzieś u siebie, tedy rozkazów kogoś innego słuchać będziesz. Widział jak chłopak przejęty tym, ukląkł przed nim i powiedział.

- Do śmierci mojej nie zapomnę dobroci i zawsze słowa waści będą dla mnie rozkazem.

Dopiero teraz zobaczył, że wszystkie oczy w grodzie, skierowane są na niego. I wtedy starzec powiedział do imć Kalesantego.

- Dobry to chłopak, będzie nam go brakowało, ale u nas nie nauczy się orężem władać. Niech, więc jedzie, a chwały orężem, rycerstwu polskiemu przynosi.

Chłopak ucałował starego w obie ręce. Po czym Zembruski - powiedział.

- Idź z Miłosza i Dobrawą, i niech on powie ludziom, co konie powie, aby pozwolili ci luźnego wybrać. A ty od tej chwili, za niego odpowiadasz. Ma być czysty i macie stanowić jedność. Musisz wiedzieć, że dobry koń w walce, to bardzo dużo.

Skłonił się i Zembruskiemu i po chwili już ich nie było. Pobiegli pod las.

- Młodzi - rzekł znów Zembruski, do miecza im prędko, a nie wiedzą, że bez miecza życie jest o wiele piękniejsze.

Gdy młodzi dobiegli do koni, a pozwolili mu już wybrać, Cytko spytał Miłosze.

- Którego mi radzisz? Odezwała się Dobrawa.

- Ja ci wybiorę, pozwól. Wskazała na ogiera karego, który stał ostatni.

Podszedł Cytko i oczy mu się zaiskrzyły.

- Widzę, że znasz się i na koniach - powiedział. Pewnie, że najpiękniejszy z koni, które widziałem.

Po czym wziął konia za łeb i przytulił do piersi. Koń przylgnął do niego, jeno nogami przednimi przebierał. Tak się poznali. Niezadługo imć pan Kalesanty zarządził, aby wsiadać na konie i ruszać. Pomyślał, że jeszcze dojadą sporo, nim na wieczerzę i odpoczynek staną. Jechali znów w skupieniu, a imć pan Kalesanty podjechał do syna, który obok Miłoszy i Cytki jechał.

- A cóż tak prędko chowałeś pod koszulą? Chłopak - odpowiedział.

Wieczorem ci ojciec powiem. A przypomnij, co bym nie zapomniał.

- A cóż ty masz takiego na głowie, co byś miał zapomnieć?

- A mam, bo, o czym innym teraz myślę.

Imć pan Kalesanty wiedział, o czym. Odchodząc mówił cicho do siebie.

- Kilka dni i mu minie, gdy jej nie będzie.

Przypomniął sobie swoje młode lata. Też nie jedna mu się podobała i o nie jednej myślał. O jednej dłużej o innej krócej, ale dopiero, gdy do trzydziestki się zbliżał, zawładnęła jego sercem, matka Junoszy. Głos Zembrzuskiego wyrwał go z zadumy.

- Dojeżdżamy do rzeki mości komendancie. Przeprowadzimy się przez nią i później już prosta droga do grodu królewskiego. Ale brodu musimy poszukać.

- Ja wskażę bród - krzyknął Cytko. Widząc, że do rzeki Nidzicy się zbliżyli.

- Skręcimy w prawo i tam za tym wzgórkim płytko będzie, co by konie spokojnie przeszły z nami.

- Już z niego pożytek - powiedział do Zembrzuskiego, imć pan Kalesanty.

- Oby zawsze był on na pożytek ludziom - odpowiedział Zembrzuski. Zbliżali się do wzniesienia, a przejechawszy je znaleźli się u brodu.

- Prawdę powiedział - pomyślał Zembrzuski, gdy ujrzał piasek żółty na dnie, a nad nim tylko ździebełko wody. Dziwna to rzeka, miejscami głęboka, a i miejsca płytkie, jak to, w niej się znajdują.

Po chwili już wszyscy bacznie przyglądali się temu, co było na drugim brzegu.

Zobaczyli przed sobą łąki zielone i w oddali puszcę, jakby murem stojącą.

- Tuż za rzeką staniemy - powiedział imć pan Kalesanty.

Pilno było mu usłyszeć, co też ma do powiedzenia syn. Ale i widział, że to miejsce na odpoczynek dobre. Nieosłonięte i tu rzeka przed nimi. W chwil kilka konie stały przy wodzie, gdzie trawa bujna rosła. A ludzie rozeszli się wokoło. Tylko młodzi siedzieli obok. Widać mieli inne tematy do rozmowy. Junosza z nimi siedział, więc Kalesanty odłożył z nim rozmowę na później. Po wieczery, gdy Zembrzuski szykował obóz do odpoczynku - podszedł do syna.

- Miałem ci przypomnieć o rozmowie.

- Tato, o czym tu mówić, też młody byłeś. Obiecałem jej, że gdy tylko misję wypełnimy, przyjadę po nią.

Kalesanty nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i ścisnął rękę, za którą trzymał Junoszę. Raniutko przepawali się brodem ludzie z pobliskich osad i widząc chorągiew trzepoczącą na wietrze kłaniali się nisko. Tak, hołd oddawali. Wzruszył się imć pan Kalesanty, ale i im trzeba było ruszać. Ruszyli. Dojechali przez pola i łąki do puszczy, która gdy się do niej zbliżyli, coraz przyjaźniejszą zdawała się być. Tuż na brzegu przywitały ich dęby i buki okazałe, a i dorodne. Dobrze jechali, bo trafili na trakt puszcza biegnący. Zembrzuski - rzekł do imć pana Kalesantego.

- Tak się spodziewałem, dlatego kazałem prosto jechać, bo jeśli jest bród, to i droga przez puszcę być powinna.

Gdy w puszcę się zagłębili, dostrzegli paśniki dla zwierząt. Puste bez karmy o tej porze roku, ale po zimie zostały.

- Tereny łowieckie króla - odezwał się Zembrzuski. Zimą tu zwierzynę dokarmiają, aby się w ostępach trzymała.

Rzeczywiście puszcza była bardzo urodzajna w zwierza. Sami to widzieli. To sarny, to dziki, przed końmi w boki uchodziły, w popłochu wielkim. A i piękno rogi jeleni też się ukazał. Tak dojechali do jeziora będącego w puszczy. Tylko z jednej strony nie było porośnięte szuwarami.

- Cudowny widok - powiedział imć pan Kalesanty. Jak tu pospieszyć do Krakowa.

Spojrzał na jeńców. Jak tu pośpieszyć - powtórzył, gdy takie widoki dokoła. Widział,

że i w ich oczach jest zachwyt i zaraz pomyślał.

- Dlaczego wcześniej tego piękna nie dostrzegali?

Minęli jezioro i teraz już galopem przemierzali puszcę, jako że minęli figurkę z drewna, a za nią trakt się rozszerzał. Dopiero przed wieczorem stanęli. Była tu duża polana w lesie. Ci, którzy jechali z tyłu zameldowali, że nikt za nimi nie podąża.

- Tu na noc staniemy - rzekł Zembrzyski. Zsiedli z koni.

- Wypocząć musimy, bo jutro u bram grodu królewskiego staniemy - rzekł Cytko. Wszyscy spojrzeli na niego i rozległ się śmiech potężny, a później już wszyscy wiedzieli, co trzeba robić. Po kilku chwilach nastąpiła cisza. Jedli w milczeniu. A gdy już warty były wystawione zapadła cisza całkowita. Michał nie mógł spać w nocy, leżał w milczeniu, a jednak wspomnienia o swoich nie pozwalały mu spać. Za to Zbysław spał chrapiąc, to mruczając, jako niedźwiedź.

- Ten ma sen zdrowy - rzekł cicho do siebie Michał.

Po czym wstał i poszedł przed siebie. Słyszał jak Zembrzuski hasło wartownikom podawał i teraz je znając szedł, gdyż spać nie mógł. Nie daleko odszedł, gdy głos usłyszał.

- Kto idzie? Hasło.

- Kraków.

Odpowiedział i po chwili zobaczył wartownika. Był nim Maćków i on zobaczył Michała.

- Dokąd waść po nocy idziesz, jeśli wolno spytać.

- A spać nie mogę - myśli nachodzą. Myślę, kości rozprostuję, gdy się przejdę.

- Noc widna, ale uważać trzeba - powiedział Maćków.

Po chwili już zobaczył tylko plecy Michała. A ten prosto drogą szedł, aby później nią powrócić. Nie wiedział jeszcze, że czterech Krzyżaków z Krakowa wracając, gdzie z poselstwem u króla polskiego byli, stoi teraz przyczajonych przy drodze. Oni wiedzieli, i zakon wiedział, że Elwin w niewoli, bo długo wieści od niego nie przychodziły. Tylko nie wiedzieli, gdzie on przebywa i kto go pojmał. Teraz przed wieczorem zobaczyli go związanego i trzech Krzyżaków jadących pod eskortą. Postanowili zaczekać do nocy. I teraz ten przypadek im pomógł. Michał szedł zamyślony. A oni widząc, że ktoś idzie przyczaili się. Jeden z nich miał płaszcz w rękę, trzech miało wyskoczyć, złapać go, płaszcz na głowę naciągnąć i związać. Udało się to im w jednej chwili, gdyż Michał szedł zamyślony i nic przed sobą nie widział. Dopiero, gdy go złapali ocknął się, ale było już za późno. Szarpał się chwilę, ale gdy ciemno na dobre się zrobiło wokół niego i poczuł jakiś materiał na głowie, przestał się miotać. Ściągnęli go z drogi i posadzili przy drzewie, ręce do tyłu związawszy. Dopiero ręce, gdy mu wiązali zobaczyli, że nie ma oręża. Zdziwili się, ale jeden z nich powiedział.

- Gdy patrzyłem, czy oręża nie ma, na palcu zawadziłem o pierścień. Pewnie to ktoś ważniejszy, szczęście przy nas. Wymienimy go za naszych, a choćby za Erwina.

- Ale gdy go wymienisz, jak umkniemy? Przecież oni za nami zaraz ruszą i wtedy albo zginiemy, albo nas złapią.

- Nie złapią, bo gdy nam oddadzą Erwina, ruszamy ostro przed siebie. Ja poprowadzę. Nie daleko stąd jest stara jaskinia ukryta w zaroślach. Jest to wejście zamaskowane pod ziemią. Kiedyś, gdy też uciekałem przypadkowo natknąłem się na

nie. Wtedy ta jaskinia uratowała mi życie i teraz też nam je uratuje. Elwin to z zycznego rodu rycerz. Chwała na nas spadnie. Tedy jeden z nas pojedzie do nich rano, gdy już się zorientują, że nie ma tego wśród swoich.

- Jeśli pojedę, to ja z nimi wymianę omówię.

- Tedy ty pojedziesz, tak będzie najlepiej - odpowiedział drugi knecht.

- Umówię wymianę na trakcie. Staniemy na odległość strzału z kuszy, a oni będą szli. Elwin w naszą stronę, a ten w ich. Gdyby, co, w każdej chwili możemy go ubić. A gdy Elwin dojdzie do nas, koń będzie gotowy i w kilka chwil odskoczmy, a potem wjedziemy do jaskini. Mamy cztery konie luźne. Jeden Elwina, a trzy pogonimy przed siebie, aby tętent było słyhać, co by oni za nimi pognali. My w jaskini przeczekamy dzień i ruszymy dopiero nocą. Rano do nich pojedę i wszystko omówię. Ale w obozie polskim już Zembrzusi wiedział, że Michał oddalił się i nie wraca. Zameldował mu to Maćków, obudziwszy go.

- W rozterce jest - powiedział Zembrzusi. Dużo czasu minie, gdy on z pamięci wyrzuci tę tragedię. Ale dlaczego bez uzgodnienia z nami wyruszył na tę przechadzkę.

Chwilę leżał, po czym wstał i poszedł sprawdzić warty, ale więcej z nadzieją, że Michała spotka. Tymczasem rano przyszedł i było jasne, że coś się wydarzyć musi. Zembrzusi już z imć panem Kalesantym i Zbysławem rozmawiał. Postanowili rozejrzeć się po okolicy, by wiedzieć, czy Michałowi coś w nocy się stało. Wiedzieli, że bez oręza poszedł, gdyż to wszystko leżało obok miejsca, gdzie na nocleg się położył. Nagle Zembrzusi zobaczył blisko Krzyżaka na koniu, który stał, a przy sobie oręza nijakiego nie miał. Krzyżak - rzekł po polsku.

- Przyjechałem rozmawiać mości panie.

Zembrzusi zdziwił się, bo Krzyżak tylko biały płaszcz miał na sobie, a pod nim koszulę, żadnego oręza przy sobie, żadnej zbroi na sobie, jeno czarne spodnie w buty włożone. Za nim stał Dobrosław na koniu ze zdziwieniem w oczach. Zembrzusi skinął na Krzyżaka, aby ten do obozu wjechał. Wszyscy teraz byli zdziwieni, bo nie wszyscy wiedzieli o Michale. Teraz i Elwin i pozostali jeńcy dostrzegli swego. Uśmiech zawitał na jego twarz, uśmiech szydery. A Krzyżak powiedział, z czym przybył.

- Mamy waszego panie. Gdy ja nie wrócę on zginie. Chcemy go wymienić na tego oto rycerza - wskazał na Elwina. Tamci was nie interesują? Spytał Zembrzusi.

- Nic, choć nasi.

Na to Elwin krzyknął!

- Głupiś, wszystkich masz nas wyciągnąć. Oni nas chcą przed króla polskiego postawić.

Wtedy Krzyżak powtórzył.

- Słyszeliście panowie, wola jego jest taka, to niech i tak będzie.

Zembrzusi zrozumiał, że aby odzyskać Michała, Elwin może umknąć. Kazał Krzyżakowi zaczekać, bo chciał usłyszeć, co imć pan Kalesanty i Zbysław powiedzą. A Kalesanty powiedział.

- Skoro ich oddamy, bez winowajców, a z samym poszkodowanym przed królem staniemy. Dobre i to, takie moje zdanie.

Poparł je Zbysław i obaj zobaczyli błysk w oczach Zembrzusi. Wiedzieli, że

innej rady nie ma, ale wiedzieli także, że Zembrzuski tak łatwo nie rozstanie się z Elwinem. Zatem zdali się na niego, swoje zdanie wtrąciwszy. Zembrzuski odwrócił się do Krzyżaka i powiedział.

- Gdy będziecie gotowi, stańcie na drodze, to i my staniemy. Równocześnie puścimy jeńców.

Krzyżak odjechał odprowadzony wzrokiem rycerzy polskich i swoich, którzy teraz pewności nabrali. Krzyżak odjechał, ale bacznie pilnował, czy nikt za nim nie ruszył. Upewniwszy się, że nie, pomknął do swoich. Wkrótce i oni zobaczyli jego. A on zsiadł z konia i rzekł.

- Zgodzili się nawet czterech oddać za niego, tu wskazał na miejsce, gdzie Michał siedział związany. Musi to być ktoś ważny, ale my planu nie zmieniamy. Gdy dojdzie do wymiany i gdy nasi będą blisko, ostawimy tylko Elwina żywym. Tak będzie bezpieczniej. Do walki zapewne przydaliby się, ale my nie chcemy walczyć, jeno uciec.

Zaśmiał się szyderczo.

- Prawda? Dodał.

- Ja będę pilnował jego - wskazał na Michała. Gdyby coś było nie tak strzelę z kuszy do niego i wtedy uciekamy. Ale jak wszystko będzie zgodnie z planem, każdy w swojego strzałę wpakuje.

Krzyżacy skinęli głowami. Teraz już nie pozostało nic innego jak z lasu na trakt wyjechać. Polacy byli czujni i gdy tylko zobaczyli Michała stojącego na drodze z Krzyżakami, stanęli również ze swymi jeńcami. Zembrzuski oddał sygnet Elwinowi. Krzyżak bardzo się zdziwił.

- Miło mi było panie cię poznać, jeszcze chyba nie raz się spotkamy.

- I ja tak myślę, że spotkamy się już niedługo- odpowiedział Zembrzuski. Widać było u Elwina jeszcze większe zdziwienie, po czym rzekł.

- Godnym przeciwnikiem jesteś panie, zapamiętam to sobie.

- Masz iść po drugiej stronie z dala od naszych - powiedział Krzyżak do Michała, gdy ruszyli.

Michał wiedział, co zrobił przez swą bezmyślność i rozterkę.

- Myślał. Gdyby tak szedł twarzą w twarz z samym Elwinem, tak na wprost niego, ale tu zmierzało ich czterech. Teraz musiał iść, bo nic innego nie mógł zrobić. A Zembrzuski wnet odetchnął, bo chciał, aby tak właśnie było. Elwin z kompanami dochodził do swoich. Spojrzał, a oni łuki podnieśli. Znieruchomiał. Różne myśli przemknęły mu przez głowę i po chwili zobaczył, że on jeden żyje z tej czwórki i już mu konia podstawiają. Wskoczył na niego i w las pomknęli. Niedługo dopadli do zarośli, w których było wejście do jaskini. Przodem puścili trzy luźne konie i pognali je. A one spłoszone i bez jeźdźców pogalopowały szybko w las. Krzyżacy wjechali do jaskini i z bijącym sercem czekali.

- Wiedziałem, że tu jest, cudna jama - odparł ten Krzyżak, który plan ucieczki obmyślił, widząc zdziwienie Erwina.

A ten cichutko dodał.

- Gdy uda się ta ucieczka, wynagrodzę was osobiście.

Ten, który wymyślił plan położył palec na ustach i rozmowa, choć cicha skończyła się. Tymczasem Polacy dojechali w pobliże jaskini. Słyszając jednak tętent koni

uciekających obok przez las, pojechali za końmi. Ale wkrótce las się skończył i gdy z niego wyjechali zobaczyli luźne konie bez jeźdźców galopujące. Zembrzuski nie mógł zebrać myśli.

- Co się stało? Na ich oczach zabili trzech swoich, dla których te trzy konie mieli, teraz je przecież widzimy. Przecież w walce przydaliby się im teraz, no chyba, że nie zamierzają walczyć, a wleźli gdzieś, aby przeczekać.

Nerwowe myśli przychodziły mu do głowy.

- Pewnie tak jest, ale gdzie oni mogą być.

Jednak, jako dowódca nie popełniał błędów. Nie wszyscy pojechali za odgłosem koni. Część ludzi zostawił na miejscu, aby bacznie śledzili, bo i tak nie byłoby sensu, aby wszystkich ludzi angażować w pogoń. Przecież kilku Krzyżaków, a nie oddział uciekał. Zobaczył Zbysława i krzyknął.

- Zalegli gdzieś, a konie dla zmylenia puścili.

Dobrze, że akurat z nimi był Miłosza z Dobrawą i chłopak z osady, który się teraz odezwał.

- Panie tutaj niedaleko jest pieczara ukryta w zaroślach. Opowiadali o niej w osadzie, że niedźwiedzia potężnego, gdy król na polowaniu ranił, tenże zaszywszy się w gęstwinie zniknął. Objeżdżali okolicę i nigdzie go nie było. Tylko jeden od nas z osady, który naganiał zwierzynę usłyszał ryk w zaroślach. Podszedł i usłyszał głos z podziemi się wydobywający. Zawiadomił, czym prędzej ludzi króla i oni odnaleźli pieczarę i niedźwiedzia ubili.

- Gdzie to jest! - Krzyknął nerwowo Zembrzuski.

- Gdzie nie wiem, ale to chyba tu blisko.

Zembrzuski zebrał ludzi i nakazał wracać. Teraz przejeżdżali jeden obok drugiego w odstępach przeczesując las. Tak dojechali do swoich. O wszystkim dowiedział się imć pan Kalesanty, który bardzo zniecierpliwiony czekał. Gdy usłyszał wszystko - rzekł.

- Od miejsca, gdzie Krzyżacy przejęli Erwina, a tych trzech zabili, ruszymy jeszcze raz. Jeden obok drugiego. Jest nas wielu, więc przed zmrokiem wielki teren przeczeszemy. Gdyby ktoś znalazł pieczarę, zaskrzeczy jak sroka. Rzekł i ruszyli.

Niedługo byli przy Krzyżakach, którzy ze strzałami w sobie leżeli rozrzućeni.

Nie jechali długo, gdy na raz rozległ się skrzekot sroki, tak jak było umówione.

Każdy, kto usłyszał konia zatrzymał i wnet skrzekot się powtórzył. Usłyszeli to również i Krzyżacy i konie swe przeprowadzili w głąb pieczary. Do końca, jednak nie dalej, bo bloki kamienne nie pozwalały. Stali w milczeniu i każdy końską mordę rękami trzymał. Zembrzuski natychmiast pojechał w miejsce, gdzie znów głos sroki się odezwał. Wjechał w zarośla i dostrzegł swojego, a ten ręką mu wskazał. Teraz dopiero dostrzegł mchem porośnięte wejście.

- Czyżby tu siedzieli cichcem. To prawdopodobne, bo przecież pod ziemię się nie zapadli. Przecież, my zaraz ruszyliśmy za nimi.

Po chwili, wszyscy rycerze polscy byli w pobliżu pieczary. Zembrzuski podjechał osłonięty ścianą kamienną do wyjścia i krzyknął. Wiedział, że ten jeden mówi po polsku.

-Wychodzić!

Rozległo się wokoło i nic tylko cisza temu odpowiedziała. Wrócił i nakazał drzewa i



igliwia suchego przynieść.

- Już mamy - ozwał się rycerz od Zbysława.

Spojrzał do tyłu. Duża góra gałęzi leżała za nim. Nawet nie wiedział, kiedy to przynieśli. A oni, gdy usłyszeli, że puścić dym muszą, bo pieczarę znaleziono i nikt dobrowolnie przecież z niej nie wyjdzie, gałęzie przytaszczyli. Teraz przydały się Zembrzuskemu, bo kazał je podsunąć bliżej wejścia i ogień podłożyć. Zaraz wszystko było gotowe i ogień buchnął, bladym płomieniem i natychmiast dym poszedł do jaskini, która musiała mieć w sobie jakąś nikłą szczelinę, bo dym gęsty ciągnął w pieczarę. Po chwili usłyszeli kaszel ludzki, no a później konie rżące.

- Wychodzić! - Odezwał się Zembrzuski. - Oręż rzucać, a wychodzić!

Pierwsze wyskoczyły konie. Były spienione i przestraszone. Ale ludzie nie wychodzili.

- Podłożyć zielonego - krzyknął Zembrzuski.

Długim drągiem podepchnęli zielone i dym jeszcze gęstszy zaczął wypełniać pieczarę. I wtedy wyleciała koszula biała, a po niej cztery miecze i kusze. Po chwili wyszło czterech Krzyżaków w płaszczach, które były osmalone od dymu.

- Gdzie zakładnik - krzyknął Zembrzuski.

- Życie sobie, odebrał, panie.

Zembrzuski spojrzał i zobaczył u tego, który pertraktował, sygnet Erwina na palcu. Przeczekali, aż dym zrzednie i wskoczyli do pieczary. Elwin miał głęboką ranę od miecza i nie żył. Zembrzuski jeszcze raz spojrzał na Krzyżaków.

- Skąd ten sygnet masz?

- To mój panie.

- Łżesz, ty go zabiłeś, bo i jako ostatni z pieczary wyszedłeś. Nie jesteście lepsi od niego, swoich ubiliście.

Krzyżacy głowy spuścili, bo wiedzieli, że to koniec. A jeden a nich nie wytrzymał i krzyczał.

- To przez niego. Wskazał na tego z sygnetem.

- Jechaliśmy od króla polskiego, gdyż ze skargą u niego byliśmy i w drodze was zobaczył. On namówił nas, aby tego naszego odbić. My chcieliśmy jechać dalej nie zaczepiając was. To on nas namówił, to on kazał strzelać do swoich.

I wtedy Krzyżak rąbnął go pięścią, a po chwili już był związany. Tego uderzonego polali wodą, a kiedy doszedł do siebie, imć pan Kalesanty - rzekł do niego.

- Wiem, że prawdę mówisz i za to wolno pójdziesz do swoich. Im coś wymyślisz, co by ci uwierzyli. A tych trzech z nami pojedzie i gdy przed królem Polski się przyznają, też wolni odjadą.

- Nie powiemy nic, bo tak, czy tak, śmierć nas czeka.

- A ty, co powiesz? - Ozwał się Zembrzuski do tego z sygnetem.

- Już powiedziałem - warknął.

Zembrzuski doszedł do niego i sygnet Erwina zdjął mu z palca.

- Jako dowód, bo herb jest na kamieniu, do króla pojedzie. Ty mu życie odebrałeś i od ciebie oczekuję, że wyznasz prawdę, bo inaczej z lochów nie wyjdiesz do końca życia.

Wszyscy stali dokoła i przyglądali się Krzyżakom. Po czym Zembrzuski skończył z nimi rozmowę i kazał ich bacznie pilnować. Wsadzili ich na konie, które w trakcie

rozmowy inni złapali i wszyscy ruszyli od pieczary przez las.

- Dobrze, że młody wspomniał o tej pieczarze. Gdyby nie on, nie wiem czy ktoś dostrzegłby wejście do niej. Przecież nie jechaliśmy jeden obok drugiego. Nie przeczesywaliśmy tak dokładnie lasu.

Zembrzuski widzi chłopaka. Podjechał do niego i powiedział.

- Dobrze spisałeś się chłopcze, dzięki tobie mamy tych łotrów.

- Cieszę się panie, że choć krótko jestem u was już się przydałem. Myślę, że jeszcze nie raz przydam się i królowi.

- A może u nas zostaniesz. Trzeba by pomówić z imć panem Kalesantym.

- Nie zrozum mnie źle panie, ale chciałbym do króla i u niego na służbę zostać.

Wysoko mierzy - pomyślał Zembrzuski, poklepał go po ramieniu i odjechał. Wkrótce, a nie odjechali za daleko, zapadł zmrok i obozem stanęli. Michał nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zły był na siebie, że tak nie pomyślawszy oddalił się nocą od obozu i tyle zamieszania uczynił. Na szczęście nikt nie zginął, ale padło czterech Krzyżaków w tym Erwin, który miał odpowiadać przed królem Polski, za spalenie grodu. Jedno uspokajało duszę Michała, że ten, który dał rozkaz gród spalić, nie będzie już chodził po tej ziemi. Ale dręczyło go to, że ten łotr nie stanie przed królem i resztę życia w lochu nie spędzi. Zbysław widział, że Michał przeżywa to wszystko, więc podszedł do niego i zagadnął.

- Nie trap się waść, co było nie wróci. Z nimi do Krakowa pojedziemy i może jutro przed królem staniam, i będzie tak, jak powiedział imć pan Kalesanty. - Winnych nie będzie osobiście, tylko pokrzywdzony.

Nawet jeść się nikomu nie chciało, tyle wydarzeń przyniósł ten dzień. To też zabezpieczywszy obóz i jeńców, cisza zapanowała dokoła. Ranek obudził ich nie słoneczny, a mgławcy. Mgła była gęsta i zawieszona nad lasem i polami. Imć pan Kalesanty widząc to - powiedział do Zembrzuskiego.

- Zostaniemy jeszcze nim mgła opadnie. Dobrze to, bo ludzie odpoczną więcej i od wielu dni nie musimy się tak spieszyć.

Zembrzuski głową skinął i ludzi swoich na warty wyznaczył. Z wątpliwości pozostała jedna, czy zdążą jeszcze w tym miesiącu powrócić do domu, bo miał się on ku końcowi. Z wart zeszli ludzie Zbysława.

- Odpocznijcie - rzekł Zembrzuski. A widząc ich zdziwienie - dodał.

- Nie ruszamy jeszcze, mgła nad lasem, a i w polach. Tedy przeczekamy. Wojowie zadowoleni przyłgnęli do ziemi i po chwili, każdy z nich miał oczy zamknięte. Kilku nie spało. Zembrzuski kazał im ogień napalić i zrobić gorącą strawę.

- Trzeba tę mgłę wykorzystać - powiedział.

Po chwili ogień już sutym płomieniem płonął i warzyła się strawa. Gdy mgła opadła, ogień zasypano. Każdy z rycerzy był dzisiaj gotów do Krakowa wjechać. Zaraz po jedzeniu, ruszyli.

Najbardziej przeżywał to Cytko. Myślał o tym, by król zechciał go przyjąć do swoich rycerzy. Słuchał w milczeniu. Dobrawa mówiła, ale gdy skończyła - odrzekł.

- Śniłem o tym, aby w grodzie się znaleźć, a teraz już niedługo będzie to prawdą. Do tej rozmowy wtrącił i Miłosza słowo.

- Może zobaczywszy gród i srogą w nim dyscyplinę u króla, zechcesz wrócić do swoich, do osady.

- Do swoich w osadzie wrócę, ale jak będzie sposobność. Tam się wychowałem, lecz tylko, dlatego.

Rozmowa skończyła się, bo wyjechali z lasu i przed nimi rozciągnęło się olbrzymie pole, na którym w zachodniej stronie osadę zobaczyli. Stała ona koło traktu, którym dążyli. I tu ogrodzenie było wysokie, a brama w ogrodzeniu zamknięta tkwiła. Obok było widać ludzi w polu, którzy, gdy zobaczyli jeźdźców stanęli, oczy rękami przysłoniwszy. Przypatrywali się przybyszom. Na przedzie obok chorągwi jechał Zembrzuski. Pozdrowił ludzi z pola ręką, a jeden z nich młody jeszcze wybiegł na rów, przeskoczył go i zbliżył się do Zembrzuskiego, po czym rzekł.

- Na Kraków tam panie. Wskazał kierunek.

- Cóż za gród to? - Spytał Zembrzuski.

- Wawrzyńca, odparł młody.

Teraz dopiero słońce przebiło się przez chmury. Poczuli, że Kraków już blisko.

Jechali czas jakiś, by zobaczyć gród w całej swej potędze. Stał przed ich oczyma i robił duże wrażenie. Po chwili zobaczyli jeźdźca, który zbliżał się do nich. Był to jeździec wysłany do króla. Podjechał i pozdrowił wszystkich, a do imię Kalesantego - rzekł.

- Król już wczoraj waści oczekiwał. Kłopotał się, że nie przyjeżdżacie panie.

- Mów, czy dzisiaj nas przyjmie.

- Przyjmie panie, bo kazał siebie powiadomić natychmiast, gdy tylko przyjedziecie do grodu.

W czasie tej rozmowy przejechali przez bramę grodu i stanęli na dziedzińcu przed gospodą. Cicho tu teraz było, nie tak jak wtedy, gdy sejmik się odbywał. Weszli do gospody i zobaczyli kilku ludzi stanu szlacheckiego przy kuflach siedzących

- Witam waści - rzekł imię Kalesanty.

- Zapraszamy do kompani, usłyszał w odpowiedzi.

- Rad jestem z zaproszenia, mości panowie, ale do króla mi spieszno, a i z tego, co wiem, król zniecierpliwiony nas oczekuje. Poza tym jeńców krzyżackich mamy i pilno mi, by ich do lochów wtrącić. No, chyba, że mury ich przestraszą i mówić będą. To powiedziawszy - rzekł do Zembrzuskiego.

- Daj trzech ludzi, co by ich pilnowali. Tu wskazał na jeńców.

- A my mości panowie - rzekł do Zbysława i Michała, do króla. Zembrzuski, spojrział, a przy nim już stał Dobrosław.

- Blisko jesteś, więc za jeńców odpowiadasz.

Zobaczył, że imiępan Kalesanty ze Zbysławem i Michałem zdążają do zamku. Poszli i ogromnymi schodami weszli do zamku, gdzie poprowadzono wszystkich do ogromnej sali, na której stał stół złożony, a w oknach ciężkie sukno czerwone wisało. Koło stołu fotele złocieniem zdobione i lichtarze wokół ze świecami, które teraz nie paliły się. Dość długo czekali. Wreszcie król wszedł. Koło niego usiadło kilku ludzi za stołem, a król przyjrzał się wszystkim i odezwał się tymi słowy.

- Rad jestem, że waści widzę nareszcie w grodzie. Martwiłem się, co by w drodze wam się coś nie stało.

Tu spojrział na swoich.

- A teraz, czym prędzej mówcie, bom ciekaw, z czym przybywacie. Opowiedział to wszystko, imię Kalesanty. Król zmarszczył brwi i głowę opuścił. Zdawało się, że

zsunie się z fotela, bo pochylił się, ale on nadal w bezruchu siedział.

Jednak podniósł głowę po chwili i rzekł.

- Oni na skargi do mnie przyjeżdżają, że waści napadacie na nich, a tymczasem sami gwałt czynią.

Na to Kałasanty - odrzekł.

- Niech, choć jeden swój spalony kasztel pokażą. Wiosna przed nami dopiero przechodzi, a już mamy gród Michała spalony przez nich. Mamy świadków, że osadę spalili. A ile jeszcze spalą?

- Wiem - rzekł król. Skarżą się, abym uważał, że to oni są prześladowani. Widzę, że i Krzyżaków ze sobą przywieźliście.

- Mam tu sygnet mości królu, tego, co kazał Michałów spalić.

I Kałasanty podał go królowi. Król przypatrzył się sygnetowi. Zmarszczył brwi i powiedział.

- Znam ten herb na sygnecie widniejący, kiedyś ród zacny, ale już widzę, że i on mordować zaczął.

Kałasanty mówił dalej.

- Ten oto - wskazał na Krzyżaka, Elwina zabił i sygnet jego sobie przywłaszczył.

Król przyjrzał się uważnie i rzekł.

- Ty byłeś w grodzie ze skargą i w drodze do swoich podłości narobiłeś. Co masz do powiedzenia?

Krzyżak głowę zwiesił.

- Do lochu z nim - rozkazał król.

- Posprzeczali się na naszych oczach. Jeden z nich w chwili słabości, przyznał się do wszystkiego i ich obciążył, tedy go wolno puściłem. Dlatego pewny jestem ich winy - rzekł imć pan Kałasanty.

- Później ich osądzimy - powiedział król. Teraz zwrócił się do Michała.

- Gród swój odbuduj, ale tak, by był jeszcze potężniejszy. Aby wiedzieli, że pałac sobie też szkody przynoszą. Pomoc otrzymasz. Rad jestem, że trudziliście się jazdą, by mi przekazać wieści. Cały czas myślę, aby ukrócić ich samowolę. Ale wierzcie mi, że przyjdzie taki dzieli, że uderzymy.

Po czym wstał i chciał wyjść, ale imć Kałasanty zatrzymał króla słowami.

- Prośbę jeszcze jedną mam, najjaśniejszy panie. Choć to nie moja prośba, ale chcę ci ją królu przedstawić.

-Mów waść! Kałasanty - rzekł.

- Chłopaka mam u siebie z osady, którą w drodze mijaliśmy. Sierota on, bo właściwie tę osadę też Krzyżacy splądrowali i później spalili. On świadek. Teraz pilno mu, by się uczyć władania orężem. Chciałem go do siebie, ale on wysoko mierzy. Prosi, abyś ty Najjaśniejszy Panie zgodę wyraził, aby z twoimi rycerzami, ostał.

- Gdzie on - odezwał się król.

Rozejrzał się. Dopiero teraz rozpoznał, że wśród pilnujących jeńców jest białogłowa. Zdziwił się i spytał.

- Oddajesz mi waść chłopaka, a sam walczysz białogłowy mając u siebie.

Uśmiechnął się, a i Dobrawa się uśmiechnęła. A imć Kałasanty - rzekł.

- Dzielna ona, mości królu, a tu jej wybranek stoi.

Wskazał na Miłosze. A ten oto Maćków, rycerz, jakich mało. A tamtego młokosa

zostawiłem ze swoimi. Król - rzekł.

- Niech tedy na zamek przyjdzie, a powie, z czym przychodzi, a ja już rozkażę, aby go wyuczono na rycerza, gdy będzie pilnował dobrze miecza.

Król wyszedł, a i imć pan Kalesanty z pozostałymi opuścili komnatę. Wrócili i usiedli przy stołach.

- Długo waści nie było, dużo zapewne musiał król wysłuchiwać - rzekł szlachcic.

Kalesanty widząc, że nogi się chwieją pod pytającym, odrzekł krótko, aby rozmowy nie prowadzić.

- Tak było trzeba.

Spojrzał na Cytkę i powiedział.

- Pójdiesz na zamek. Powiesz, z czym przychodzisz. Król już rozkazy wydał, będziesz mu służył. Poręczyłem swą godnością za ciebie, więc staraj się z całych sił, aby mnie nie zawieść.

Chłopak w obie ręce ucałował imć pana Kalesantego. Pożegnał się ze wszystkimi.

Doszedł do Dobrawy i ją uściskał. Podniosła się wrzawa, a on speszony na zamek ruszył. Zaraz po tym, weszło do gospody kilkunastu ludzi. Podeszli do imć pana Kalesantego, a jeden z nich powiedział.

- Cieśłami jesteśmy. Mości król nas przysłał, co byśmy pomogli w odbudowie grodu spalonego przez Krzyżaków.

Wstał Michał i rzekł.

- Usiądźcie. Rad jestem, że was widzę, wszak to mnie będziecie pomagać. Szybko król działa. Tam gdzie może, to i pomoc niesie. Pracy przed wami i mną nie mało. Ale tak jak król powiedział, gród jeszcze większy i potężniejszy zbudujemy. Trzeba już teraz takie budować, aby się Krzyżakom móc przeciwstawić.

Przed wieczorem, opuścili Kraków nie wiedząc, co jeszcze przed nimi. Jeńcy krzyżaccy zostali u króla, by tam ich osądzono. Wyjechali z Krakowa pospiesznie, gdyż im było tęskno do wołyńskich okolic. Do tych widoków, do tych pól przepięknych i do tych lasów dorodnych, no i do swoich. A Michał też śpieszył, aby, czym prędzej gród budować. A i Junosza chciał, czym prędzej do czarnowłosej wrócić, tak jak jej przyrzekł. Król, oprócz tego, że cieśłom nakazał pomóc w odbudowie grodu, to jeszcze narzędzia potrzebne do budowy, zlecił dać. Jechały teraz przytroczone do wierzchowca, który szedł z tyłu trzymany przez jednego z ludzi Zbysława. Do nocy kawał drogi od Krakowa odjechali. A teraz w dogodnym miejscu stanęli. Niebo było gwiazdami obsypane, które wyraźnie widać było, a śpiew ptaków ucichł. Położyli się, aby odpocząć, jeno Zembrzuski jak zwykle rozkazy jeszcze wydawał, ale i on wkrótce się położył. Nastąpiła cisza wokoło. Noc spokojnie przeszła. Gdy imć pan Kalesanty rano oczy otworzył, zobaczył słowiki w górze nad sobą, które radośnie śpiewały. To wzbijały się w górę, to opadały. A zobaczył, że najgłośniej śpiewają, gdy zatrzymują się w miejscu trzepocząc skrzydełkami.

- To dziwne, tyle lat żyję, a jesczem tego nie widział. Dopiero dziś to zobaczyłem. Coś to pewnie oznacza?

Później, gdy jego syn Junosza poprosił, aby mu zezwolił do dziewczyny jechać - pomyślał.

- To może, dlatego tak słowiki mi śpiewały, obwieszczając syna miłość. Wziął chłopaka za ramię i poszli przed siebie.

- Nie możesz żyć bez niej?
- Nie tato - odpowiedział Junosza.
- Tyś szlachcic, a ona chłopka.
- Nie poradzę nic na to ojciec.
- A co matka na to powie - pomyślałeś? Co ona powie, gdy pozna prawdę?
- Mama ma dobre serce i zrozumie. Pozwól ojciec.

Kalesanty zamyślił się i szedł w milczeniu przed siebie. A chłopak z niecierpliwością czekał.

- Sam nie pojedziesz, widzisz jak na drogach.
- Pozwól ojciec, że pojedę. Sam przemknę niepostrzeżenie, a i z nią do domu wrócę. Zgodę dostał, bo w tym miejscu i Kalesanty był miękki, tak jak twardy w innych kwestiach.

Ruszyli w drogę. Na razie Junosza jechał z nimi, ale już Miłosza i Dobrawa wiedzieli, że do osady będzie podążał sam. Imć pan Kalesanty jechał teraz w milczeniu i rozmyślał.

- Taka szkoła mu się przyda. Porywczy jest, tak jak ja, gdy młody byłem. Aleja żyję, mimo to, że nie raz w opalach byłem. Z tej porywczoci może on też będzie żył. Długo jeszcze rozmyślał, aż z tego myślenia wyrwał go głos Zembrzuskiego.
- Jakowyś ludzie zbliżają się. Jeszcze są daleko.
- Wyślij kogoś, kto by zobaczył tych, co traktem jadą.

Maćków ruszył natychmiast pełnym galopem, a potem zwolnił, gdy do tamtych się zbliżył. Na przeciw niego, też jeden wyjechał.

- Kto, waści? Ozwał się Maćków.
- Do krakowskiego grodu jedziem, a kto pyta?
- Zwą mnie Maćków, jadę z moimi z pod herbu Działosza.

Maćków rękę podniósł i tamci się zbliżyli. Jechało kilku zbrojnych na pięknych koniach. Za nimi dwóch ludzi bez zbroi i oręza, a za tymi dwoma kilkunastu na koniach, tylko w łuki zbrojnych.

- Blisko od Krakowa osadę mamy, tedy często tą drogą podążamy. Ale waści pierwszy raz widzimy?

Teraz podjechał i imć pan Kalesanty ze swymi.

- O przepraszam - odezwał się tamten.
- Waści, to już widziałem, popatrzył na Kalesantego. I waści też - odezwał się do Zbysława. Dość dawno na sejmiku w Krakowie.
- Widzę, że od króla wracacie, mości panowie. Co w grodzie? Imć Kalesanty odpowiedział, ale tak, aby rozmowy nie ciągnąć.
- Do domu spieszym, bo już jakiś czas poza nim jesteśmy. Tedy pożegnam waści, bo naprawdę pilno nam wracać - rzekł Kalesanty.

Tamci skłonili głowy i ruszyli drogą do krakowskiego grodu. Zembrzuski zagadał Junoszę, który teraz jechał obok niego.

- Cóż zgodził się ojciec?

Junosza zdziwił się skąd Zembrzuski wie o tym, a ten widząc jego zdziwienie - powiedział.

- Nie dziw się, dowodzę, więc muszę wszystko wiedzieć i o wrogach i o swoich i także o miłości.

Tu zaśmiał się, a Junosza odpowiedział.

- Ojciec ma dobre serce, srogi jest, ale na te sprawy miękki.

Zembrzuski podjechał koniem jeszcze bliżej niego, a gdy już był tak, blisko, że mógł mu powiedzieć do ucha, powiedział.

- Bacz pilnie w drodze, bo to nie zabawa. To, że ojciec miękki wykorzystales, prawda?

- Nie wiem jak powiedzieć, aby nie skłamać.

- To najlepiej już nic nie mów. Ale sam chyba nie pojedziesz?

- Sam przemknę, ojciec zgodę wyraził.

Zembrzuski nic nie odpowiedział na to, jeno postanowił później słowo z imię panem Kalesantym zamienić. A czas naglił, bo niedługo te drogi rozejść się miały.

Nie czekał. Pomyślał, co z głowy to z serca i podjechał do imię pana Kalesantego.

- Słyszę, waść, że zgodę wyraziłeś na odjazd syna.

- Tak - odparł Kalesanty. Niech sam jedzie. Ja, gdy młody byłem, też porywcość w sobie miałem. Co ma być, to będzie. Mądry jest, choć młody, niech się uchodzić uczy, gdyby w drodze musiał. I przetrwania, to też ważne.

Zembrzuski nic nie odpowiedział, choć z pewną propozycją do imię pana Kalesantego podjechał. Teraz zmienił zdanie. Dalej jechali i znów pod lasem zobaczyli jakieś wozy, podążające do Krakowa.

- Ruch tu mości panie - odezwał się Zbysław do Kalesantego. Wszyscy do Krakowa dążą.

- Nie wszyscy, bo mnie i wam droga od Krakowa prowadzi.

- A to prawda - rzekł Zbysław.

Który chciał rozmowę wszcząć z Kalesantym, ale nic z tego nie wyszło, bowiem ten zajęty był myślami o synu. Gdy słońce wysoko było dojechali do kępy drzew.

Zobaczyli, że tu ktoś obozem się rozbił, bo kilku ludzi wokoło go strzegło. Ujrzeni chorągiew z herbem Dębiróg, bowiem w herbie widniał pień dębu, oraz poroże jelenia, jakby z niego wyrastało. Wkrótce poznali pana tego herbu. Był to pan potężny

- Stanisławem zwany. Wszedł, naprzeciw, bo już z daleka chorągiew z herbem Działosza widział.

- Prosimy do kompanii - powiedział. Miejsca w cieniu dużo, a słońce jak żadnej wiosny grzeje.

- A cóż tak obwarowani jesteście w dzień.

- Ano te psubraty coraz śmielej sobie poczynają, więc to na nich dobra odpowiedź, czyż nie tak?

- To prawda - odpowiedział Kalesanty.

Zdjął czapkę i Zbysław również, a ten pierwszy dodał.

- Dziękujemy waści za gościnę, chętnie skorzystamy. Choć najchętniej jechałbym do grodu swego.

Myślał o swoich ludziach, którzy tam zostali. Myślał i o tym, co by było, gdyby Krzyżacy jemu gród pod jego nieobecność spalili. O jeńców, których do tej pory puścił nie obawiał się, gdyż żaden z nich nie przyzna się, że był w niewoli, bo tym samym lochy, a może i śmierć by sobie zgotował. Bo skoro żyw by do nich wrócił, zdrajcą by go nazwali. Ale obawiał się Zygryda i jego zemsty. Ocknął się z myśli i

zobaczył, że rozmowy się dookoła toczą. Usiadł.

- U króla byliśmy i przyjął nas. Jeńców zostawiliśmy w Krakowie.

- A i my jednego mamy. Podkraść się do nas nocą, aby czegoś się wywiedzieć, ale pojmany został jucha i teraz tam związany siedzi. Po polsku gada słabo, a jak mówimy mu, że jest Krzyżakiem, to on zaprzecza.

Zembrzuski przyjrzał mu się uważnie. Był to ten sam Krzyżak, którego złapali przy pieczarze, a którego imię pan Kałesanty puścił wolno. A i imię Kałesanty go rozpoznał, i do Stanisława - rzekł.

- Jam go puścił wolno, to Krzyżak, ale nam prawdę wyznał i dlatego go wypuściłem.

- To, co robił nocą przy nas? - Rzekł Stanisław.

- To go teraz zapytamy - rzekł Kałesanty.

I Kałesanty spytał.

- Poznajesz mnie?

- Tak panie.

Po co podchodziłeś do obozu nocą?

- Głód mnie panie zmusił i wszystko mi było jedno. Złapali mnie, ale jeść dostałem.

- Teraz nie w moich rękach jesteś i nic ci nie pomogę. Krzyżak spuścił oczy, a Stanisław rzekł.

- Skoro wypuszczony byłeś za prawdę, tedy i ja tego nie zmienię. Szkody nam nie wyrządziłeś, więc odejść możesz. Konia twego mamy, to i jego dostaniesz, a żebyś w drodze już głodu nie czuł, jadło też otrzymasz.

Kazał go rozwiązać. Krzyżak ku zdziwieniu wszystkich, pewnie widząc dobroć, jakiej sumieniem swoim się nie spodziewał podszedł i rzekł.

- Nie chcę panie do swoich, oni już nie moi, pozwól mi zostać u siebie, będę ciałem moim cię panie osłaniał, aby wynagrodzić ci litość, jaką mi okazałeś.

Zdziwiony Stanisław spojrział na imię Kałesantego, a ten powiedział.

- Gdy to jest szczerą prawdą dobrą osłonę waść mieć będziesz, bo tylko człowiek, który to przejdzie, taką osłoną być może.

Stanisław powiedział. Ręce masz wolne, obóz przed tobą, nikt od tej chwili pilnować cię nie będzie. Ale pamiętaj, co przyrzekłeś.

- Będę ci służył panie wiernie, boś dobry i przyjazny dla mnie.

Po czym poszedł w to miejsce, gdzie siedział związany i usiadł. Patrzył na wszystkich z niedowierzaniem. Ale zaraz imię Kałesanty - rzekł.

- W drogę nam spieszno mości panowie, do domu, gdyż bliscy czekają.

W chwilę po pożegnaniu w siodłach siedzieli, a słońce nieco pochyliło się ku zachodowi. Do nocy znów kawał drogi ubyło i zbłądziwszy nieco, znów swoją drogę odnaleźli. Ujechawszy nią kawałek znaleźli miejsce, w którym ktoś przed nimi ognisko palił.

- Tu zatrzymamy się - powiedział imię, Kałesanty.

Noc przeszła spokojnie i już skoro świt w siodłach siedzieli.

To Kałesanty ponaglał. Znów jechali tą dłuższą drogą, aby ominąć polanę, którą Mścisławową zwał.

- Droga dłuższa, więc spieszyć się trzeba.

Powiedział do Zbysława i spojrział na Michała, w którym smutek siedział.

- Cóż waść tak myślisz?



Michał ocknął się. A Kałasanty dalej prawili.

- Nie ma teraz, co zadrećcać się, wszystko, co się stało nie wróci.

Teraz ludzi masz waść i gród musisz dzwignąć, a i twoi też pewnie nie siedzą bezczynnie.

Wciągnął w rozmowę Michała, aby tej załości mu ująć. Jechał dość długo koło małego człowieka, stroskanego do granic, rozmowę prowadząc. Jechali długo lasem, w który wjechali i naraz, gdy się skończył, zobaczyli pole drogą przecięte. A w oddali kępy drzew rozciągnięte wzdłuż.

- Rzeka nie daleko, a te drzewa rozciągnięte brzeg wskazują - krzyknął Zembrzuski.

- Może w rzece się wykapiemy - powiedział Miłosza do Dobrawy. Zembrzuski to usłyszał i odrzekł.

- Jak nakaże imć Jędrzej.

Widząc ich zdziwienie, poprawił się. No imć pan Kałasanty, to i kąpiel będzie.

- Ale coś mi się zdaje, że do grodu mu spieszo.

Podjechali na brzeg rzeki. Spojrzeli w lewo z nurtem. Tu woda płytka była. Ale imć Kalesanty pozwolił na tyle, co by twarze pomoczyli. Wkrótce bród przebyli i zaraz za rzeką Junosza pożegnał się z ojcem, gdyż oni jechali w lewo, a jemu droga w prawo przypadała. Nie mówili dużo do siebie, tylko Junosza konia luźnego ze sobą zabrał. Teraz pędził w kierunku osady. Reszta ludzi ruszyła w lewo traktem za rzeką będącym. Junosza gnał do dziewczyny. Tak bardzo tęsknił do niej. Wjechał w las będący przed osadą i wpadł w zasadzkę zastawioną przez Krzyżaków. Zapuscili się oni tu polując na zwierzynę, która tak naprawdę należała do króla polskiego. Gdy go pojмали myślał, że jest ich kilku, ale zaraz dowiedział się wszystkiego.

Przyprowadzili go przed obliczę Krzyżaka, który pod białym płaszczem zbroję miał na sobie, a obok niego siedziało kilku innych. Nad nimi rozłożony był namiot chroniący przed słońcem i ustawiony był na polanie.

- Złapaliśmy go panie, gdy w las się zapuszczał - powiedział jeden z tych, którzy go pojмали.

Junosza spojrział, a obok namiotu, zwierzyna ubita leżała. Kilka saren, a i dzików pokotem leżało.

- Kim jesteś? Związać go!

Spytał i rozkazał Krzyżak jednocześnie. Związali go nim zdążył odpowiedzieć. Teraz dopiero mając ręce związane - odrzekł.

- Do dziewczyny jadę.

- Szpiegujesz nas?

- Nie panie - odrzekł Junosza.

- Do dziewczyny jedziesz?

Powiedział i zaraz wybuchli śmiechem, bo nie spodziewali się takiej odpowiedzi.

- Do dziewczyny, a gdzie ona?

Krzyknął ten, który najbliżej niego siedział. Junosza zamilkł. Wiedział, że nie może Krzyżakom zdradzić, gdzie jest ona i osada, bojąc się i o nią i o osadę, by jej nie spalili.

- Kłamiesz - krzyknął Krzyżak. Po koniu widzę, że kłamiesz, boś kimś znaczniejszym. Chciałeś podpatrzeć nas, co by królowi waszemu donieść, że jego zwierzynę ubijamy. Teraz ją widzisz, ale sposobności, aby mu powiedzieć mieć już

nie będziesz. Pojedziesz z nami, a lochy nasze odwiedzisz, to może rozumniejszy będziesz.

Po chwili znów przywieźli na koniu, kilka sztuk zwierzyny ubitej.

- Oprawić to prędko, bo tylko mięso i skóry zabieramy. Resztę zakopać, co by śladu nie było - rzekł dowodzący Krzyżak.

Teraz Junosza zrozumiał, jaki błąd popełnił myśląc, że bezpiecznie dojedzie. Nie miał szczęścia i nie wiedział, że tu Krzyżacy polują. Po czasie, gdy już się uporali ze wszystkim, obóz zwinęli i ruszyli. Było ich dobrze ponad dwudziestu, a jego związanego za koniem prowadzili. Szedł na nogach i na razie sił mu starczało, tylko mocno miał ręce związane do powroza przy koniu i zaczęły mu drętwieć. Później i nogi boleć zaczęły. Przewrócił się raz, ale Krzyżak konia zatrzymywał natychmiast, aby mógł się podnieść. Tak było za każdym razem, co dziwiło Junoszę, bo przecież nasłuchiwał się o nich różności. Oba jego konie luźne szły, jeno siodła były z nich zdjęte. Swoje, dostrzegł u Krzyżaka, którzy zaraz mu je zabrali, a przywłaszczył sobie je jeden, ten, który dowodził nimi. Siodło było piękne z najprawdziwszej skóry, bogato wyprawione, prezent od ojca na urodziny Junoszy. Bez trudu poznał swoje siodło pod Krzyżakiem. Szedł tak do końca dnia, a gdy zmrok zapadł ujrzał zamek przed sobą. Za chwilę ciężka krata opadła, gdy ostatni z nich bramę minął. Weszli po schodach drewnianych do ciemnego pomieszczenia. Jeden go popychał przed sobą. Potężne drzwi zamknęły się za Junoszą. Dopiero, gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegł innych ludzi, którzy siedzieli, bądź leżeli pod ścianą.

-Kim jesteś?

Usłyszał głos koło siebie.

- Na imię mam Junosza - odpowiedział. A wy, kim jesteście?

- Jesteśmy chłopami. Siedzimy tutaj, bo jak mówią, nie chcemy pracować. A my pracujemy ponad siły i tak z tej pracy niewiele mając.

- A co to za zamek? Ciemno było, most jenom widział i kratę potężną za bramą.

- To siedziba Krzyżaków, braćmi zakonnymi się nazywają, bo klasztor tu jest.

Nazywa się Chrobeż.

Usiadł Junosza, bo nogi bolały go niezmiernie i zasnął ze zmęczenia. Ranek wstał i słońko przebiło się przez kraty. Junosza wstał i chciał podejść do okna kratą okutego, ale jeden go zatrzymał.

- Nie podchodź do okna, bo to jest śmiercią karane. A i na nas ściągniesz nieszczęście. Z nimi trzeba uważać. Za byle, co, śmiercią każą. Lepiej żebyś wiedział. Usiadł, zamyślił się i z tej zadumy wyrwał go szcęk otwieranych drzwi.

-Na górę!

Powiedział ten, który drzwi otworzył. Wskazał na Junoszę. Chłopak wstał i podszedł. Wprowadził go Krzyżak do izby, gdzie siedziało trzech starszych za ogromnym stołem.

- Skłoń się!

Warknął zakonnik i ręką uderzył w głowę Junoszę. Chłopak skłonił się i czekał.

- Dowiedziałem się od swoich, co byś ty po lasach naszych jeździł i za naszymi plecami zwierzynę ubijał. Konia, choć luźnego, aleś pod siodłem prowadził, zapewne by, gdy już coś zapolujesz na nim przewieść.

Junosza pomyślał. Lasy nie ich, sami kradną i niszczą wszystko, a jemu zarzucają tę

podłość. Ale pokornie odrzekł.

- Panie Najjaśniejszy, jechałem do dziewczyny, którą poznałem. Pilno mi do niej, bo obietnicę jej dałem, że po nią przyjadę.

- Obietnica to dobra rzecz, ale ty już jej nie dopełnisz. Chyba, że powiesz prawdę, kim jesteś i po coś w lesie przebywał.

Junosza wiedział jedno, iż nie może przyznać się, że jest synem imć pana Kalesantego. Na pewno wiedzą, że ojciec w kilku miejscach ich pobił. Po chwili powiedział.

- Z Krakowa jadę do dziewczyny panie. Mieszkam w grodzie, Kacprem mnie zwa. W grodzie przy koniach pracuję, tedy pozwolili mi dwa wziąć, a jeszcze siodła piękne dali, co by się panna nie rozmyśliła. Tak śmiali się zrazu ze mnie. Proszę cię panie, pozwól mi jechać. Nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

Młody był i Krzyżaków nie znał na tyle jeszcze, by wiedzieć, że takie mowy ich nie wzruszają.

- Chętnie bym cię puścili - odrzekł stary, ale musimy sprawdzić i przekonać się, czy prawdę mówisz. Tymczasem, będziesz u nas za kratami przebywał. Jeno do okna nie podchodź, jeśli żyć chcesz.

Sprowadzili Junoszę i znalazł się z kratą. Smutno mu było, bo wiedział już teraz, że nie prędko Milkę obaczy. Przed wieczorem podano miskę marnej zupy, której nawet nie jadł i gdy ją odstawił, tamci żarłocznie ją schwycili i więcej się rozlało niż zjedli. A nieco później znów go na górę zaprowadzili.

- Z Krakowa jesteś, powiadasz? Odezwał się stary.

- Chcesz żyć?

- Tak panie. Odparł chłopak.

- Tedy prawdę powiedz, a jeśli ją wyznasz i przystaniesz na nasze warunki, przeżyjesz?

- Prawdę powiedziałem panie i spełnię wszystko, co każecie.

Skłamał Junosza. Chciał żyć i chwycił się wszystkiego, co dawało nadzieję na przetrwanie.

- Jeśli uznamy, że jesteś względem nas uczciwy, przeżyjesz. Wyślemy cię do Krakowa, oczywiście nie samego i będziesz pilnie baczył i przekazywał nam przez tego, z kim pojedziesz, to, co nas interesuje. Ale to może być tylko wtedy, gdy już uznamy, żeś dla nas uczciwy.

Chłopak nic nie powiedział. Spuścił głowę.

- Teraz do celi pójdziesz, a nadśłuchuj uważnie, co inni mówią. Co dzień nam będziesz o tym donosił.

Chcieli Junoszę wybadać i dlatego przed wieczorem wrzucili do izby jeszcze jednego. Junosza siedział pod ścianą, a na wprost niego tamten usiadł.

- Złapali mnie, gdy drzewo brałem. Co mi mogą zrobić za to?

Junosza poczuł, że to zmowa i to jest ich człowiek. Co prawda wyglądał obskurnie, ale mową się zdradził. Junosza od dziecka słyszał mowę chłopów polskich, choćby u ojca w grodzie. To nie była ta mowa, ale słuchał jej w napięciu. Ale tamten nic nie mówił więcej, więc Junosza zagadnął go.

- Za samo drzewo baty może dostaniesz, gdyż to ludzie rozumni i tylko za śmierć, śmiercią każą.

Chwilę siedział milcząc, a tamten znów zaczął. -Wiesz boję się.

- Nie masz się, co bać.

Teraz zobaczył Junosza, że tamten się trzęsie. -Udaje -pomyślał.

- Powiem tobie, bo ciebie wcześniej puszcza. Jakbyś wyszedł, to idź do trzeciej chaty, co przy drodze stoi. Będzie tam stary z brodą. Powiesz mu, żeś mnie tu widział i powiesz, aby dobrze schowali.

- A co? - Spytał Junosza.

- Oni będą wiedzieli. Cicho ktoś idzie.

Po chwili drewniane potężne drzwi otwały się i tego, który mówił zabrali na górę.

Jakiś czas minął, gdy znów znalazł się w celi. A później przybył Krzyżak po Junoszę.

Stary siedział sam, a obok niego stało dwóch zbrojnych z mieczami u pasa.

- Powiedz dowiedziałeś się czegoś, mówił ktoś coś na zakon.

- Tak panie. Ten ostatni, który do celi przybył.

- A cóż o nas mówił? Stary zniżył celowo głos.

Junosza wszystko opowiedział. Teraz już wiedział, że to była próba. Podstawili mu tamtego, chcąc go sprawdzić.

- Dobrze się spisałeś, nie lituj się nikogo, a my ci głowę darujemy, a jeszcze wynagrodzimy, gdy na to zasłużysz.

Po dwóch dniach znów wzięli go do starego. Ale nim wszedł sam już został na korytarzu, do którego zimne powietrze gdzieś nachodziło, bo ziąb czuć było.

- Mury grube ma ten klasztor - pomyślał Junosza.

Dostrzegł w końcu korytarza okno niezakratowane. Na moment korciło go do ucieczki, ale prędko tę myśl odrzucił. Pomyślał, że pewnie za oknem pilnują. Może jest daszek za oknem i tam czekają na niego. Bardzo szybko zrezygnował z ucieczki.

I dobrze zrobił, gdyż był to kolejny sprawdzian. Krzyżacy, koniecznie chcieli mieć

kogoś, kto by mieszkał i pracował w Krakowie. Najlepiej blisko rycerzy, a takim

doskonałym człowiekiem był dla nich Junosza. Organizowali szpiegów, by mogli

wiedzieć możliwie najwięcej o tym, co w grodzie blisko króla się dzieje. Stary

myślał, że tym sposobem przeciągnie chłopaka na stronę zakonu. Myślał nawet, by

go w późniejszym czasie nagrodami zachęcać. Tak mu bardzo zależało, aby mieć

swego w Krakowie. Junosza stał cierpliwie i czekał, aż go zawołano. Wszedł do sali i

znów zobaczył trzech zakonników siedzących naprzeciw. Stary znów się odezwał.

- Do celi już nie pójdziesz. Sam widzisz, że z nami łatwo się porozumieć, jeno trzeba

chcieć. Nawet jak widzisz, taką samą mowę mamy i nią obaj mówimy. Dlatego bądź

uczciwy dla nas, a zyskasz wiele. Widać żeś w grodzie wychowany, bo różnisz się od

tych, na dole. Tedy jak powiedziałem do celi nie pójdziesz, jeno będziesz wolny od

tej chwili. Będziesz miał możliwość po zamku chodzić. Jeno nie chodź po nim za

bardzo, bo na to jeszcze czas przyjdzie.

Po chwili ten, który go przyprowadził szedł z Junoszą korytarzami i otworzył inną celę.

Była ona widna i bez krat. Pod ścianą łoże drewniane i na nim koc leżał. Pod drugą

stół z desek i krzyż, który stał na stole. Obok świeca w lichtarzu. Rozejrzał się, ale

tamtego już nie było. Myślał, że śni, ale to nie był sen. Myśli teraz szybko

przesuwały się w głowie.

- Nie, teraz nie mogę nic zrobić nieprzemyślanego.

Coś go korciło, aby oknem wyrzec, jednak prędko tę myśl porzucił.

- Muszę być bardzo ostrożny, mówił do siebie.

Usiadł na stołku obok stołu i sam nie wierzył w to, co się stało. Zaraz potem otrzymał jedzenie. Przyniósł je jeden z Krzyżaków, który był bez oręża. Postawił miskę na stole, a sam usiadł na łóżku.

- Zjedz - powiedział. Jedzenie, jako ludzie zakonni marne mamy, bo przysięgliśmy żyć w ubóstwie, aby grzechy odkupić. Ale trochę lepsze od tych, co nam się przeciwstawiają. Jak cię zwa? - Spytał.

- Kacper - ozwał się Junosza.

- A mnie Grotger ze chrztu, brat Grotger poprawił się, po czym wyszedł.

Junosza poczuł teraz głód. Chciwie chwycił miskę i szybko zjadł stawę. Nie było jej dużo, a przynajmniej nie śmierdziała, tak jak ta na dole. Kilka dni posiedział jeszcze w swej celi, od której nie oddalał się zbyt. Nudził się okropnie, bo mało, kiedy z nim rozmawiano. Jedynie brat Grodger go czasami odwiedzał. A któregoś dnia zabrał Junoszę do swej celi. Była ona taka sama jak jego, jeno okno było niżej i mur nie tak gruby.

- Siadaj.

Powiedział Grodger. Zaczęli rozmowę.

- Wiesz, tu w tej celi mam dobrze, z tego okna ładny widok się rozciąga i nie raz stoję przy nim i patrzę na las potężny i słucham ptaków. A i zwierzyna często z lasu wychodzi. Dziś rano jelenia widziałem, gdym po modlitwie wyglądał. Wejdz i zobacz.

Junosza wiedział, że to może być podstęp, ale wszedł na stołek, który Grotger mu postawił. Wiedział, że przy nim może wejść bez ryzyka. Uknuli to. Chcą zobaczyć zbóje czy mi do wolności nie za tęskno. Wszystko, co powiedział Grotger, to prawda. Las blisko, a za oknem daszek, po którym można zejść i znaleźć się za murami. Ale Junosza zszedł ze stołka i do Godgera - rzekł.

- Piękny widok masz z okna, może i ja kiedyś na taki zasłużę.

- Na pewno, jeśli będziesz szczerzy dla zakonu, to i zakon ci szczerością zapłaci. Za chwilę dragi zakonnik zastukał do drzwi i powiedział.

- Bracie Grodgerze, choć na chwilę, jesteś potrzebny. Grodger odwrócił się do Junoszy i rzekł.

- Poczekaj tu za mną, zaraz wrócę.

I wyszli. Junosza został sam. Aż korciło go, aby po stołku do okna wspiąć się i przez daszek na wolność. Ale zaraz zaniechał tego.

- Nie będę ryzykował. Przecież mają mnie do Krakowa wysłać, tam będę myślał, bo tam będę na pewno bezpieczniejszy.

Usiadł i cierpliwie czekał. Dość długo nie było brata zakonnego w celi, a gdy już się pojawił, uśmiechnął się chytrze i teraz Junosza zobaczył białe zęby Krzyżaka. Ta broda go postarzała, ale to młody człowiek jeszcze. Uśmiechnął się też do niego.

- Nie raz nie mogą się obyć beze mnie - odezwał się. Teraz czytanie modlitewnika, więc odprowadzę cię do twojej celi.

Wyszli, a za chwilę Junosza był u siebie. Grodger wyszedł, ale Junosza zauważył, że nie poszedł do siebie, tylko w dragą stronę. Miał modły odprawiać, miał modlitewnik czytać, a poszedł gdzieś długim korytarzem. Już chciał iść za nim, ale w chwilę potem zaniechał tego.

- Muszę wytrzymać. Wmawiał sobie.

- Muszę wytrzymać.

Na drągi dzień stanął przed starym z jego rozkazu. Stary - rzekł tymi słowy.

- Sprawdzaliśmy cię cały czas i teraz wiemy, że możemy ci ufać. Będiesz dla nas pracował to i swoją dziewczynę będziesz miał przy sobie. Tyś nie ślubował to i dziewczynę mieć możesz. Tylko pamiętaj musisz być wierny, bo inaczej ona i ty zginiecie. Jutro wyjedziesz do Krakowa z jednym z braci. On dowiezie cię i w Krakowie jakiś czas będzie. Powiesz swoim, że dziewczyna chora i jej nie przywozłeś. Jenóś się z nią obaczył. A później będziesz rozmawiał tylko z naszymi. Pracuj dalej przy koniach, a bacznie uszu nadstawiaj i przekazuj wszystko, co usłyszysz temu, który z tobą do Krakowa pojedzie.

- Dobrze panie.

Odezwał się Junosza, i wtedy usłyszał cichy szept za sobą. Odwrócił się i ujrzał Grodgera. Jeszcze tu mnie sprawdzali - pomyślał. Bo Grodger wypowiedział cicho imię, Kacper. Dobrze, że się odwrócił. Teraz stary kazał mu iść do celi i razem z Grodgerem poszli. Nazajutrz znów u starego siedział. Siedzieli sami już bez obstawy, ale ktoś z ukrycia musiał ich obserwować, bo Junosza czuł przenikliwy wzrok na sobie.

-Jutro jedziecie.

Usłyszał.

- Sprawuj się godnie, a zakon ci wynagrodzi.

Dużo rzeczy nie wiedział Junosza. Krzyżacy w każdym możliwym miejscu w Krakowie sprawdzali, czy chłopak mówi prawdę. Jeden z ich ludzi zameldował przez kuriera, że naprawdę chłopak przy koniach pracujący wyjechał i któryś dzień go nie ma. I tu mu szczęście dopisało. Krzyżacy uznali, bowiem że to on. Wtedy tak powiedziało mu się, że pracuje przy koniach, bo tak naprawdę to tylko na koniach się znał. Bo u ojca, w swej młodości często bywał przy nich. Myślał, że jak Krzyżacy go sprawdzą, nabiorą przekonania, że mówi prawdę. Dzień przeszedł, a i noc burzowa. Nastął świt i Grodger wyprowadził go na dziedziniec, gdzie stały dwa konie osiodłane, a po chwili przyszedł Krzyżak, którego nazywali brat Kefer. Był to Krzyżak, mający współpracować z Junoszą. Spojrzał na jego konia i odwróciwszy głowę - powiedział.

- Tam w grodzie, będziesz mówił do mnie Bolko. Zapamiętaj dobrze, tak ci radzę. Junoszy żadnej broni nie dali, jeno konia i zaraz brama została otwarta. Jechali w tę stronę, z której szedł na nogach za koniem, w kierunku zamku. Nawet się za nim nie obejrzał i najchętniej już teraz wymazałby go z pamięci, ale wiedział, że to niemożliwe. Ujechali kawał drogi, gdyż trakt do lasu się nie przybliżał i wtedy Junosza, dopiero tutaj, zobaczył ślady koni. Musieli stać tu, bo ślady były wokół i jak gdyby stąd ruszyli - myślał. Przyjrzał się nieznacznie śladom, tak by Krzyżak tego nie dostrzegł. Cztery konie - pomyślał. Teraz wiedział dokładnie. Jechali obok siebie po tracie szerokim. W nocy bardzo potężna burza była i lało mocno. Pewnie wszystkie ślady z drogi zmyło. A tu świt i ślady świeże. Chyba nie jesteśmy sami. Tych czterech jedzie przed nami i pilnują, co by tamtemu krzywda się nie stała. I tak było naprawdę, gdyż tych czterech patrzyło na nich teraz z lasu, w którym byli. Ukryci czekali na nich. Junosza z Keferem też w las wjechali. Krzyżak jechał

przodem i zdawał się ułatwiać zaatakowanie chłopakowi. Ale ten nie ryzykował, przeczuwając podstęp. I gdy już tamci uznali, że ataku nie będzie, a chłopak prawdziwie przeszedł na ich stronę wyjechali z zarośli za nimi. Junosza wzdrygnął się, a Kefar rzekł.

- Teraz wiem, że jesteś nasz. To tak jakbyś miał nowe życie. Nie bój się to nasi, osłaniali nas, co byśmy do lasu bezpiecznie dojechali, kłamał.

Później już razem bez przeszkód, dojechali do Krakowa.

- Będziemy się w tej gospodzie spotykali raz na tydzień, w niedzielę po mszy - rzekł Grodger, który też z nimi do Krakowa przybył. A o nich radzę ci zapomnij.

- Już zapomniałem.

- To wracaj do domu.

Grodger zsiadł ze swego konia i oddał go Junoszy.

- Musisz mieć dwa konie, to te ze stajni.

Chłopak ujął drugiego konia za uzdę i teraz już nie wiedział, co ma dalej robić. Myśli kłębiły się w jego głowie, a Grodger rzekł.

- Ruszaj, a tu, w niedzielę będę czekał na ciebie.

Junosza ruszył spod gospody, ale gdzie sam nie wiedział. A może mnie tamci pilnują i gdy coś zrobię nie tak, zabiją. Nie znał przecież Krakowa dobrze, ale znów przypadek mu pomógł. Zobaczył, że pięciu zbrojnych na koniach zmierza i podążył za nimi. Przemierzył kilka przecznic. Widział Junosza, że żaden z Krzyżaków za nim nie podążył. Tylko zbrojni zaczęli mu się przypatrywać.

- Co to za koń?

Spytali patrząc na luzaka.

- Ze stajni króla naszego - odpowiedział. Piękny, co?

- A ładny jucha, widać, że lubisz konie. Dokąd tu zmierzasz?

- Do stajni - odpowiedział Junosza.

I rzeczywiście, wjechali na podwórzec, gdzie po obu stronach stajnie były, a koni w nich moc stała. Junosza - rzekł.

- Chciałbym rozmawiać z rycerzem od króla. Pilne wieści mam. Nie żartujcie, tylko prowadźcie do zamku! - Krzyknął Junosza.

Spojrzeli po sobie.

- Chce rycerza, to go trzeba zaprowadzić.

Po chwili był już w izbie, gdzie stanął przed rycerzem. Pilnował on stajni i koni.

- Sam mogę być z tobą panie?

Ten, który go wprowadził wyszedł, a wartownik, gdy usłyszał wszystko od Junoszy, zdecydował.

- Jeden z moich przeprowadzi cię korytarzem do zamku. Idź z nim i nie pytaj. On zaprowadzi cię tam gdzie trzeba.

Po chwili przyszedł młody wiekiem rycerz i po rozmowie z tamtym, powiedział do Junoszy.

- Ruszamy, idź za mną.

Szli przed siebie, aż przedostali się do zamku. Poznał Junosza, że już jest w zamku króla, po bogato zdobionych korytarzach. Wkrótce weszli na dół w podziemia.

Doszedł do nich nieciekawym z wyglądu człowiek. Junosza wzdrygnął się. Nie miał oręza, a zobaczył, że tamten ma przy boku krótki sztylet.

- Gdzie idziemy? - Spytał.

Tamten nie odpowiedział. Weszli do izby, a po chwili przybył ktoś, kto nie był ubrany w rycerski strój, a zwykły, choć bogato zdobiony.

- Teraz możesz mówić wszystko.

Odezwał się ten, który Junoszę przyprowadził. Król się dowie, nie martw się. Junosza opowiedział.

- Wiesz, z kim rozmawiasz.

- Nie panie.

- To ci powiem. Jestem doradcą króla, a ty, kto, tak naprawdę?

- Jestem Junosza, ojciec mój zwie się Kalesanty. Jesteśmy z herbu Działosza.

- Toć oni nie dawno u króla byli. A ty gdzie byłeś?

- Byłem tu z nimi, jenom od nich odłączył, bo do swej białogłowy miałem jechać. I pojechałem, jeno mnie złapali.

- Resztę już wiem i powiem, że ci wierzę. Z tego wynika, że ludzi tu do nas przysłali, co by nas w grodzie podpatrywali i przekazywali wieści do zakonu. Musimy coś zaradzić. A na razie, aby oni się nie zorientowali będziesz mieszkał w grodzie, ale nie w zamku. Będziesz mieszkał tak jak im to powiedziałaś. Pójdiesz za jednym z naszych, on cię tam zaprowadzi. A później pomyślimy, co dalej robić, aby się o tych łotrach z krzyżami na plecach wszystkiego wywiedzieć.

Kazał Junoszy zaczekać, a po chwili wszedł człowiek ubrany po mieszczańsku i rzekł.

- Pójdiesz za mną i nigdzie się nie oglądaj. Będzie za nami szło dwóch ludzi, na wypadek, gdyby Krzyżacy czegoś się domyślili. Na nich nie zapatruj się zbytnio, ale wiedz, że to nasi ludzie.

Znów szli korytarzem początkowo oświetlonym, a później już całkowicie ciemnym.

Tak dotarli do wyjścia, które gdzieś w ogrodach za murami zamku się znajdowało.

Nie widział dokładnie wszystkiego, gdyż już ciemno było, ale dojrzał furtę w murze i wyszli nią poza ogrodzenie. Szedł teraz z tajemniczym człowiekiem nie oglądając się. Szedł, blisko, aby go nie zgubić. Dostrzegł kątem oka tych dwóch, którzy też szli za

nimi. Teraz dopiero obejrzał się, gdy usłyszał wyraźne ich kroki.. Ale za chwilę patrzył już na tego, który szedł przed nim. Szli jakiś czas, po czym ten pierwszy skręcił w przejście i poczekał. Junosza również skręcił i o mało nie wpadł na niego, gdyż tak ciemno i tu było. - Chodź za mną. Weszli schodami, a potem do izby, w której palił się kaganek i siedziała białogłowa.

- To on? - Spytała.

- Tak odpowiedział tamten, po czym wyszedł nic nie mówiąc. Kobieta spytała.

- Jak ci na imię?

- Dla Krzyżaków, Kacper, a dla naszych Junosza.

- Dobrze. Będziesz tu mieszkał i co rano szedł do koni na stajnie królewskie, a później doczekamy się swego z rozkazami, abyśmy wiedzieli, co czynić mamy. Jedzenie i picie na stole stoją. Ja będę w izbie obok, gdybyś czegoś potrzebował. Jak wieczery skosztujesz, to zgaś kaganek i śpij. Późno już, a rano, wiesz gdzie masz iść. Tedy odpoczywaj, bo przy koniach nie lekka praca.

- Wiem pani.



Odezwał się Junosza, gdy ona wychodziła. W głowie kłębiły mu się myśli. Ile wszystkiego przeszedł przez te kilka dni. Ważne, że na razie z życiem uszedłem - pomyślał i gdy już oczy zaczęły mu się zamykać, położył się i natychmiast zasnął. Obudził się, bo ktoś go poruszył za ramię. Otworzył oczy.

- Wstań powiedziała, czas na zamek.

Wyszła, a on wstał od razu, a mimo spania w nocy poczuł ogromne zmęczenie. Ale wiedział, że musi, bo mimo woli znalazł się w samym środku spraw bardzo ważnych dla siebie, ważnych dla króla i dla kraju również. Prędko ubrał się i wyszedł, a idąc jakiś czas doszedł do stajen, gdzie wczoraj był. Wszedł do nich i konie ujrzał. Stały piękne, rzędem. Królewskie konie. Uśmiechnął się do nich, tak lubił konie, ale w chwili po tym, już był koło niego ten sam człowiek, który go wczoraj wieczorem prowadził.

- Chodź za mną - powiedział.

Przeszli boksem do końca i weszli do drugiego.

- Tu będziesz niby pracował. Na resztę rozkazów od króla czekaj.

To powiedział i oddalił się. Po południu ten sam człowiek przyniósł rozkazy.

- Spotkasz się z tym Krzyżakiem w gospodzie. Powiesz, że dowiedziałeś się, że w niektórych grodach Krzyżackich król ma swoich ludzi. Wie dużo o ich planach, nawet bardzo dużo. A ty, postanowiłeś to przekazać. Powiesz im, że król Polski płaci im szczerze. Niech zajmą się szukaniem szpiegów u siebie, a my tymczasem obmyślimy plan. Jednego im damy, bo dla nas on już bezużyteczny. Jak im go damy, zaczną ci bardziej wierzyć. Tam gdzie ty byłeś jest brat Herbert, łotr nagłej śmierci. Sprzedałby brata swojego za złoto. Kiedyś ważne wieści nam przekazywał. Żądał jednak coraz to wyższych nagród, a coraz mniejszej wagi sprawy nam przekazywał. Trzeba już go się pozbyć. To będzie twoje pierwsze zadanie.

- Dobrze - rzekł Junosza. Rozstali się.

Gdy przyszła niedziela, a dzwony przestały bić, Junosza poszedł do gospody. Było pusto jeszcze, ale usiadł.

- Ciekawe, co będą dziś chcieli, abym się dla nich wywiedział. Niedługo gospoda zaroila się ludźmi, Tylko pewna część stołów była pusta.

- Ciekawe, dlaczego tam nikt nie siada - pomyślał.

Żyd uwijał się trunki przynosząc. Gwar powstawał coraz większy i wtedy Junosza zobaczył Krzyżaka, a i tego, który mu zadanie zlecił. Krzyżak stał jeszcze na schodach i rozglądał się wokoło, a potem przeszedł obok Junoszy i usiadł.

- Pilnują mnie - pomyślał Junosza. Dobrze będę pewniejszy.

Za chwilę Krzyżak podsunął się bliżej. Ubrany był tak, że nikomu nie przyszłoby do głowy, że to obcy. Siedział po prawej ręce Junoszy. Dłuższy czas nic nie mówił, a potem rzekł.

- Ludzi dużo o tej porze, jak nigdy. Wyjdź, a zobaczysz naszego. Będzie stał przed gospodą. Na jego szyi łańcuszek ze złotym krzyżem, zobaczysz. Idź za nim i o nic nie pytaj, on wie, kiedy i co tobie przekazać.

Junosza chwilę jeszcze posiedział, po czym wyszedł. W drodze do drzwi, gdy szedł przez salę - myślał. Ostrożni są więc i ja muszę być bardzo ostrożny. Gdy wyszedł, od razu dostrzegł człowieka, który stał w czarnym płaszczu. Miał on koszulę rozpiętą i widać było łańcuszek z krzyżykiem na szyi. Tamten znał go widać, bo skinął głową

na niego i ruszył. Junosza poszedł za nim. Dość długo tamten kluczył po grodzie i dopiero upewniwszy się, że nikt za nimi nie podążył wszedł do jednego z domów. Izba była ciemna, bo okno było przysłonięte.

- Tu porozmawiamy spokojnie - rzekł Krzyżak. Masz coś ważnego do przekazania.

- Myślę, że tak - odrzekł Junosza. Podśluchałem dwóch ludzi króla, którzy konie ze stajni z jego rozkazu brali. Gdzieś w drogę pojechali. Gdzie nie wiem, ale mówili o jakimś zakonniku, który im donosi. Herbertem go zwali. Podobno ważne wieści zakonu im przekazuje. Jest tu niedaleko w którymś grodzie zakonnym.

- Dobrze chłopcze się spisujesz, pamiętaj, że nagroda cię nie minie. Węsz dalej, a my chcemy wiedzieć, na kiedy król każe konie królewskie pod siodłami postawić na polowanie jadąc. Dokładnie, kiedy i w który dzień. Wiemy, że nie długo wrócą jego wysłannicy z Litwy, chcemy wiedzieć i coś o tym. Blisko zamku jesteś, więc może uda ci się coś wywiedzieć. Teraz już możesz iść i na mnie nie czekaj.

Junosza przyjrzał mu się dokładnie raz jeszcze. Mógł mieć nie więcej niż trzydzieści lat, jeno broda dodawała jemu powagi. Junosza wyszedł na zewnątrz i tą samą drogą nie spiesząc się poszedł do stajni. Przemierzył podwórzec i wszedł do boksu, gdzie stały konie, powierzone jego opiece. Sprawdzał, czy wszystkie w korytach mają. I zaraz przy nimby! ten, który mu zlecił zadanie, a którego widział w gospodzie.

Junosza przekazał mu wszystko to, co od niego Krzyżak zażądał.

- Dobrze - pomyślimy, co im za tydzień odpowiesz. Ale skąd oni wiedzą, że król polowanie szykuje? Myślałem, że o tym naprawdę wie tylko kilku ludzi, ci z osobistości, którzy są zaproszeni na nie. Trzeba z tym do króla, a i przekazać, że na razie wszystko idzie po naszej myśli

Wkrótce król go przyjął i ten przekazał królowi, co od Junoszy usłyszał. Król zadumał się.

- Co do rozmów z Księciem Litewskim, trzeba powiedzieć, że były to rozmowy finansów dotyczące. Małej pożyczki dla Litwy. A co do polowania? - No cóż, oni i to wiedzą.

- Może szykują się nastać na twe życie panie. Wszystko u nich możliwe. W Malborku Zygfryd siedzi, a on podstępny taki, że wszystkiego się można po nim spodziewać.

- Wszystko możliwe - odparł król. Podamy, zatem datę inną, a wyjedziemy o czasie, jakby zdanie zmieniawszy w ostatniej chwili.

- Dobrze mości królu, tak im przekazemy z pomocą chłopaka.

- Powiedz jeszcze chłopakowi, że na moje względy liczyć może, a jeśli dobrze mi się przysłuży, to i więcej otrzyma.

- Tak, najjaśniejszy panie - odparł tamten, po czym król Jagiełło odwrócił się i wyszedł.

A tamten zszedł na podwórzec i zajrzał do koni. Zobaczył Junoszę, który przy koniu karym stał i poił go wodą.

- Mam wieści dla ciebie, które im przekażesz. Może oni nie będą czekać teraz do niedzieli i ciebie wcześniej poszukają. Tedy już teraz ci powiem. I powtórzył to, co z Jagiełłą uzgodnił.

- Będiesz pamiętał?

- Będę. Odparł Junosza.

- To powodzenia.

Powiedział i wyszedł. Junosza też zbierał się do wyjścia, jako że konie w żłobach miały i stały wyczyszczone i spokojne. Wszedł po chwili na podwórzec, który przemierzył i poszedł wzdłuż muru zamkowego. Szedł powoli spokojnie rozglądając się wokoło i dotarł do domu, tego, w którym teraz mieszkał. Wszedł do izby i zaraz widział, że ktoś pokój uprzątał. Zaraz też weszła kobieta. Przyniosła strawę i napitek. Nic nie mówiąc wyszła. Junosza zjadł, położył się na łożu i myślał o wszystkim. Jeszcze kilkanaście dni temu nie przyszło by mu do głowy, że będzie tak blisko spraw króla.

- Może trzeba było by dać znać ojcu, ale jak?

Sen był szybszy. Oczy zamknęły mu się i po chwili zasnął. Zaraz po jego zaśnięciu weszła kobieta, przykryła Junoszę, zabrała naczynia i wyszła. A on obudził się dopiero w głębokiej nocy.

- Ktoś mnie przykrył?

Pomyślał. Było ciemno dookoła, a on poczuł suchość w ustach. Napił się, lecz do rana już nie spał. Myśli i zdarzenia wbrew jego woli powracały. Nie wiedział jeszcze, że tak jak tamten przewidział, Krzyżacy odszukają go wcześniej, bo już za dwa dni. Gdy szedł od strony zamku do domu, dojrzał tego z łańcuchem i krzyżykiem. Poszedł za nim. Kluczyli po grodzie jakiś czas, po czym wszedł za tamtym do gospody. Junosza usiadł na uboczu, a tamten koło niego. Dłuższą chwilę nie rozmawiali ze sobą, a potem Krzyżak odezwał się.

- Masz coś dla mnie?

- Mam - odparł Junosza. Ale mieliśmy w niedzielę rozmawiać.

- Chcieliśmy wcześniej wiedzieć, o ile to możliwe, a sam widzisz, że możliwe to jest. Junosza opowiada wszystko, a Krzyżak uśmiechnął się i rzekł.

- Zadowolony jest z ciebie ojciec zakonu, postępuj tak dalej, a uznanie w jego oczach wiele znaczy, sam się przekonasz.

Rozstali się, zaraz pośpiesznie. Później jeszcze wiele razy Junosza przekazywał wieści, które król przygotowywał. I tak przeszło lato. Tymczasem imć pan Kalesanty, chodził częściej zamyślony. Martwił się o syna. Pierwsze dni nie, ale później złe przecucia nachodziły.

- Coś musiało się stać?

Mówił. Wstrzymywał się z wysłaniem ludzi, bo początkowo myślał, że chłopak w osadzie ostał namawiając tak długo dziewczynę, by z nim pojechała na ziemię wołyńską. Myślał, że może ona nie jest jego pewna i jest z nią tak długo, by ją przekonać? Ale teraz to już za długo. Wezwał tedy Zembrzuskiego i rzekł.

- Martwię się o Junoszę, za długo go nie ma.

- A i ja, mości dobrodzieju - odrzekł Zembrzuski. Co radzisz?

- Nie ma, co dłużej czekać, pojedę. Wezmę kilku ludzi i ruszę.

- Jesteś mi tu potrzebny, ale wysłać możesz kogoś.

- Nie mają nic do roboty teraz, więc niech wezmą wszystko, co im potrzeba i w drogę. Tylko dopilnuj.

Zembrzuski wyszedł. Szedł i myślał, kogo by wysłać i zaraz na myśl przyszli mu Maćków z Miłosza Wiedział, że na nich może polegać. Tedy poszedł do nich, a znalazłszy ich - rzekł.

- Imć Kalesanty martwi się o Junoszę. Pojedziecie i sprawdźcie, co się stało, że on

nie wraca.

- W osadzie pewnie siedzi - zaśmiał się Miłosza. Ja bym tak mojej nie opuścił.

- Pewnie chciałbyś i ją w drogę wziąć?

- Nie śmiałem prosić, mości komendancie.

- Tedy weź ją sobie, skoro tak ładnie gadać umiesz, a pilnuj jej.

- A pewnie panie, jak swej głowy - rzekł Miłosza. Zembrzuski dodał.

- Tedy weź ją, tylko wykonajcie zadanie i wywieźcie się wszystkiego, co byście na próżno nie jechali. Weźcie na drogę to, co wam potrzebne i ruszajcie.

A oni nawet dnia jutrzejszego, nawet świtu nie czekali. Wyruszyli natychmiast, gdy do drogi byli gotowi. Bardzo cieszyła się z tego Dobrawa, że nie musi się rozstawać z Miłosza, a i lubiła przebywać w towarzystwie Maćkowego. Ten potężny rycerz, bezlitosny w walce, silny niesamowicie, dla niej był bardzo delikatny. Gdy z nią rozmawiał, nie raz dziwiła się, skąd u niego ta dwoistość natury. Jadąc, wjechali na trakt biegnący w kierunku osady i niedługo w znane sobie lasy wjechali. Znali tu wszystkie drogi biegnące, ale mimo to jechali w milczeniu, nad słuchując. Drzewa w lasach przyschnięte były, gdyż lato było bardzo gorące. Od miesiąca deszcz nie padał, a żar lał się z nieba codziennie i nawet piasek na trakcie był bardzo suchy i usypywał się pod kopytami koni. Ale one wypoczęte bez trudu pokonywały drogę. W drodze minęli kupców, których już z daleka zobaczyli zachowując ostrożność i wyjechali dopiero z zarośli w lesie będących, gdy już dokładnie zobaczyli wozy z towarami. Gdy wyjechali z zarośli kupcy utracili pewność siebie widząc trójkę uzbrojonych rycerzy. Maćków zobaczył ten strach w ich oczach, i szybko ich uspokoił.

- Swoimi rycerzami jesteście, dokąd zdążacie?

- Tu gród niedaleko panie - ozwał się jeden.

- A jest i my z niego jedziemy - rzekł Maćków.

- A daleko to?

- Gdy konie popędzicie przed nocą dojedziecie.

- Tedy ruszamy. Kamień spadł mi z serca, że to swoich spotkamy.

Po chwili, oni na gród, a Dobrawa, Maćków i Miłosza znów w kierunku osady, gdzie myśleli, że spotkają Junoszę. Niedługo jechali, bo żar lał się z nieba, więc w cieniu postanowili przeczekać ten skwar. Później jechali do wieczora.

- Dawnośmy nie spali pod gołym niebem, teraz pojedę sprawdzić teren, a wy nocleg szykujcie - rzekł Maćków.

- Tudobre miejsce. Odezwał się Miłosza.

- No to szykujcie, powiedział i odjechał. Przemierzył kawał drogi, wrócił z drugiej strony i niczego nie dostrzegłszy, zbliżył się do nich. Miłosza i Dobrawa stali w objęciach nie przypuszczając, że Maćków to widzi. A widział w poświacie księżyca. Lecz oni byli tak sobą zajęci, że nie usłyszeli, gdy się do nich zbliżał. Dobrawa pierwsza dostrzegła go.

- Dobrze, że nie widzi moich rumieńców.

Pomyślała, gdy zobaczyła, że Maćków zsiadał z konia. A on rzekł cicho.

- Tu możemy spać spokojnie.

Zaciemniło się bardziej, a oni leżeli w milczeniu. Tylko wiara w spotkanie Miłoszy, Dobrawy i Maćkowego z Junoszą w grodzie dziewczyny, czyniła ich spokojnymi, ale wiedzieli, że i tak noc będzie bezsenna. Długo w noc nie spali, dopiero nad ranem

Miłosza otworzył oczy, gdy słońce było wysoko na niebie. Maćków jeszcze spał, a dziewczyny nie było. Skoczył Miłosza i usłyszał śmiech jej.

- Spicie jak dzieci. Powiedziała.

- Siedzę tu i pilnuję was, co by się wam nic złego nie stało.

- Wczoraj my baczyliśmy, a ty spałaś.

Roześmiał się Miłosza. Kiedy i Maćków wstał, ruszyli w dalszą drogę. Nie mieli ochoty nawet, aby się pożywić, tak im było pilno Junoszę zobaczyć i wieści o nim Kalesantemu przywieść. Jechali ostrożnie, bo już słuchy takie dochodziły, że Krzyżacy coraz otwarciej wyruszali i coraz częściej napadali, grabiąc. Nagle zobaczyli przed sobą konia, który pał się na polanie. Teraz dopiero łeb podniósł i jakby przypatrywał się nadjeżdżającym. Stał pod siodłem, tylko jeźdźca na nim nie było. Naraz zawrócił z polany i wolnym krokiem przeszedł w trucht i zaczął się oddalać od polany, tak jakby chciał, aby oni za nim podążyli.

- Ciekawe. Odezwał się Maćków.

- Ruszymy za nim? -Tak.

Rzekł Miłosza

A gdy zobaczyli, że koń stanął i łeb odwrócił i czynił tak, jakby ich zachęcał, aby w to miejsce dojechali. Pośpieszyli i zobaczyli, że koń nad kimś stoi i trąca go pyskiem. Zsiedli z koni swych i podeszli. Ujrzeli chłopaka. Niedaleko niego leżał łuk. Żył jeszcze, choć w barku tkwiła strzała.

- Krwi dużo z niego uszło. Rzekł Miłosza.

- Co tu się stało? Chłopak wyszeptał.

- Krzyżacy mnie napadli. Jechali drogą, gdy mnie zobaczyli. Jeden z nich strzałę wypuścił, gdy już konia miałem zawrócić. Nie gonili mnie, ale nie mogłem się długo utrzymać w siodle i spadłem.

- Konia masz bardzo mądrego.

Powiedziała Dobrawa, ale już dostrzegła, że on jej nie słucha. Zobaczyła, że nie oddycha. To koniec - pomyślała. Łzy napłynęły jej do oczu, bo chłopak młody dobrze zbudowany, włosy blond rozrzucone na ramiona, tylko ta plama krwi koło niego i ta ziemia nią nasiąknięta wskazywały, że leżał tu długo nim życie z niego uszło.

- A więc Krzyżacy - powiedział Maćków. Aż tu się zapuszczają. Musimy uważać i bacznie śledzić w drodze. Chłopak pewnie był z tej osady, która jest niedaleko.

Włożymy go na konia i pojedziemy ku nim, niech go swoi pogrzebią.

I tak jak powiedział, przewiesili go przez konia i ruszyli.

Niezadługo osada im się ukazała. Było widać, że jest biedna po chatach, które tu stały. Zobaczyli dzieci bawiące się, które na ich widok umykały w popłochu. A ku nim wyszedł człowiek sędziwy. Ubrany był w długą zgrzebną koszulę i także spodnie. Szedł bosy. Przywitał się ukłonem i widząc leżącego na koniu spytał.

- Kłopoty macie? -Nie.

Odezwał się Maćków.

- Znaleźliśmy w lesie tego chłopaka i do was go wieziemy, boć to wasz pewnie.

Starzec zbliżył się i spojrział znów na chłopaka.

- Nie od nas on panie, nie od nas.

- A był tu blisko w lesie. Odezwał się Miłosza.

- Nie wiem panie, skąd on w lesie blisko nas się znalazł, ale swojego bym poznał. -

Co my z nim zrobimy?

Jakby do siebie powiedział Miłosza. Stary to słysząc odpowiedział.

- Nie nasz on panie, ale nasz Lach, więc zostawcie go u nas, a my pogrzebiemy go jak swojego.

- Dobrze - rzekł Maćków, weźcie go z koniem, a my w drogę, bo nam pilno. I zawrócili, a głos starca usłyszeli jeszcze.

- A i wy uważajcie, młodzi jesteście, aby życia przed wami było jak najwięcej. Maćków podniósł rękę do góry, pozdrowił w ten sposób starca i po chwili znów w las pognali. Teraz jechali jeszcze ostrożniej, bo przekonali się, że Krzyżacy strzelali z ukrycia nawet do ludzi niestwarzających dla nich jakiegokolwiek zagrożenia. W jakiś czas wyjechali z lasu, ale dalej jechali obok niego, gdyż tak droga prowadziła. Przed nimi w polach, pały się sarny. Podnosiły głowy i strzygąc uszami nadśluchiwały.

- Pod wiatr jesteśmy - rzekła Dobrawa. Tedy z bliska może je zobaczymy.

Podjeżdżali coraz bliżej, a sarny stały jak urzeczone.

- Piękne są - rzekła Dobrawa do Miłoszy.

- Chcesz to ci jedną ustrzelę, zaśmiał się chłopak. Ale ona odpowiedziała.

- Nie chcę, niech sobie żyją, niech chodzą po lasach i młode wychowują, aby nie wyginęły.

- Nie wyginą, bo w tych lasach jest ich wiele, a my tylko jedno gniazdo spotkaliśmy, jedną rodzinę. Widzisz, o tam stoi jeleń.

Stał oddalony od saren w kępie drzew, jakby tu cień odnalazł i rozglądał się łeb przekręcając. Porykiwał jeno. Dopiero teraz one usłyszały, bo wyczuły konie, ruszyły w jego kierunku i gnały przez pola do lasu po przeciwnej stronie. Dobrawa patrzyła za nimi, aż w las wpadły, po czym powiedziała do Miłoszy.

- Też mają szczęście, że na nas trafiły, a nie na Krzyżaków.

- Tak, nie raz życie też od szczęścia zależy, po prostu - rzekł Miłosza. Teraz odezwał się Maćków.

- Słońce wysoko, tedy w las wjedziemy i skwar przeczekamy.

Zjechali z drogi. Zsiedli z koni i za chwilę Dobrawa już strawę szykowała, gdyż byli głodni. Jedli w milczeniu, a uszom ich dobiegł odgłos pary koni galopującej.

Maćków wstał, ręką dał znak, by zostali na miejscu i ruszył przed siebie na skraj lasu.

Siedział na koniu i przyglądał się, by wreszcie zobaczyć powóz jadący w ich kierunku. Dwóch jeźdźców zawróciło i jechało na przędzie. Maćków - pomyślał.

Nie ma, co się ujawniać, chyba żeby to nasi byli. I wkrótce już wiedział, że to nie Polacy, gdy ujrzał chorągiew. A ci jechali w płaszczach nie raz przez niego widzianych.

Teraz dopiero to wyraźnie widział. Miecz mocniej ścisnął i natychmiast postanowił. Wróć do swoich i w las się głębiej skryć trzeba, by nas nie dostrzegli. W chwilę po tym, był już przy Dobrawie i Miłoszy.

- Krzyżacy jadą - powiedział. Konie w las głęboko poprowadzimy.

Ruszyli natychmiast, tylko Maćków stał jeszcze jakiś czas i nadśluchiwał. Później i on ruszył za nimi. Długo lasem jechali i w końcu ujrzeli, że z gęstwiny las rzadszy się zrobił, po czym znów wyjechali na drogę szeroką. Zaraz też zobaczyli ślady kół od karety i ślady kopyt końskich. Miłosze zdziwiło to, że powóz zostawiał tak głębokie ślady na drodze.

- Muszą wieść coś ciężkiego w powozie, bo widzę, że sześć koni go ciągnie - rzekł

do Maćkowego.

- Może oręż przewożą, a może złoto? - Rzekła Dobrawa.

- Może, może, ale my ruszajmy przed siebie, bo drogę mamy już niedaleką - rzekł Maćków.

Odwrócił się i ujrzał przed sobą Krzyżaka zdziwionego ich widokiem i zdejmującego kuszę z pleców. Dobrawa łuk podniosła, a Krzyżak nadal po kuszę sięgał.

Gdy miał ją w ręku, Dobrawa wypuściła strzałę. Krzyżak zajęczał, a koń przestraszony ruszył w drogę, gdzie przejechała karetą.

-Prędko w las!

Rozkazał Maćków.

- Nie wiem jak daleko oni są?

- Ja musiałam strzelić.

- Wiem.

Przerwał jej. I po chwili lasem jechali, oddalając się od karety. Jechali do wieczora nie zostawiając swych śladów na drodze. Gdy się już ściemniło, na nocleg stanęli.

Maćków wiedział, że znów oddalili się od celu swej podróży, ale ciekawiła go ta karetą.

- Spijcie, a ja popilnuję - rzekł.

Obawiał się czy Krzyżacy, gdy zobaczyli swego na koniu ze strzałą w sobie nie ruszyli za nimi. Mogło ich dwóch lub trzech zawrócić. Ale prędko tę myśl odrzucił, bo skoro wieźli coś wartościowego w karecie, to nie pozbywaliby się jej ochrony, wysyłając rycerzy w las. Rację miał, bo noc minęła spokojnie.

- Dzisiaj już do osady powinniśmy dojechać.

Powiedział do dziewczyny, która zaraz po nim przygotowania do drogi zaczęła.

- Chciałabym już tam, ciekawam, co z Junoszą? Pewnie znajdziemy go w objęciach Miłki.

Zaśmiała się, a Miłosza za szyję ją schwycił i rzekł.

- Chyba takich jak ty teraz.

- Nie żartujcie sobie, zganił ich Maćków. Trzeba w pierwszej rozejrzeć się, czy jesteśmy bezpiecznymi.

Spojrzał na konie, a te spokojnie stały. Uspokoił się nieco, ale po chwili usłyszał trzask łamanej gałęzi. Nie zareagował, tylko spojrzał na Miłosze, a ten leniwie ruszył w kierunku koni. Celowo nie brał łuku ze sobą, aby jeśli ktoś ich śledził był w przekonaniu, że oni nic nie wiedzą. Minął konie, wszedł w zarośla i dopiero teraz ruszył szybko. Szedł bardzo cicho i po chwili ujrzał przed sobą kogoś, kto leży na piersiach i zza krzaków przypatruje się Maćkowemu i Dobrawie. Teraz i on ich zobaczył. Siedzieli jakby nic się nie stało. Rozmawiali ze sobą. Miłosza podszedł tak, blisko, że ten, który ich podglądał był w jego zasięgu, więc zwałił się na niego za ręce trzymając. Zaczęli się szamotać i wtedy Maćków ruszył, a i Dobrawa w chwilę po tym. Miłosza odwrócił przeciwnika. Zobaczył młodą dziewczynę, strasznie zléknioną Puścił ją i spytał.

- Co tu robisz i dlaczego nas podglądasz?

Nic nie odpowiedziała, tylko dziwnym wzrokiem na niego patrzyła. Po chwili Maćków i Dobrawa byli już przy nich. Wtedy dziewczyna zobaczyła Dobrawę. Uśmiechnęła się do niej i odwaga do niej powróciła.

- Dlaczego nas podglądałaś? Spytała Dobrawa.

- Ciekawa byłam, kto obozuje w lasach należących do ojca mego. Jestem Klawa, tak mi dano na imię.

- A ja Dobrawa, a ten oto, który cię pojmał, to mój miły. Miłosza się zwie. A to Maćków.

Wskazała na osiłka.

- Miło mi, choć przykro, że w takich okolicznościach przyszło mi was poznać.

Zapraszam was na gród mego ojca, to nie daleko.

Dobrawa spojrzała na Maćkowego, ale ten odpowiedział.

- Za zaproszenie dziękujemy, może innym razem, gdy czas pozwoli. Lecz teraz nie, bo zadanie do wykonania pilne nas goni. Jedź do swoich, a na drugi raz chodź tak po lesie, by gałęzie ci pod nogami nie trzaskały.

Klawa roześmiała się i rzekła.

- Dobre rady do serca przyjmuję, twoje też.

I gdy już nie stali na ziemi, a w siodłach siedzieli, pomachała im ręką na pożegnanie.

- A zajedźcie do mnie w drodze powrotnej, gród za tym lasem. Wskazała ręką.

- Miło mi będzie was zobaczyć.

Dobiegło do nich, gdy z lasu na drogę wyjeżdżali. Przecięli drogę bez przeszkód jeszcze pilnie bacząc wokoło. Gdy słońce schyliło się ku zachodowi dostrzegli w dali osadę.

- To ta, ta na pewno, a za nią rzeka. Gdy spotkamy Junoszę pojedziemy koniecznie nad rzekę - rzekł Miłosza.

Prawda? - Spytała Dobrawa.

- Prawda - odrzekł Maćków. I mnie tęskno do wody.

W jakiś czas dotarli do osady. Nikt im na przeciw nie wyszedł, tylko widzieli, że jakoweś oczy ich śledzą z nad bramy. Maćków odezwał się.

- Z pokojem jedziemy i rozmawiać chcemy. Brama rozwarła się i wyszedł przed nią drab potężny. Z czym? Spytał.

- Przyjechaliśmy po naszego, Junosza go zwa i po waszą Milkę. Chętnie ich zobaczymy.

- Nikt do nas nie przyjechał, a miał przyjechać jeden. Córce obiecał i słowa nie dotrzymał. W głowie jeno jej poprzesztawiał. Chodzi ona teraz, a płacze. Gdy tak dalej będzie zmysły całkowicie postrada.

- A czy możemy z nią mówić? Spytała Dobrawa.

- A jest tam poza grodem - tam.

Pokazał ręką. Widać było z oddali, że ktoś nad ziemią pochylony jest.

- Podjedziemy do niej. Powiedział Maćków i spytał.

- Dlaczego tak jak dawniej nie przywitał nas starzec.

- A on, pomarł panie, gdy ujrzał, że jej coś z głową się porobiło. On był jej dziadkiem i bardzo ją miłował.

- Pojedziemy do niej - rzekł Maćków.

Gdy dziewczyna ich zobaczyła, biegła w ich kierunku ręce przed siebie z kwiatami wyciągając. Pewnie myślała, że to Junosza. Lecz, gdy już blisko była i zobaczyła, że nie ma go wśród jadących i natychmiast odwróciła się i zaczęła uciekać. -Zatrzymaj się!



Krzyknęła Dobrawa, ale dziewczyna nic, tylko biegła do rzeki. Maćków i Miłosza jechali wolno i tylko Dobrawa popędziła konia i zajęchała drogę dziewczynie.

- Martwimy się tak jak i ty o Junoszę.

Słyszac to dziewczyna uklękła, a Dobrawa zeskoczyła z konia i uklękła przy niej.

- Zdradził mnie, a miał wrócić.

- Nie zdradził. Gdy z Krakowa jechaliśmy odłączył się od nas i do ciebie pojechał.

Teraz już wiemy, że do ciebie i osady nie dotarł. Coś musiało się stać w drodze.

Dziewczyna w momencie stała się inna.

- Pojadę z wami go szukać. Pojadę z wami.

Dobrawa wzięła ją na konia i ruszyła w kierunku osady. Tu posilili się i pożegnawszy osadników wyjechali na drogę. Na karym koniu Miłka z nimi jechała. Zdawało się, że ze smutkiem patrzy, ale i z nadzieją na spotkanie z Junoszą. Wszyscy wiedzieli już teraz, że stało się coś złego w borze, gdzie Junosza od nich odjechał. Postanowili, że będą jechali dotąd, aż znajdą miejsce, gdzie się rozstawali z nim. Tym samym brodem rzekę minęli, ale już teraz nie zatrzymywali się nad nią, tak pilno im było do drogi.

Wierzyli, że Junosza jeszcze żywy, ale co go mogło zatrzymać w drodze. Słońce chyliło się ku zachodowi, a oni w las wjeżdżali na ten trakt do Krakowa biegnący.

Nie daleko nim ujechali, gdy ujrzeli starca idącego wolno traktem. Na głowie miał

kaptur, w ręku kij sękaty, a na drugim ramieniu węzełek wisiał, pewnie ze skromnym jadłem. Pozdrowili go a i on ich również. Dobrawa spytała.

- Skąd dziadku idziesz?

- Idę z Krakowa, a zmierzam do świątyni, która jest daleko. Pieszko idę jak widzicie.

To pokuta moja.

Odezwał się starzec.

- A wy, dokąd?

- My szukamy swego przyjaciela, odłączył od nas i miał do tej panny jechać i jakoś do jej grodu nie dojechał.

- Może coś dziadku widziałeś? Może coś w Krakowie?

- Chętnie bym wam pomógł mili moi, ale ja prawie wcale nie widzę, jeno mgłę taką mam przed oczyma. Ale jeżeli będziecie wytrwali, to na pewno go znajdziecie. A i wiarę trzeba mieć, bo wytrwałość i wiara, czynić mogą cuda. Ja wam to stary mówię, a przeżyłem nie mało.

Pokłonili się starcowi i ruszyli dalej. Jechali wolno, dlatego też tętent konia usłyszeli wkrótce. Miłosza wskoczył na drzewo, którego gałąź znajdowała się nad drogą.

Usadowił się w gęstwinie liści i czekał. A Maćków i dziewczyna zjechali w zarośla.

Schowali się w nich i konie również. Oręż dobyli. Maćków miecz, a Dobrawa nieodłączny łuk, z którym w drodze się nie rozstawiała.

W chwilę potem zobaczyli Krzyżaka, który tego galopował.

- Spieszno mu, ale ja go i tak zatrzymam - pomyślał Miłosza. Może coś wie, może ważne wieści do zakonu wiezie.

I gdy Krzyżak już był pod nim skoczył na niego. Obaj z konia spadli, lecz Krzyżak znalazł się w lepszej sytuacji. Wyciągnął miecz pierwszy, gdy tylko stanął na nogi i zaatakował. Miłosza odskoczył i wtedy Maćków ruszył. Powalił Krzyżaka

uderzeniem pięści i ręce do tyłu związał postronkiem. Po czym rzekł do Krzyżaka.

- Dawno u nas i rozumiesz. Odpowiesz, żywym odjedziesz.

- Co chcecie wiedzieć?
- Skąd jedziesz?
- Z Krakowa.
- A dokąd?
- Do braci zakonnych jadę.
- Czy po drodze nie widziałeś młodego na koniu brązowym, a koń jakby inny, bo gwiazdę białą na łbie ma.

Maćków dostrzegł, że ta wiadomość spowodowała, iż Krzyżak na moment oczy rozwarł szerzej. Ale zaraz potem odrzekł.

- Nie widziałem takiego. Rzeczywiście koń inny, znaczny i gdybym go widział, na pewno w pamięci by ostał.
- Kłamiesz, wiem, że go widziałeś, zdradził cię twój wzrok, gdy powiedziałem o koniu. Teraz widzę, że ty na nim jedziesz. Teraz wyraźnie to widzę, że to ten koń - rzekł Maćków.

Spojrzeni na konia, który stał w pobliżu i jakby się im przyglądał. Znał Maćkowego, ponieważ ten od małego go ujeżdżał. Dopiero później podarował go Junoszy.

Maćków zagwizdał, a koń natychmiast przybiegł tuląc łeb do niego.

- Poznałeś mnie, poznałeś.

Klepał go po łbie, a do Krzyżaka - rzekł.

- Sam widzisz, że kłamać nie ma, co. Więc prawdę powiedz.
- Konia wziąłem ze stajni zakonu, bez wiedzy braci. Był taki chłopak u nas, ale żyw on panie. Bracia, umieścili go w Krakowie. On panie na stronę zakonu przeszedł, Bogu służy i zakonowi.
- Wracajmy tedy do naszych.

Powiedział Miłosza do Maćkowego. Skoro on tak postanowił, jego wola.

- Weź konia i odjeżdżaj na nim, skoro tak ci się on spodobał. Rzekł Maćków do Krzyżaka.

- Słów na wiatr nie rzucam. Powiedziałeś prawdę, więc wolnym odjedziesz. Krzyżak nie bardzo mógł w to uwierzyć, ale ruszył do konia spoglądając tak jakby za chwilę miała przeszyć go strzała. Czuł, bowiem, że ktoś jeszcze w krzakach siedzi, że oprócz tych dwóch jest jeszcze ktoś schowany.

Ale, gdy dotarł do konia, a zobaczył, że Maćków i Miłosza zniknęli w zaroślach zrozumiał, iż jest wolny. W drodze rozważał czy powiedzieć o tym braciom. Ale prędko doszedł do wniosku, że mówić nie należy. Zaczęliby go podejrzewać, a tego chciał uniknąć. Tymczasem Maćków ruszył ze swymi do Krakowa. Czuł zwyczajnie, że Krzyżak prawdę powiedział, iż Junosza jest w Krakowie. Ale nie mógł zrozumieć i uwierzyć w to, by chłopak na służbę do zakonu przystał dobrowolnie. Chyba, że za cenę życia i to na nim wymusili, ale i w to jakoś uwierzyć nie umiał. Postanowił, zatem, że do samego Krakowa dojadą i jeśli to będzie możliwe, odszukają Junoszę. A może Krzyżak kłamał? Teraz dopiero przyszła wątpliwość. Nie, szybko odrzucił tę myśl. Junosza na pewno żyje. Jechali teraz dość szybko i zobaczyli przed sobą kilka wozów, jadących też z pewnością do Krakowa. Tamci stanęli, gdy usłyszeli tętent koni za sobą i oręż chwycili, widząc czterech jeźdźców. Ale po chwili oręż odłożyli, gdy zobaczyli i dziewczyny na koniach. Maćków pozdrowił ich i spytał.

- Do Krakowa waści?

- A do Krakowa jedziem. Myślelim, że to zbóje jakowyś, dopiero, gdy ujrzelim białogłowy myśli takie odeszły.

- To przepuście nas waści, bo nam spieszno - rzekł Maćków.

I to powiedziawszy przejechali obok wozów, które teraz w tyle zostały. A oni znów ostro konie pognali i pędzili na Kraków.

- Pewnie dzisiaj nie dojedziemy - rzekła Dobrawa.

- Ale jutro na pewno - odparł jej Miłosza.

I rzeczywiście zaraz po zmroku zalegli obozem tuż przy drodze konie chowając w krzakach, które tu ciągnęły się razem z drogą rosnąc przy niej cały czas, gdy jechali. Nawet jeść im się nie chciało bardzo, to też zaraz posnęli. Maćków czuwał. Miłce jakby się poprawiło, gdy nadzieja przyszła, że Junosza ją z własnej woli nie zostawił. Maćków usiadł i nadśluchiwał, czy ktoś się czasem do nich nie zbliża. Ale cisza panowała wokoło. Z zaraz i on się położył, ale już nie spał, tylko leżąc rozmyślał nad tym, co powiedział Krzyżak o Junoszy. Musieli go złapać, gdy jeszcze jechał do osady i wymusić na nim za cenę życia, posłuszeństwo. A teraz musimy go odnaleźć i mu za wszelką cenę pomóc. Bo to przecież niemożliwe, by Junosza dobrowolnie na sługę zakonu przystał. Leżał tak długo i myślał, a gdy już jemu zachciało się spać, zbudził Miłosze.

- Popilnuj, tylko bacz uważnie. Ja pośpię, bo już sen i do mnie zawitał.

Miłosza wziął miecz do ręki, łuk przez plecy przewiesił i poszedł obejść obóz. Po czasie wrócił spokojny z wiarą, że nic się przydarzyć nie może. Tak zastał go świt. Nie spał, jeno oczy miał przymknięte, lecz gdy je otworzył zobaczył niedźwiedzia, który stał na drodze. Stał na tylnych łapach i chwycił wiatr w nozdrza, jakby konie wyczuwając. Dech mu zaparło, ale czekał cierpliwie. Tylko łuk chwycił i w rękę mocno trzymał. Popatrzył na niedźwiedzia, a i ten zdawało mu się, że patrzy na niego. Wtem koń w zaroślach zarżał. Pewnie też wyczuł już niedźwiedzia, ale ten odwrócił się i znikł w zaroślach po drugiej stronie drogi. Dopiero po jakimś czasie Miłosza odetchnął, bo niedźwiedź był potężny. Zaraz po tym podeszła do niego Dobrawa i objęła go z tyłu rękoma. Słyszał jak idzie do niego, ale nie odwracał, gdy się skradała. Tylko raz spojrzął, a później udawał, że nic nie słyszy. A ona go objęła i robiła mu zarzuty, że nie słyszał, gdy go podchodziła. On uśmiechnął się do niej, głowę odwracając - powiedział.

- Zapatrzonny byłem w potężnego niedźwiedzia, a takiej sarny jak ty, to już nie dostrzegłem.

I ona śmiała się myśląc, że żartuje i nie mówi prawdy o niedźwiedziu, ale po chwili i ona usłyszała potężny jego ryk. Także i Maćków, bo za chwilę był przy nich.

- Co to? Spytał, zaspany.

- Niedźwiedź Usłyszał w odpowiedzi.

- To konie bierzmy i odjeżdżajmy stąd. Nie mam ochoty z takim wojować - rzekł Maćków.

I niezadługo już w drodze byli. Jechali w milczeniu, bo każde z nich myślało, jak to będzie w Krakowie i czy spotkają Junoszę żywego. Jechali dość długo, nim przed nimi ukazały się mury Krakowa. Miłka pierwszy raz w swym życiu taki gród zobaczyła. Choć daleko jeszcze, a już potężny zdawał się być i takim był w istocie. Jeszcze jakiś czas potraowało, gdy zbliżyli się na tyle, by przez bramę otwartą o tej

porze wjechać. Tu było widać żwawe życie i ruch ogromny. Jedni konno, inni pieszo przemierzali w różne strony. Dziewczyna ze zdziwieniem przyglądała się grodowi, gdy wyrwał ją z tego zachwyty głos Dobrawy.

- Jak ci na imię? Bo tyle czasu przejechaliśmy razem, a ja nie wiem.

- Miłka - odpowiedziała dziewczyna.

Była zdziwiona tym, że Dobrawa nie zapamiętała jej imienia.

- Miłka?

Ładnie powiedział Maćków, a ona uśmiechnęła się do niego. Stanęli przy gospodzie, zsiadli z koni i już mieli doń wejść, gdy zobaczyli akrobatów wędrownych. Ci do grodu wjechawszy, zaczęli zachęcać skokami, saltami i innymi wyczynami widzów, aby dołączyli do ich przedstawienia. Dobrawa i Miłosa, Miłka i Maćków przystali do nich, by popatrzeć na żonglerów, którzy popisywali się na ich oczach. W głowach im się nie mieściło, jak można tak podrzucać i łapać, aby żadna z maczug nie spadła. Stali tak i zapatrzeni zapomnieli na chwilę, z czym do grodu przybyli. Tak urzekli ich ci kuglarze wędrowni. Pierwszy ocknął się Maćków i powiedział.

- Rozglądajcie się po patrzących, może i kogoś nam znanego zobaczycie.

A kuglarze teraz już stanęli przed gospodą i cuda czynili. Stały, więc Dobrawa z Miłką i patrzyły z zaciekawieniem. A Maćków z Miłosa patrzyli na drugą stronę i bacznie obserwowali ludzi dokoła. W jakiś czas dopiero dostrzegli kogoś podobnego do Junoszy. Mieli szczęście, bo to on przechodził ze stajni do domu i zobaczywszy komediantów, przystanął. Maćków ruszył w jego stronę i gdy dotarł do miejsca, gdzie stał Junosza zobaczył, że ten rozmawia z kimś ubranym w strój mieszczkański. Odwrócił się, gdyż nie chciał, aby go chłopak zaraz zobaczył. Wiedział, że może być obserwowany przez Krzyżaków skoro dla nich pracuje. Podeszedł dopiero, gdy widział, że Junosza jest sam i rzekł do niego.

- Nie odwracaj się, stój spokojnie, to ja Maćków. Szukamy cię. Jest tu ze mną Miłosa, Dobrawa a i jeszcze ktoś, kogo myślę, że chętnie obaczysz.

Junosza stał jak kamień. Ale po chwili odwrócił się nieco i rzekł.

- Odejdź, a ja tu chwilę postoję. Mogą mnie śledzić.

- Weź wszystkich i idźcie za mną, ja ruszę, gdy was zobaczę. Idźcie w odległości, a zapewniam, że zaprowadzę was do domu, w którym teraz mieszkam.

- Ale my konie mamy - rzekł Maćków.

- Zostawcie je przy gospodzie i pieszo przyjdźcie. Nie pytaj o nic więcej.

Maćków ruszył, a Junosza czekał, jednocześnie przyglądając się występom żonglerów. Gdy zobaczył swoich, a szczególnie Miłkę, chciał ruszyć do niej, lecz opanował się, a i ona również, przytrzymana przez Maćkowego. Za rękę ją trzymał i nie pozwolił, aby pobiegła do niego. Ruszyli. Junosza przodem, a oni rozmawiając ze sobą za nim, udając, że nie patrzą gdzie on idzie. Niebawem zobaczyli, że skręcił w bramę. Stanęli, a Maćków rozejrzał się, czy nikt ich nie śledzi. Upewniwszy się, że nie, dopiero i oni w bramie się skryli. Junosza czekał. Poprowadził ich na piętro do izby. Tu usiedli i dopiero wieczorem skończyły się opowiadania. Dopiero teraz Miłka odzyskała wiarę w niego i zdawało się, że wraca jej chęć do życia.

- Musicie już iść. Najlepiej wyjedźcie jak najprędzej z Krakowa - powiedział Junosza.

- Ja w służbie króla ostanę, by misję swoją wypełnić. Miłka przytuliła się do niego i

spytała.

- Dlaczego mam nie zostać z tobą? Pracę jakąś tu i kąć znajdę. Mogę sprzątać, dzieci pilnować, ale nie każ mój miły odjeżdżać od ciebie. Łzy duże spłynęły jej po policzkach. Junosza zamyślił się, ale w chwilę po takiej rozmowie - powiedział.

- Dobrze, moja gospodyni coś wymyśli i właśnie ona zastukała do drzwi. Junosza wyszedł do niej i poprosił, aby za jakiś czas przyszła, bo ktoś jest u niego.

- Od króla? - Spytała.

Ale on nie odpowiedział, jeno wszedł na powrót do izby. Zaraz po tym Maćków, Miłosza i Dobrawa do drogi się sposobili, ale przedtem Junosza - rzekł do nich.

- Ojca pozdrówcie i uściskajcie ode mnie. Powiedźcie mu wszystko, że z mojej woli, a więcej z przypadku królowi pomagam w błąd Krzyżaków wprowadzać, co by błędne rzeczy wiedzieli. Jestem na razie tu potrzebny, a gdy już nie będę wrócić. Pożegnali się z nim, Miłka i wyszli. Wzrok gospodyni ich odprowadził. A dziewczyna znów przytuliła się do Junoszy i powiedziała.

- Marzyłam o tym, aby być z tobą. Nie mogłam wiedzieć, dlaczego po mnie nie przyjechałeś. Teraz już wiem i miłuję.

A i Junosza przytulił ją i tak stali, gdy znów pukanie do drzwi się powtórzyło.

Junosza podszedł do drzwi i otworzył. Stała w nich kobieta, u której mieszkał z polecenia dworu i dopiero teraz dostrzegł w jej oczach ogromne zdziwienie na widok dziewczyny w izbie. Junosza pośpiesznie wytłumaczył, a kobieta rzekła.

- Musisz to uzgodnić z tym, który cię do mnie przyprowadził. Jeśli on zgodę wyrazi, to ja jej kąć i pracę wynajdę. Nie mogę sama decydować.

- Dobrze, ale tymczasem proszę ją przenocować, choćby dzisiejszej nocy - rzekł Junosza.

- To mogę zrobić. Teraz pójdę i wieczерę na dwie osoby przyszykuję. Panna pewnie głodna?

To powiedziawszy wyszła. Tymczasem Maćków ze swymi wyjeżdżał z Krakowa.

Chcieli zdążyć przed zamknięciem grodu i ledwie zdążyli. Zabrali ze sobą konia Miłki, gdyż ten stał przed gospodą. Nawet z nią nie uzgodnili, co z nim zrobić. Ale Miłosza powiedział.

- Weźmy go ze sobą, jej tu nie będzie potrzebny, jeno może podejrzenia wzmóc.

Zgodził się z tym Maćków i z grodu wyjechali konia zabierając. Jechali traktem, a noc gwiazdzista się zbliżała. Gdy dojechali do lasu obozem stanęli, a rano ruszyli, czym prędzej z wieścią do imię Kalesantego. Jakże dobrą wiadomością. Dobrawa nic nie mówiła i Maćków pomyślał, że jest bardzo zmęczona, mimo nocy przespanej. Konia pogonił, aby jak najszybciej w lesie się znaleźć i niebawem las się ukazał. Odjechali nieco od traktu i jęli nadśluchiwać. Ale dookoła cisza panowała. Jadąc Miłosza przyglądał się Maćkowemu i ciekaw był, o czym on teraz myśli, gdyż jechał nic się nie odzywając. Wtedy rzekł do niego.

- Moglibyśmy pospieszyć, aby czasu starczyło zajechać do Klawy na gród i skorzystać z jej zaproszenia. Trafiał, bo i Maćków o tym samym myślał.

- Może i masz rację. Pospieszymy i zajedziemy do niej.

- Pewnie zdziwi się, że tak prędko - odparła Dobrawa.

I to było wszystko, co do siebie powiedzieli. Teraz gnali w milczeniu zapominając o tym, że pośpiech jest złym doradcą. Chcieli się, czym prędzej znaleźć się u

dziewczyny, a mieli pecha, bo w przeciwną stronę jechał oddział krzyżacki, dobrze uzbrojony.

Jechali wolno i to oni usłyszeli konie nadjeżdżające z przeciwnika. Ten, który Krzyżakami dowodził, kazał siatkę rozciągnąć. Wtedy już Krzyżacy stosowali owe siatki do zasadzek i w ten sposób łapali przeciwnika nie musząc z nim walczyć. Teraz czekali na nadjeżdżających ukryci w zaroślach. Polacy zza zakrętu drogi wyjechali i gnali przed siebie, a gdy już byli blisko, Krzyżacy siatkę podnieśli. Maćków to zobaczył, konia spiął, ale było już za późno. Koń wpadł z nim w sieć, a za nim Dobrawa z Miłosza. Wtedy wyskoczyli Krzyżacy i pojмали ich. Maćków widząc, że są w pułapce wstał i wtedy dwóch Krzyżaków złapało go za ręce. Nie stawiał oporu, gdy mu pęta założyli. Później związali i Miłosze i Dobrawę. Teraz dopiero wyjechał na koniu ten, który nimi dowodził. Na sobie miał lśniącą zbroję i płaszcz biały z krzyżem. U boku miecz duży wisiał.

- Kim jesteście! Dokąd tą drogą zmierzacie. Krzyknął.

- Jedziemy do domu panie. Jesteśmy myśliwymi i mieszkamy w osadzie za rzeką.

- Kto wam pozwolił polować w tych lasach.

- Król nasz panie, dlatego przy sobie łuki mamy, gdyż służą nam one do polowania. Odparł Maćków.

- A ten miecz, który masz przy pasie, też do polowania służy? Odezwał się Krzyżak.

- Zabrać ich, a później, gdy obozem staniemy już się postaram, by wszystko tak jak na spowiedzi wyznali. Jeszcze oni mnie nie znają i nie wiedzą, że ze mną się przyjemnie nie rozmawia

Zaśmiał się krzyżacki dowódca.

Wsadzili ich na konie związanych, i ruszyli.

Dałem się tak głupio złapać - pomyślał Maćków i spojrzał na Miłosze, a ten wzrokiem wskazał mu na cholewę buta swego. - Nóż tam ma na pewno, którego nie zobaczyli Krzyżacy. Początkowo myślał Maćków, że Krzyżacy zmierzają do Krakowa, jednak później zorientował się, że jadą w inną stronę. - Gdzie oni jadą? - Myślał. A Krzyżacy cały dzień bez odpoczynku jechali z nimi. Co prawda nie gnali koni, ale cały dzień w siodłach przesiedzieli. Na raz dowódca ich krzyknął.

- Tu na noc staniemy, tych tu pilnować, a rano ich przesłucham.

Wszyscy z koni zsiadli i jakiś czas ruch był w obozie, a potem wszystko ucichło.

Maćków zobaczył, że dwóch Krzyżaków, którzy ich pilnują, siadło po prawej jego ręce i zaczęli rozmowę.

- Na pewno tak jak i my są zmęczeni, a rozmawiają, aby nie usnąć - pomyślał.

Nieznacznie przybliżył się do Miłoszy, a ten nogi podciągnął tak, aby Maćków mógł obiema rękami, nóż wyjąć z cholewy. Chciał jak najszybciej nóż mieć w ręce, by móc więzy przeciąć. Mimo trudności udało się, i po chwili już Miłosza miał ręce wolne. Zaraz po tym Maćków i Dobrawa. Mieli tylko ten nóż, więc Maćków rzekł cicho do Miłoszy.

- Tam konie stoją. Na mój znak biegniemy do nich i może uda się w las odskoczyć.

Oni nie spodziewają się niczego, więc może uda się nam uciec. Dał znak i zerwali się z miejsc. Popędzili do koni. Zaraz przed Maćkowym wyrósł Krzyżak, który chciał mu odciąć drogę do koni. Nie miał Maćków wyboru. Rzucił nożem i Krzyżak tylko jęknął i na ziemię padł. Dopadli do koni. W obozie wrzało. Nikt z Krzyżaków nie

spodziewał się, że ledwie obóz założą a już będzie ucieczka. Tymczasem Maćków, Miłosza i Dobrawa pędzili przez las słysząc, że kilkunastu knechtów gna za nimi. Wyjechali na trakt z lasu, chwilę nim pojechali i znów w las skręcili i zaraz stanęli. Krzyżacy knechci pojechali traktem. Wtedy Miłosza rzekł.

- Jedźcie za mną.

I ruszając ostro wjechał w kierunku przeciwnym w las. Jechali jakiś czas i pościgu już nie słyszała Dobrawa. Cieszyła się bardzo, mówiąc do swoich.

- Bałam się, ale już jest dobrze.

Dalej już wolno oddalali się od Krzyżaków i domu swojego. Całą noc jechali, później już drogą do domu biegnącą i dopiero nad ranem dobrze odpoczęli. I znów koni dosiedli.

- Z nimi jechaliśmy na zachód, a po ucieczce na północ, teraz nieco na wschód ruszymy, aby już dokładnie znaleźć się na naszej drodze do grodu - rzekł Miłosza. Maćków słuchał w milczeniu. Dopiero po chwili - odrzekł.

- Masz rację, tak musimy jechać.

I teraz spieszyć się również musimy, bo pewności nie mamy, czy oni jednak za nami nie podążą. Na pewno ślady pozostawiliśmy.

- Może wysłali kilku, a sami jadą dalej - rzekła Dobrawa.

- Masz rację, tak jest na pewno. My teraz na nich zasadzkę założymy. Nie będziemy uciekać - rzekł Miłosza.

- Zapomniałeś, że nie mamy ni łuków, ni mieczy i czym ty chciałeś ich atakować. Miłosza zamilkł. O tym nie pomyślał.

- Jesteś teraz porywczy, ale rozumiem ciebie. Powiedziała Dobrawa.

- Ruszajmy i porzućmy myśl o zasadzce. No chyba, że oni pojedą za nami do grodu. Wtedy to, co innego. Tam już im nie odpuścimy.

Ruszyli koni nie szcędząc. Konie mieli krzyżackie, wszystkie smukłe, zapewne ważniejszych Krzyżaków, dobrze utrzymane. Swoje niestety u nich zostawili, uciekając. Teraz Maćków myślał, jak dużo szczęścia mieli i los im dopomógł. Nie miał pretensji do siebie, gdyż w tą zasadzkę, w którą wpadli każdy by wpadł, ale teraz przynajmniej wiedzieli, jakich metod używają Krzyżacy. Wkrótce las skończył się i wyjechali na równinę. Zaraz dostrzegli z prawej strony osadę. Kilka chałup stało przy lesie, a z jednej z nich wydobywał się dym. Wrócili znów do lasu i brzegiem jego ruszyli w kierunku osady. Podjechali bardzo blisko i zobaczyli cztery konie przywiązane do ogrodzenia przy pierwszej chacie. Jeden ich pilnował. Zobaczyli knechta. W rękę kuszę trzymał i stał obok koni. Maćków spojrzał na Miłosze, a ten zaraz zrozumiał. Obszedł lasem i wyszedł za chałupą. Teraz miał już blisko plecy knechta, który oparty stał niczego nie podejrzewając. Miłosza rzucił szyszkę. Knecht zastygł i jął nadśluchować. Wtedy już Miłosza był przy nim i złapał go za gardło. W chwilę po tym i Maćków dołączył. Kusza wyleciała z ręki knechtowi, a oni już go do lasu nieśli. Dobrawa podniosła kuszę i w tej chwili spojrzała na drugą stronę domu, za której wyszedł drugi Krzyżak. Spojrzał na nią zdziwiony widząc kuszę w jej ręku, a ona podpuściła go blisko i widząc, że strzała w kuszy jest naciągnięta, podniosła ją do góry i wycelowała w niego. Strzeliła i zobaczyła zdziwienie w oczach Krzyżaka, a jednocześnie śmierć jego. Biegła teraz nerwowo do lasu, do swoich i wkrótce była już przy nich. Pierwszy raz miała taką kuszę w ręku i pierwszy i pierwszy raz z niej

strzelała.

- Dobrze, że knecht stał przy koniach z naciągniętą kuszą. Powiedziała do siebie. Maćków spojrział na nią i spytał.

- Trafiłaś tamtego.

- Tak. Odpowiedziała.

- Tedy daj tą kuszę, a pilnuj tego. On już związany, a tamtego trzeba z drogi ściągnąć, aby tych dwóch pozostałych nie wiedziało.

Wziął kuszę i bełty od knechta, i ruszyli z Miłosza w stronę chaty. Maćków kuszę naciągnął. W chwilę, byli już przy tym na drodze. Złapali go za ręce i po chwili już w krzakach przy drodze leżał. Teraz skoczyli do koni. Miłosza poprowadził je w stronę lasu oglądając się na osadę, a Maćków stał z kuszą wycelowaną w drzwi chałupy. Miłosza wrócił, a tych dwóch się nie pojawiło.

- Pewnie są w tej chałupie, z której dym z komina gęsty się wydobywa.

- Chyba tam strawę dla nich warzą?

Odpowiedział Miłosza. Podeszli pod okno i zobaczyli tych dwóch. Siedzieli za stołem, a jeden na kolanach dziołkę trzymał. Wyrzywała się ona, ale on ją trzymał mocno i głośno się śmiał.

- Wejdę drzwiami. Rzekł Maćków.

- Popatrz obaj miecze mają. Powiedział Miłosza.

- Dlatego, gdy mnie w drzwiach zobaczysz, zastukaj do okna, a to odwróci ich uwagę. Zaraz się rozstali. Po chwili Miłosza zobaczył Maćkowego z kuszą w ręku, w uchylonych drzwiach. Walnął tedy mocno pięścią mocno w okno, a oni zerwali się od stołu i wzrokiem na okno podążyli. Wtedy Maćków wpadł do izby. Jeden z Krzyżaków odwrócił się i widząc go po miecz chciał sięgnąć. Nie miał Maćków wyboru. Posłał strzałę z kuszy do niego i ruszył do tego drugiego, kuszę odrzuciwszy. Walka trwała krótko, bo Maćków był za silny dla Krzyżaka, któremu w walce kark skręcił. Nim Miłosza wszedł do izby, obaj leżeli na podłodze. Tylko dziewczyna za piecem stała i trzęsła się ze strachu. W drugiej izbie zobaczyli starszą już, pokrytą siwizną kobietę.

- Szukali kogoś i kazali sobie strawę warzyć, reszty nie wiem panie. Dobrze, że przyszliście w porę, ale jak odjedziecie to przyjdą inni i nam osadę spalą. Przyjdą i spalą.

Powtórzyła.

- Tych też zabierzcie ze sobą, a porzućcie gdzieś, byle by u nas ich nie znaleźli.

- Spokojnie. Kogo oni szukali? Spytał się Miłosza.

- Nie wiemy.

Rzekła starsza i wtedy dopiero odezwała się ta młoda.

- Cicho matuś. Może głodni są? Z pomocą nam przyszli, tak nie można. Starsza uspokoiła się nieco, a młoda mówiła.

- Jadło naszykowane. Mieli tamci zjeść, to lepiej jak nasi zjedzą. To mówiąc do stołu ich zaprosiła.

- Jest z nami w lesie dziewczyna, jednego pilnuje. Wy jadło szykujcie bośmy naprawdę głodni, a my tych uprzątniemy.

Powiedział Maćków i wskazał na leżących Krzyżaków. Oreż ich w domu zostawimy. Ciągnęli ich przez krzaki, gdzie ten z drogi leżał. Wtedy Miłosza pobiegł do



dziewczyny. Dobrawa stała obok, a Krzyżak leżał związany.

- Co tam? Wszystko dobrze? Spytała.

- Wszystko dobrze. Idziemy do chaty. Tych tu zostawimy, a on z nami idzie. Strawę nam szykują, a później zobaczymy.

Kazał Miłosza jeńcowi wstać i pognali go do chaty. Teraz już wiedział, że sam przy życiu ostał. Dobrawa konie podprowadziła. Szła przodem jednego trzymając, a pozostałe szły za nią. Zobaczyła, że koło chaty, a obok studni woda w cebrowinie nalana, więc puściła konie, a one chętnie do wody poszły.

- Zostanę przy nich - rzekła.

Miłosza jeńca poprowadził. Weszli do izby, gdzie już strawą pachniało, a i w izbie trzech starszych siedziało. Jeden z nich wstał i rzekł.

- Podziękować mi trzeba waści za pomoc. To ścierwo najechało nas i gwałt czynić zamierzało. Dobrze, że w porę znaleźliście się na naszej drodze. Jeszcze raz dziękuję. Tego nam ostawcie, my już z nim porządek zrobimy. Dwóch od nas, odstawi go do pana naszego, a pan jemu już lochów nie pożałuje. A wy posilcie się i w drogę ruszajcie. Chętnie wam gościna służymy, ale obawiamy się, bo gdyby więcej ich z lasu się przyszło, to mieli byśmy my i wy kłopot. Maćków wiedział, że stary ma rację, więc rzekł.

- Koni pilnuje dziewczyna. Ona z nami. Niech by ktoś z waszych przypilnował, aby ona pojeść mogła.

Po chwili już Dobrawa za stołem siedziała. Gdy się najedli, Maćków obiecał, że tych trzech, którzy byli w krzakach ze sobą zabiorą i pogrzebią daleko od osady.

Wziąwszy konie i martwych Krzyżaków, ruszyli. Tego czwartego zostawili, tak jak stary mówił. Tak im było wygodniej. Gdy ujechali dość daleko, a uporali się z trójką Krzyżaków ukrywając ich w dole, na który gałęzie naciągnęli, ruszyli dalej w swoją stronę. Maćków powiedział.

- Musimy mieć teraz oczy szeroko otwarte. Już tyle szczęścia mieliśmy, a przecież liczyć się trzeba, że nie zawsze będzie ono przy nas.

Jechali teraz w milczeniu bacznie las obserwując. Niezadługo z niego wyjechali i ruszyli na wschód. Tamte konie też ze sobą prowadzili spętane, gdyż w osadzie nie chcieli ich, bojąc się zemsty Krzyżaków. Jechali konie prowadząc, ale Maćków już myślał, że tych koni powinni się pozbyć. Powiedział do Miłoszy. -Wybierzemy sobie te lepsze, wypoczęte, a te, na których jedziemy puścimy wolno. Bez nich będzie bezpieczniej.

Stanęli, aby wybrać konie i zobaczyli, że przy jednym jest torba przytroczona.

Zobaczyli ją dopiero teraz. Odpiął Maćków torbę i wyjął z niej jakieś pismo lakiem zapieczętowane i coś, co na mapy wyglądało. Na papierze lasy, osady, grody widniały, tak mu się zdawało. Serce zabiło mu mocniej. Wiedział, że to dokumenty ważne.

- Co robić? Myślał.

Wtedy Miłosza rzekł.

- Do grodu Zbysława najbliżej, tedy ruszajmy. Dojedziemy, to on nam doradzi. Teraz już bez przeszkód stanęli wieczorem przed grodem Zbysława. Gdy wjechali na podwórzec, przywitał ich sam Zbysław, który został przez swe straże powiadomiony.

- Rad jestem, że waści widzę, mości panowie zaczął i ciebie też mości panno.

Powiedział, gdyż dopiero ujrzał Dobrawę.

- Co słyhać w grodzie imć pana Kalesantego?

- Mości panie, czy spokój jest od Krzyżaków. Odezwał się Maćków.

- A z Krzyżakami i różnie. Oni już są tacy, że w miejscu nie usiedzą, intrygi knują ciągle. Teraz Spytko z kilkoma ludźmi za nimi ruszył, bo aż tu lichy ich przygnało. Więc pojechał, a im biada.

- To zdrów już? Spytał Miłosza.

- No, może jeszcze nie w pełni, ale już mu pilno rachunki z Krzyżakami policzyć. Kilka razy już Krzyżaków przepędził, bo też miejsca zagrzać nie może. A was, co sprowadza?

- Od Krakowa jedziemy i chcemy panie z tobą porozmawiać

- Tedy do chodźcie.

Gdy w Sali się znaleźli ze Zbysławem, Maćków rzekł.

- I my Krzyżaków w drodze pobiliśmy. Jeden z nich przy koniu jakoweś pisma wiozł i dlatego chcemy waści opinii o tych pismach posłuchać.

To mówiąc wyjął na stół papiery. Zbysław przyglądał się im dość długo, po czym powiedział.

- Toż to grody nasze, na tym papierze są naznaczone. Tu nasz, a tu Mścislawa, Michała, Dokutowicza a i wasz także, a i inne. Te nasze są tak mniej więcej położone względem siebie, jak tutaj na papierze widać. Myślę, że to ważne dokumenty, które jak najprędzej powinny się znaleźć przed oczami króla Jagiełły. Król już rozsądzi, co z tym zrobić. Jeśli chcecie wysłać kogoś ze swoich, a wy odpocznijcie.

Maćków powiedział.

- Teraz niebezpiecznie na Kraków jechać. Myśmy Krzyżakom ze szczęściem uszli.

Opowiedział o wszystkim Zbysławowi, jeno o Junoszy nic nie wspomniał. Zbysław, gdy to usłyszał, zamyślił się, po czym - rzekł.

- Ale te dokumenty mimo wszystko powinny się znaleźć najszybciej u króla i mimo niebezpieczeństw ktoś musi je tam dowieść.

Wtem do izby wszedł Spytko. Znów spotężniał i widać w nim było siłę niesamowitą.

- Witam was.

A do Zbysława rzekł.

- Dogoniłem ich na przełęczy i zaskoczyłem szans im większych nie dając. To ci, co ubili naszego Waszke. Zginęli wszyscy. Gdy zaprzestaną węszyć i zabijać, nie będą ginąć. To nasze tereny i powinni o zgodę pytać, a jednak tego nie robią i gwałt czynią.

- Masz rację.

Odezwał się Zbysław. Widzisz, oni też uciekli od Krzyżaków i po drodze, przy koniu znaleźli te oto dokumenty. To mówiąc podsunął je Spytce. Ten przypatrzył się i rzekł.

- Grody nasze rysują na papier. Ten nasz widzę, a tu Dokutowicza.

- Wiem teraz, że ja się nie myliłem, bo ty tak samo poznałeś. Trzeba z tym, moim zdaniem do króla.

- Ja pojedę. Sam, bo tak będzie najbezpieczniej. Duży oddział bardziej widać, a ja sam przemknę - rzekł Spytko.

- Tak samo chciał Junosza.

Wymknęło się Maćkowemu. Ale zaraz pohamował widząc zdziwienie w oczach

Spytki.

- On młody jeszcze, a ja wam przysięgam, że te papiery u króla będą jeśli mi zaufacie.

- Dobrze. Rzekł Maćków.

Skoro, taka twoja wola. A może byśmy z tobą pojechali?

- Chciałbym bardzo, ale sam bezpieczniej przemknę. Znam z naszej osady drogę do Krakowa, jak nikt. Dlatego wierzę, że mimo Krzyżaków na drogach, papiery dowiozę.

- Tedy w drogę - rzekł Zbysław.

Spytko wziął papiery i za jakiś czas, mimo że noc się zbliżała, słychać było galop konia poza grodem.

-W noc pojechał - rzekł Zbysław. Nie usiedzi, tak lubi ryzyko. Już raz mało, co życiem tego nie przyplącił, ale nic się nie zmienił. Nie ma w nim strachu i nigdy w nim jego nie było.

Po wieczery, jeszcze długo ze Zbysławem rozmawiali, mówiąc, że jutro skoro świt wyjadą. Z pewnością i imię Kalesanty już się niecierpliwi nie widząc nas już tyle dni. Noc przeszła jak zwykle szybko. Spali snem kamiennym i znów Dobrawa otworzyła pierwsza oczy. Zbudziła Maćkowego i Miłosze. Mieliśmy ruszać skoro świt, a tu słońce już wysoko. Teraz spojrzeli na siebie, ubrali się i wyszli na dziedziniec. Nawet konie już stały pod siodłami, czekając na nich. A i Zbysław też się znalazł. Podszedł do nich i rzekł.

- Dałem wam moje konie, a tamte krzyżackie zatrzymam, tak będzie bezpieczniej. Pozdrówcie imię Kalesantego, a wspomnijcie o papierach krzyżackich, a i o tym, że nasze grody widnieją na nich narysowane. Wiem, po co im to potrzebne, a my na baczności się mieć musimy.

- Czyżby się szykowali do wojny z nami?

- Pewnie tak.

Odparł Zbysław. Tymczasem komtur Zygfryd wiedział już, że wielu braci zakonnych nie wraca z misji, którą mają do spełnienia. Doszły go słuchy, że Spytko tak groźny dla zakonu wyżył przez lekkomyślność brata zakonnego, który go puścił przeświadczony, że ten w drodze z wyczerpania umrze. Dochodziły go również słuchy, z czyjej ręki ginie najwięcej braci zakonu. Postanowił upewnić się i gdy okaże się to prawdą zamierzał zemścić się na tych wszystkich, przez których ma tyle zmartwień.

- Spaliłem gród, mogę i inne spalić. Ale teraz już za głowę tego Spytki wyznaczę nagrodę, a musi być ona znaczna. Jeszcze większa, gdyby go ktoś do Malborka żywego dostarczył.

Zaraz po tych rozmyślaniach, zwołał braci zakonnych i wszystkim obwieścił swe postanowienie.

- Jeśli okaże się prawdą, że to ten Kalesanty, szlachcic wołyński jest tak zagorzałym wrogiem zakonu, tedy zniszczę jego i gród mu spalę, a ci, którzy nie zginą, w lochach żywota dokończą.

- Wiemy parne, że to on, ze swymi napada na naszych.

- Dobrze, przekonaliście mnie, to chciałem od was usłyszeć. Wyjedzie zaraz oddział z Malborka, bo na innych nie mogę tak polegać. Tylko moi rycerze tego dokonają, bo

pamiętają o naszych, którzy poginęli z rąk tego Kalesantego. W drogę bracia. Dowodził będzie brat, Gotfryd.

Tu wskazał na młodego, o potężnej budowie ciała, zakonnika.

- Wybierz sobie tych braci, którzy w bojach są najbardziej wsławieni. Pojedziesz, a spalisz ten gród. Zrównasz go z ziemią, aby nigdy się nie odrodził. Świadków wszystkich zamkniemy w lochach. Tutaj do ścian mogą się użalać, a śmierci czekać.

Gotfryd wstał, położył rękę na sercu i rzekł do Zygryda.

- Wykonam wolę zakonu i nie zatrzyma nas żadna siła. To powiedziawszy usiadł.

- Ciesz się z tych słów, bracie Gotfrydzie. - Młodyś, ale mam do ciebie pełne zaufanie i myślę, że mnie nie zawiedziesz.

Po tej rozmowie rozeszli się, a brat Gotfryd zbierał braci zakonnych, rycerzy do wyjazdu. W jakiś czas wszystko było gotowe i oddział składający się z pięćdziesięciu rycerzy i dwudziestu knechtów ruszył z Malborka. Gotfryd wiedział i był przekonany, że ci rycerze wystarczą, aby spełnić wojenne plany i wolę Zygryda.

Większy oddział wzbudziłby większe podejrzenia i nie łatwo go ukryć przed wrogiem w lasach. Miał przeświadczenie i wiarę, że wrócą w chwale Drugiego dnia jechali. Tymczasem Maćków, Miłosza i dama Miłoszy, Dobrawa dojechali szczęśliwie do grodu sobie bliskiego. Tu, gdzie panował imć pan Kalesanty. Przeto bez zwłoki kazał, aby mimo zmęczenia drogą, stanęli przed nim. A kiedy już ich ujrzał przed sobą, przyjrzał się im uważnie i nie widząc w ich oczach cienia smutku - spytał.

- Dobre wieści przywozicie?

- Myślę, że dobre panie. Junosza żyje, to najważniejsze.

Odpowiedział Maćków. Do osady nie dojechał, bo go Krzyżacy schwytali, ale dzięki sprytowi oszukał zakonnych, a oni mu zawierzyli i do króla na zamek na przespiegi wysłali. I opowiedział Maćków wszystko imć panu Kalesantemu. Ten słuchał w wielkim skupieniu i dopiero ochłonął, gdy Maćków przerwał mówienie.

- Żal mi, że syna ujrzeć nie mogę, ale skoro on w służbie u króla, więc jest to zaszczyt dla nas wszystkich. Uspokoilo się me serce, bo gdy was tak długo nie było, pełne obaw ono we mnie siedziało. Teraz już spokojniej bić będzie. Odpocznijcie nieco, bo nowe zadanie was czeka. Dobre wieści zawsze mi przynosicie, to może i teraz i tym razem takie będą. Ale na razie odpoczywajcie.

Wyszli, jako, że naprawdę byli zmęczeni, gdyż od grodu Zbysława, gnali bez wytchnienia, aby jak najszybciej znaleźć się w domu. Ale już rano stanęli gotowi, przed imć Kalesantym, a on rzekł do nich.

- Gdy was nie było, różne przykre zdarzenia działy się w pobliżu grodu. Znaleźliśmy dwóch naszych ludzi zamordowanych w lesie, niedaleko źródła. Wiem, kto to zrobił, gdyż jeden z nich zapewne walcząc o życie, siłował się tam z nim i zerwał mu krzyżyk, który miał zaciśnięty w dłoni. Na tym krzyżyku widnieje napis, Malbork 1406 rok. Sami musicie to zobaczyć.

Podał Maćkowemu krzyżyk. Były tu maleńkie literki na tylnej stronie krzyżyka.

Malbork u góry i z lewej strony czternaście, zaś z prawej zero i sześć.

- Sami widzicie i nie macie wątpliwości. Chcę abyście jechali do Zbysława, do Dokutowicza, grodu Mścisła, a także i do Michała. Spytajcie czy i u nich takie mordy się zdarzały, a ponadto powiedzcie, że chciałbym się z nimi spotkać.

Niech miejscem naszego spotkania będą Raclawice. Drogę, każdy z nas będzie miał jednaką, a i puszcza dająca schronienie tam jest. A sprawy pilne. Powiedźcie im, że sąsiadami jesteśmy, więc się wspólnie bronić musimy, bo Krzyżacy coraz to większą potęgę mają i coraz więcej nam zagrażać będą. Jedźcie i dobre wieści przynieście. Po tych słowach Maćków wyszedł, a za nim Dobrawa i Miłosza. Zaraz poszli do koni i zaraz za gród wyjechali. Tymczasem Spytko bez przeszkód dojechał do Krakowa. Był już w sali i czekał na króla, który niebawem miał go zaszczyścić swą obecnością. Jagiełło pamiętał Spytkę z innej okazji i teraz, gdy wszedł, uśmiechnął się do niego, co ostatnimi czasy rzadko czynił.

- Mówią mi, że ważne papiery masz? Tedy podaj niech i ja zobaczę.

Spytko podał królowi, a ten długo je oglądał, po czym westchnął i rzekł.

- Grody nasze nanoszą na papier. Chcą przez to wiedzieć gdzie i jak liczne są. Czyżby do najazdu się przygotowywali.

Mówił do siebie.

- Musimy to sprawdzić.

Przy królu, siedział doradca jego, rycerz znamienity Hynek z Rogowa podskarbi królewski i on na przyzwolenie króla czekając - rzekł.

- Królu, masz swego człowieka w Malborku. Tu mogę o tym mówić. Może wyślemy kogoś nieznanego, ale odważnego do nich, aby tam na miejscu wywiedział się wszystkiego.

- Nie. Nie musimy ryzykować, bo gdyby go złapali, on by życie postradał, a i nasze stosunki uległyby pogorszeniu. A my za słabi jeszcze jesteśmy do wojny z nimi. Tedy czekać musimy.

Rzekł król.

- A tobie dziękuję, żeś trudził się w drodze do Krakowa. Dobrze, że coraz więcej wiem o Krzyżakach i ich planach. A teraz by trzeba ostrzec i tych ludzi, których grody widnieją w zainteresowaniach zakonu. Dobrze, że papiery nie dotarły do nich, ale mniemam, że wszak wyślą innych do ich zrobienia, skoro im tak na tym zależy. Spytko pożegnał króla, skłonił się, i do Hynka z Rogowa głową skinął, a ten mu także skinieniem, odpowiedział. Spytko opuszczał Kraków. Jechał znów traktem w kierunku swoich. Tymczasem Dobrawa, Maćków i Miłosza dojeżdżali do grodu Zbysława i już z lasu mieli na otwartą przestrzeń wyjechać, gdy jeźdźca wjeżdżającego do lasu zobaczyli.

Sam był? Spytał Maćków. Nie wiem. Odparł Miłosza.

- Musimy to sprawdzić, kto tak szybko skrył się przed nami.

- On nas nie widział. Daleko było, a i tyłem do nas siedział na koniu. Ruszajmy, więc do Zbysława, ostrzec go. Bo jeżeli to Krzyżak na zwiad wyjechał i jeżeli w lesie ich więcej, to może i my w grodzie się przydamy.

Rzekła Dobrawa.

- Wyjedźcie, a ja z lasu nie wyjadę. Zgodził się Maćków.

- Pojadę za nim i dowiem się, co oni knują i ilu ich jest.

Miłosza wiedział już, że nie ma, co przekonywać Maćkowego, więc nic nie mówił.

Ruszyli z Dobrawa w kierunku grodu i wkrótce tam do jechali, aby przekazać Zbysławowi, że widzieli kogoś od grodu jadącego w kierunku puszczy.

- Od nas nikt nie jechał w kierunku kniei, a więc musiał być to ktoś obcy. Dobrze, że

Maćków za nim ruszył. Odważny on jak mała, kto.

- W lesie wychowany, to i las jego rozumie.

Rzekła Dobrawa. Maćków jakiś czas jechał, aby zbliżyć się do Krzyżaków, ale tamci szybko oddalali się od grodu Zbysława. Więc Maćków zrezygnował z jazdy za nimi i w niedługim czasie powrócił do grodu. I on zaczął rozmawiać ze Zbysławem.

- Musimy wszystkich ostrzec o tym, że Krzyżacy jeżdżąc zaznaczają wszystkie grody na papierze.

- Czyżby do wojny się sposobili?

Rzekł Zbysław. Chcą wiedzieć, gdzie wróg ich ma siedziby, może ilu ludziom przyjdzie się przeciwstawić, gdyby do wojny doszło. Tak rozważali, ale gdy jadło podali na stół i najedli się, zaraz ruszyli do grodu Mściława i Dokutowicza. Pojechali człowiek od Zbysława, aby i ich ostrzec. A Miłosza, Dobrawa i Maćków znów przemierzali równinę, która za grodem Zbysława zaległa, a za nią majaczył potężny las. Jadąc nie wiedzieli, że w owym lesie Krzyżacy stojąc obozem zauważyli ich jadących. Dowódca ich, nakazał ciszę i czekanie w ukryciu na jeźdźców, a później pojmanie ich.

- Może wiozają jakieś ważne wieści. Trzeba ich żywcem złapać!

Rozkazał. Tymczasem oni jechali. Pierwszy Maćków zobaczył konia, który stał w zaroślach, ale było go widać, że stoi przywiązany do drzewa.

- Ktoś w lesie jest, bo koń tam stoi. Wygląda mi na krzyżackiego.

- Może zasadzili się na nas - rzekł Miłosza. Nie wjeżdżamy do las, pojedziemy wzdłuż niego. A gdyby ci, co w lesie stoją, zechcieli nas gonić, to mamy tyle przewagi, że zdołamy umknąć.

To rzekłszy, skręcili i jechali wzdłuż lasu, jednocześnie las obserwując. Ten, który dowodził Krzyżakami, zaklął.

- Musieli nas zobaczyć. Ale jak?

Spytał, jakby sam siebie. I wtedy dostrzegł tego samego konia, który stał ostatni, a był widoczny.

- Czyj to koń! Wrzasnął.

- Mój panie - odezwał się jeden i wstał.

Dowódca podszedł i wałnął go pięścią w twarz. Knecht przez chwilę leżał na murawie, a dowódca krzyczał na niego.

- Przez ciebie i twoją głupotę zobaczyli nas, żeby to się już nie powtórzyło, bo drugi raz głową zapłacisz. Teraz pięciu knechtów z tobą pojedzie i nie wracajcie mi bez nich!

Za chwilę ruszyli, a tymczasem Maćków ze swoimi ujechał dość daleko i dopiero wjechali w las. Postanowił, że teraz oni zatrzymają się i ruszą dopiero wtedy, gdy upewnią się, że nikt ich nie ściga. Ale już po chwili, zobaczyli sześć koni pędzących ku nim.

- Jest ich sześciu. Co robimy? Rzekł Maćków.

- Konie mają wypoczęte!

- A i nasze niezdrożone. Możemy im ująć. Powiedziała Dobrawa.

- Nie będziemy uciekać. Oddalimy się troszkę w las na trakt, który wiedzie do grodu Mściława i tam ich zaskoczymy. Na każde z nas dwóch ich przypada, to nie tak dużo zwłaszcza, że zaskoczenie po naszej stronie.

Ruszyli. Niezadługo byli już na trakcie. Maćków rozejrzał się, zobaczył miejsce dogodnie do ataku. Stanęli i konie przywiązali do drzew. Dobrze je ukryli, a sami mając dobrą widoczność, czekali. Po chwili usłyszeli konie, a później nieco, jeźdźców dostrzegli.

- Niech bliżej podjadą.

Rzekł Maćków biorąc łuk do ręki. To samo uczyniła i Dobrawa i Miłosza. Czekali w skupieniu. Teraz knechci zobaczyli ich ślady w miejscu, gdzie oni na trakt wyjechali. Zatrzymali konie i przyglądali się śladom. -Tu są, tu wyjechali. Musimy być ostrożni, bo mogą nas zaskoczyć.

I właśnie wtedy trzy strzały poszybowały w ich kierunku. Po chwili trzech knechtów z koni spadło, a pozostali przy życiu, końmi natychmiast się rozjechali w różne strony. Przymierzyła Dobrawa, naciągnęła łuk ponownie. Widząc to Miłosza powiedział do niej.

- Widzę, że nie oszczędzasz strzał.

- Rację masz, bo oni już za daleko, by ich trafić. Ale, gdy będą już poza zasięgiem strzał, raczej zawrócą.

-Tak łatwo się ich nie pozbedziemy. Tedy, korzystać z tego, że oni jadą w przeciwnym kierunku. Ruszajmy, by się, choć od nich trochę oddalić. Ostro ruszyli traktem, pędząc, aby jak najwięcej się od knechtów oddalić. A tamci nie mieli jeszcze sposobu, by zaskoczyć Polaków. Najchętniej wróciliby do swego obozu, ale nie mogli, gdyż bali się dowódcy swego i jego gniewu. Ale teraz Maćków i Miłosza ruszyli ku nim. Dziewczyna ostała. Gdy ich już zobaczyli, postanowili ich obejść. Gdy ujrzeli ich plecy, zsiadli ujmując konie i zbliżali się do Krzyżaków. Tamci też stanęli i radzili nad tym jak rozprawić się z Polakami. Ale jeden z nich miał inne plany. Co usłyszeli Maćków z Miłosza.

- Najlepiej jedźmy do obozu. Powiemy, że zabiliśmy ich w walce i niestety trzech z nas też życie oddało. Uwierzą nam i będziemy żyć, a tak może i my zginiemy. Oni znają tutaj lasy jak mało, kto. To groźny przeciwnik.

Polacy słysząc to, wycofali się i spokojnie czekali zanim knechci odjadą. W kilka chwil już ich nie było. Gnali do swoich, co koń wyskoczy. Teraz Maćków i Miłosza wrócili do Dobrawy i razem ruszyli do grodu Mściława. Jechali dość długo i w końcu ujrzeli kasztel. A i z kasztelu ich zobaczyli, bo naprzeciw wyruszyło dwóch zbrojnych.

- Z czym do grodu jedziecie? Ozwał się jeden z nich.

-Jesteśmy od imć Kalesantego z herbu Działosza. Mamy ostrzeżenie dla was, a później jedziemy do Michałowa, do imć pana Michała, gdyż i jemu grozi gniew Krzyżaków. Papiery z naniesionymi na nie grodami przejęliśmy i teraz trzeba rozmawiać, aby ich planom zaradzić.

- Z tym, to matka i żona Mściława was przyjmie. A co one nakażą tak będzie.

Wjechali przez bramę i zaraz potem weszli do sali tej samej, w której Maćków i oni siedzieli, gdy przywieźli wieści o Mściławie. Od tego czasu minęło jednak wiele dni i matka Mściława wchodząc nie poznała ich.

- Ludzie mi powiedzieli, że ważne wieści wieziecie.

- Tak pani.

- Z tymi wieściami ruszył do Krakowa rycerz od Zbysława. Przejęliśmy papiery, na

których zaznaczyli grody nasze. A i wasz też. Nie wiemy, po co im to, ale jak wiemy oni niczego nie robią dla dobra naszego, a przeciwnie.

- Pewnie, że nie. Zostańcie tutaj, a ja wyślę moich do Michałowa.

- Niech i tak będzie. Odpocznijemy trochę i wrócimy do swoich, bo może tam jesteście już potrzebni.

Odezwał się Maćków.

- Powinniśmy się zjednoczyć przeciw Krzyżakom, to na wypadek, gdyby na któryś gród napadli.

Rzekła żona Mściława.

- Gdyby teraz spalili któryś z naszych grodów powinniśmy zebrać się jak najszybciej, a uderzyć burząc im któryś z zamków zakonnych. Sama ludzi moich za męża poprowadzę. Wiedzą moi, że orężem nieźle władam i jeszcze nie jeden knecht, mógłby się niejednego, ode mnie nauczyć.

- To prawda pani.

Odpowiedzieli rycerze, blisko niej stojący.

- To prawda.

Odpowiedziała również matka Mściława.

- Tedy wyjeżdżamy, co rychlej, aby te wieści przekazać imć panu Kalesantemu.

A on też na pewno wyrazi, taką samą wolę. Razem wiadomo, iż siłę mamy taką, że możemy się zakonowi przeciwstawić i pobić ich w polu. Toż to ziemia nie ich, a nasza.

-My tu panami!

Krzyknęli wszyscy. A matka Mściława podniosła rękę.

- Musimy zawrzeć przymierze, tedy jedźcie do swoich i czym prędzej taką wiadomość, a zgodę nam przywieźcie, bo musimy się przed nimi bronić. A do króla, do Krakowa daleko po obronę.

- Król o tym też ostrzeżony, bo Spytko był w Krakowie. Możliwe, że i sam król też coś zaradzi.

- Nie możemy siedzieć i czekać aż nas wyniszczą.

Rzekła żona Mściława. Po tej rozmowie Miłosza, Dobrawa i Maćków ruszyli do grodu Kalesantego i nic nie zakłóciło im przebiegu drogi. Dotarli, nie spiesząc się trzeciego dnia. Tymczasem Junosza, kilkakrotnie spotykał się ze szpiegami krzyżackimi i przekazywał im wieści na tą potrzebę przygotowane przez ludzi z bliskiej królowi świąty. Ale krzyżaccy dostojnicy zaczęli podejrzewać, mimo tego, że to, co im przekazywał Junosza do tej pory było niemalże prawdziwe. Ale teraz stali się podejrzliwi i nakazali jeszcze raz sprawdzać wiadomości, które przekazuje Junosza. Spytko, już jechał od króla. Jechał do swoich, do grodu Zbysława i wieczór zastał go w lesie, tedy postanowił tu na noc ostać, aby rankiem ruszyć. Konia ukrył dobrze, trochę dalej od miejsca, w którym zamierzał spać. Po zjedzeniu stawy położył się. Nagle usłyszał szelest i w mig zrozumiał, że iluś tam Krzyżaków jest koło niego. Nie wiedział ilu, tedy miecz chwycił, mocniej go do siebie przygarnął i czekał. Na raz poczuł, że ktoś jest blisko niego i wtedy usłyszał słowa. Teraz już wiedział, że to Krzyżacy.

- Pewnie obserwowali mnie, a może i jechali za mną od dłuższego czasu. Wiedział, że go szukają, więc gdy głosy się oddaliły skierował się w kierunku konia swego. I



wtedy znów głos usłyszał i zobaczył dwóch Krzyżaków przy swoim koniu.

- Odnaleźli go i to upewni ich, że jestem blisko, pomyślał.

Rozejrzał się dookoła. Nie widząc w pobliżu innych, zaatakował. Pierwszy z nich tylko jedyny raz miecz Spytki odtrącił i po drugim ciosie padł. Drugi też długo kroku nie dotrzymał, ponieważ Spytko był dla niego przeciwnikiem zbyt silnym. Nie potrafił mu się oprzeć. Powalił ich obu i już wsiadał na konia, gdy zobaczył trzeciego z nich na koniu siedzącego. Spytko wyjechał z zarośli i ruszył na niego. Krzyżak też natychmiast w jego kierunku ruszył. Zawrzała walka, a i czwarty Krzyżak teraz dołączył i raził ciosami Spytkę. Ten bronił się zajadle, a w chwilę po tym sam zaatakował. Krzyżacy nie spodziewali się takiego obrotu sprawy i pierwszy z nich spadł z konia ranny ciężko, a ten drugi to widząc konia zawrócił i pomknął w las. Spytko ruszył za nim. Nie mógł dopuścić, aby Krzyżak dotarł do swoich. Nie wiedział, ilu ich jest w pobliżu. Dlatego, gdy wyjechali na las nieco rzadszy, zdjął łuk z pleców, po czym zatrzymał konia. Naciągnął łuk i po chwili strzała poszybowała w kierunku zakonnika. Mierzył celnie w szyję, którą Krzyżak miał nieosłoniętą. Po chwili Krzyżak zachwiał się na koniu i runął na bok. Koń powłókł go jakiś czas, po czym odpadł od niego. Spytko obtarł pot z twarzy i rozejrzał się dokoła. Teraz już na pewno panowała cisza. Ruszył w kierunku do traktu i gdy znalazł się na nim usłyszał galop koński. Wjechał w krzaki i czekał. Nagle z lasu po przeciwnej stronie drogi wybiegł koń bez jeźdźcy. Spytko spojrzął i zobaczył torbę, przytroczoną do konia. Pomyślał zaraz. Ten, który na koniu jechał musiał być ważniejszy w zakonie i jemu powierzyli misję jakąś. Może tutaj w torbie są ważne papiery. Wszystkie myśli trwały chwilę, po czym ruszył za koniem. Przechylił drogi był tu znaczny, więc wstrzymując konia zjechał po stoku, dogonił tamtego i złapał za cugle, po czym uspokoił bieg. Stanął i zaraz rozejrzał się wokoło. Nic tylko cisza - pomyślał. Widać ich tylko tylu było i wszyscy przegrali w walce ze mną. Znów wyjechał na trakt i dość długo jechał w kierunku grodu. Dopiero, gdy słońce schyliło się ku zachodowi przystanął.

Zjechał na bok drogi i konie przywiązał. Dopiero teraz zajrzał do torby. Było w niej jakieś pismo, którego odczytać nie potrafił.

- Zabiorę pismo ze sobą - rzekł do siebie.

W torbie znalazł również suchary żytnie. Usiadł, wziął suchara do ręki i zaczął go jeść. Głód mu teraz dokuczał, poczuł się zmęczony, ale suchar mu nie smakował.

- Jak ci braciszku zakonni mogą to jeść, pewnie są do tego przyzwyczajeni.

Zamruczał pod nosem.

- Ja czuję się najlepiej, gdy kawał pieczonego mięsa jem.

Teraz mógł sobie o tym pomarzyć. Oblizwał ślinkę na tą myśl, po czym odwrócił się i ujrzał stado saren pasących się bardzo blisko. Przetarł oczy, bo w pierwszej chwili zdawało mu się, że to sen jakowyś, ale gdy drugi raz spojrzął, a obraz się nie zmienił, w lot pomyślał. Tu już niedaleko powinna być osada. Wiedział o niej, gdyż nie raz do niej zajeżdżał, gdy był w drodze.

- Gdyby tak ustrzelić sarnę, a upiec ją w osadzie, tedy najadłbym się do syta tego, co lubię najbardziej, czyli mięsa dzikiego - zamarzył.

Myślał, ale w chwilę po tym zdjął łuk, naciągnął strzałę i przymierzył. Puścił ją i po chwili sarna zerwała się, przebyła kilka susów i legła na ściółce leśnej. Stado

rozpierzchło się w popłochu, ale ta jedna została. Skoczył Spytko do niej, a krew upuścił i na konia luźnego krzyżackiego zarzucił. Szkoda mu było go w lesie było zostawić i teraz się przydał. Na pewno komuś jeszcze będzie służył. Gdy sarnę miał już przytroczoną, wsiadł na swego konia i popędził w kierunku osady. W jakiś czas dopiero dotarł do niej i tu dowiedział się, że kilkunastu chłopów wyjechało właśnie na polowanie, gdyż i im mięso się skończyło. Potrzebowali pilnie sadła na ranę, którą jeden z chłopów od Krzyżaka otrzymał, gdy ci przejeżdżali i osadę grabili.

- Pokażcie mi go - rzekł, Spytko.

Poprowadzili do rannego. Leżał w izbie na słomie. Na ranie miał płótno, które teraz było przesiąknięte krwią. Spytko odkrył płótno i spojrzął na ranę. Skrzywił się tylko, po czym - rzekł.

- Tu już i sadło nie pomoże, jedynie może wywar z korzenia, rzętycy.

- A cóż to jest Panie?

Ozwała się białogłowa, której do tej pory nie dostrzegł.

- Piołun, matko.

- Zaraz każę po to ludziom jechać. To dobry człowiek, ratować go trzeba.

Odpowiedziała.

Spytko wyszedł z izby i skierował się do konia swego.

- Weźcie tę sarnę i upieczcie, mięsa mi się chce, dość dawno pieczonego nie jadłem.

Ja tymczasem zrobię maść na ranę.

- Dobrze - odpowiedzieli.

Spytko wchodząc do izby zobaczył, jak sarnę z konia zdejmowali. Po jakimś czasie już wiedział, że pieką mięso, bo zapach jego rozchodził się dokładnie dokoła. Spytko wyjął z torby liście ziela. Wyrabiał to ziele z śliną dość długo, po czym nałożył na ranę chłopca. Ten, aż z bólu zasyczał i wtedy Spytko powiedział.

- Musisz przecierpieć, maść ranę przeczyści i gorączka zejdzie. Dopiero wtedy zacznie się rana goić. Musi najpierw gorączka opaść.

Po chwili chłop odezwał się.

- Dzięki ci panie, nigdy ci tego nie zapomnę, a może kiedyś, gdy na nogi wstanę będę i tobie panie pomocny.

- Zamknij oczy i odpoczywaj. A do białogłowy - rzekł.

- W misie jest lek dobrany. Wieczorem trzeba nałożyć mu nowy, a tamten starannie usunąć. Trzeba lek stosować do chwili, aż wokoło rany zniknie zaognienie.

- Dobrze panie.

Powiedziała kobieta i ucałowała Spytkę w rękę. Ten podniósł jej głowę i rzekł.

- Mnie całować po rękach nie trzeba. Sam często biję się z Krzyżakami. Tu na drodze do was, też na mnie najechali. Usiekłem ich, ale i też w ciężkich opałach byłem. To mnie może spotkać codziennie. Pilnuj tedy, aby lek rano i wieczorem nakładać. Gdy zejdzie gorączka, wtedy i nadzieja zawita, że chory do zdrowia dojdzie, a jeśli gorączka nie minie, a wzrośnie, to trudno, nic mu już nie pomoże.

To powiedziawszy wyszedł z izby i zwrócił swe kroki w kierunku zapachu, który gdzieś z boku się rozchodził. Zaraz ujrzał ludzi i sarnę nadzianą na pręt, pod którym ogień się palił. Doszedł do nich i zagadał.

- Widzę, że znacie się na tym, bo szybko opraviliście sarnę i teraz skwierczy już, a jak pachnie.

- A umiemy panie, choć nie często możemy taką sztukę piec.

Watahy wilków po lasach je trzebią a tu taka ostała, że warto ją kręcić nad ogniskiem, aby i większy zapach z niej wydobyć. Spytko wysłuchał chłopca i powiedział.

- To racja. Mówicie, a mnie do konia iść trzeba, aby i on coś pojadł. Wszak i jemu się strawa jakaś należy.

- Nic nie mówiłeś panie, bo już dawno by dostał.

- Tego brązowego możecie sobie zatrzymać, jeśli chcecie, to koń krzyżacki. Na nim sarnę jak wiecie przywiozłem. Teraz to mi i mój wystarczy. Pojem mięsa i do grodu dojadę, bo już i tak długo mnie w domu nie ma. Pan mój Zbysław, już się pewnie niepokoi. Ja też rany goiłem, co prawda nie takie jak ten wasz, ale też zadane mi przez Krzyżaków. Puścili mnie, bo myśleli, że nim dojdę do lasu ducha wyzionę, ałem ich i siebie przemógł, chyba po to, aby ich teraz bić za swoje krzywdy. Jeśli dacie koniom, to ja odpocznę w oczekiwaniu na mięso.

- Zaraz ono będzie, panie.

Spytko odwrócił się i zobaczył na podwórzu człowieka, który gdy jego zobaczył, natychmiast głowę odwrócił. - Skąd go znam?

Pomyślał Spytko i przymknął oczy.

Ale nie mógł sobie teraz przypomnieć.

Tedy zwrócił się do chłopca, jednego z tych, którzy obok stali.

- To ktoś z waszych? Spytał.

- Który?

- Ano ten koło studni, bokiem do nas stoi?

- Nie widzę dobrze stąd, ale gdy ci panie na tym zależy przejdę obok niego i przypatrzę mu się bacznie.

- A idź i obacz.

Odezwał się Spytko, a sam też wzrok wyteżył. Zobaczył chłopca idącego w kierunku studni. Szedł wolno i gdy już podchodził do tamtego, a był blisko, otrzymał cios.

Chłopiec nieco się uchylił, a tamten dopadł konia, tego krzyżackiego. Na oklep wskoczył i w kierunku bramy pogalopował. Spytko zaraz dopadł swego konia i zerwawszy siodło z płotu, na którym leżało, podpiął je pod brzuch konia i wskoczył na niego. Popędził zaraz w kierunku bramy. Przy bramie też leżał jeden z chłopców, który chciał zastawić drogę tamtemu.

- Co się stało! Krzyknął Spytko.

- Obcy w osadzie był. Chciałem go zatrzymać widząc, że pędzi do bramy, ale on zdzielił mnie czymś po głowie i uszedł.

Dalej już Spytko nie słyszał, wyjechał przez bramę i zobaczył, że tamten już w las się skrył. Konia ponaglił i pognął w tym kierunku. Ale knecht wjechał tylko do lasu i stanął. Zobaczył, że jeden człowiek za nim jedzie, więc postanowił się i z nim zmierzyć. Tedy stał i czekał. Ale Spytko, gdy był już blisko lasu, wstrzymał konia i jął się przyglądać. Gdy przyjrzał się bacznie, dostrzegł kopyta konia stojącego w zaroślach.

- Albo to sam koń stoi, albo i jeździec na nim i czeka na mnie? I on mnie widzi pewnie, tak jak ja jego.

Wiedział, że tamten nie miał łuku, ani kuszy przy sobie, bo dostrzegł to, gdy konia dosiadał. To też ruszył wolno nie obawiając się, że knecht go z łuku zaskoczy. Gdy

podjechał bliżej - krzyknął.

-Wyjedziesz z podniesionymi rękoma i tak masz stać dotąd, aż nie każę ci ich opuścić. Inaczej zginiesz.

Odpowiedziała mu cisza. Tedy wyjął strzałę z kołczanu, naciągnął łuk i wtedy dopiero zobaczył, że tamten wyjeżdża z zarośli, po czym, gdy tylko zobaczył Spytkę natychmiast konia cofnął. Spytko widząc to strzałę wypuścił. Poszybowała ona w krzaki. Po chwili usłyszał jęk i znów cisza. Tedy znów łuk naciągnął. Widział to Krzyżak i myślał, że Polak też go widzi, więc wyjechał z zarośli. W ręce na wysokości ramienia widoczna była strzała. Musiała się odbić i rykoszetem musnąć go w rękę. Ale Spytko zobaczył, że tę drugą rękę, jakby chowa za sobą.

- Wyjmij powoli tę drugą rękę! Rozkazał Spytko.

Krzyżak ją powoli wyjmował i wtedy przyspieszył ruch i rzucił nożem, który miał w ręku. Spytko w ostatniej chwili konia spiął, a nóż odbiwszy się od uprzęży, spadł na ziemię. To uprząż ocaliła konia przed raną, a może i śmiercią. Spytko nie wytrzymał. Rzucił w Krzyżaka swój sztylet. Krzyżak spadając na ziemię zaklął. Teraz Spytko wiedział, że to knecht krzyżacki. Ostrożnie zsiadł z konia przyjrzał się uważnie miejscu, które otarło się z nożem i dostrzegł głęboką rysę w blasze odchodzącej od wędzidla.

- Miałeś szczęście.

Powiedział do konia i poklepał go po pysku. Po czym pochylił się ostrożnie nad Krzyżakiem. Widział sztylet po lewej stronie piersi Krzyżaka głęboko wbity. Wiedział, że tamten nie żyje.

Naraz usłyszał, że ktoś się zbliża konno w jego kierunku. Uskoczył, zatem i swego konia pociągnął za sobą. Za chwilę zobaczył dwóch chłopów na koniach bez siodeł. Wszedł do nich.

- Ruszyliśmy panie nie wiedząc, co się z tobą stało. Ruszyliśmy, bo widzimy żeś dobry człowiek, a i sarna już upieczona czeka.

- Tedy przyjrzyjcie się temu, czy to wasz? Podeszli obaj i jednocześnie powiedzieli.

- Nie znamy go panie, ale on od wieczora był w osadzie. Mieliśmy go na oku i był ciągle obserwowany.

- Przeszukajcie go! I w drogę powrotną nam trzeba, nic tu po nas. Trzeba ochłonać nieco i wziąć się za jedzenie. Głodnym bardzo. Ten tu nożem we mnie rzucił i o mało, co konia bym nie miał. Ale szczęście on, tak jak i ja miał.

Powiedział jakby do nich, a oni już klęczeli nad knechtem i wyjmowali z za koszuli jakieś papiery, zabezpieczone jakim czerwonym.

- Jakies papiery miał ze sobą.

Spytko wziął je do ręki, przyjrzał się i rzekł.

- To są papiery do komtura wielkopolskiego. Wezmę te papiery, już mój pan Zbysław je odczyta.

Schowal Spytko papiery do torby przy koniu i wsiadł na niego.

- Weźcie konia luźnego!

Rozkazał. I w drogę do domu, aby mięso nie stygło zanadto. Zaśmiał się teraz. Gdy dojeżdżali do osady wyszła im naprzeciw kobieta.

- Ziola panie pomagają, rana już bledsza - rzekła.

- Cieszy mnie to. Komu życie pisane, tego nie zabiorą z tego świata. Ośmiał się znów

do niej.

- Zapraszam na mięso pieczone, a i dla rannego też zostanie.
- Dziękuję panie za wszystko, a swoje mięso oddam chętnie jemu.
- Nie trzeba oddawać, dla wszystkich nas wystarczy. Sarna nie tak mała.

Po chwili już siedzieli w izbie, gdzie stały stoły. Panował tu półmrok, jako że na dworze była już szarówka. Zaraz po wieczerzy, Spytko udał się na spoczynek, a już przed świtem poszedł do stajni, gdzie konia zostawił. Wyprowadził go i zobaczył, że wiadro z wodą koło studni stoi, wziął je i konia napoił, po czym poprowadził go w kierunku bramy. Później dosiadł konia i jeszcze sprawdził, czy wszystko ma przy sobie. Widząc, że nic nie zapomniał, ruszył w drogę do grodu Zbysława. Do tego grodu dojechał wieczorem i natychmiast Zbysław z nim rozmawiał. Spytko podał mu papiery, które od Krzyżaków zdobył, a on przeczytawszy zamyślił się. Długo tak siedział, po czym rzekł.

- Nie jest dobrze. Te papiery miały dotrzeć do Poznania, gdzie komtur Graser rządy sprawuje. Teraz do zadania mają wysłać wielkie oddziały zbrojnych, gdyż małe oddziały są rozbijane przez nas. Tak jest napisane w piśmie jednym i drugim.

Wiadomo, co oznaczają wielkie oddziały, większy terror i napaści.

Dalej w piśmie jest wymienione nazwisko imię pana Kalesantego.

Reszty nie potrafię odczytać - rzekł Zbysław. Wyślę kogoś do Dokutowicza, może oni tam odczytają.

Spytko wyraził gotowość wyruszyć do Dokutowicza, ale Zbysław nie pozwolił.

- Zdrożony jesteś i wyspać się musisz, a i sił jeszcze takich jak przedtem nie masz.

Ale skoro wróciłeś z Krakowa, tedy mów, co król na nasze wieści.

- Wysłuchał je uważnie panie i zdawał się być wielce zatroskany losami kraju i tym, co w papierach wyczytał.

- Do Dokutowicza wyślę Janułę, szybki a i ostrożny on jest. To rzadka cecha, tedy i o papiery mogą być spokojny. A ty najedz się i wypoczywaj, może niedługo przyjdzie się nam z Krzyżakami bić. Nikt nie przewidzi, co im do głowy przyjść może.

To prawda - rzekł, Spytko.

- Macie rację panie, a mnie snu jednak więcej potrzeba niż jadła. Tedy spać idę.

- A cóż ty tak pojadłeś wczoraj, że dziś jadłem gardzisz.

- A sarna pieczona była, mości panie. I tak smakowała, bo sok ciekł między palcami.

- To też się nie dziwię, poznawszy przyczynę. Tedy kładź się i śpij. Bo tak jak mówię, miecza twojego mogę prędko potrzebować, prędzej może niż myślę.

Słowa te wkrótce się sprawdziły. W papierach do komtura krzyżackiego było napisane, że zakon powinien ukarać ponad wszystko imię Kalesantego, gdyż dużo braci zakonnych ginie z jego poleceń, a i z rąk jego ludzi. A i o Zbysławie też na papierze było. Więc teraz i Zbysław liczył się z najgorszym.

- Dobrze, że te papiery nie dotrą do Poznania, dobrze, że są w posiadaniu jego.

- A może inny kurier dotarł do Grasera?

- Trzeba wysłać kogoś do imię Kalesantego z wieścią i kilku co by traktem w kierunku Poznania podążyło i pilnie śledziło ruchy zakonnych. Pewnie nie posuną się już do spalenia grodu, choć po nich można spodziewać się najgorszego. Zaraz też wydał rozkazy i dwóch ludzi wyjechało do imię Kalesantego.

Dotarli do grodu bez przeszkód i natychmiast wieści przekazali. A Kalesanty odszedł

na bok i myślał.

- Starym już, a i siostrzeniec do walki niestworzony. Tedy mnie, mimo tej starości, przyjdzie konia dosiąść, bo Junosza w służbie królewskiej. Tedy mnie to został honor, aby strzec kasztelu. Zaraz też wezwał Zembrzuskiego i we wszystko wtajemniczył.

- Trzeba wysłać kogoś, kto by obserwował ruchy zakonnych i w razie, gdyby zbliżali się do grodu my wyjedziemy im naprzeciw. W polu z orężem staniemy do bitwy śmiertelnej. Nie możemy ich dopuścić do grodu, bo wtedy ogniem sobie pomogą. Musimy teraz przeciwstawić się ich sile i wspólnie ze Zbysławem, Michałem i Dokutowiczem i innymi bronić swego.

- Święte słowa, bronić będziemy na śmierć i życie. Odrzekł Zembrzuski.

Zaraz też z grodu wyjechało trzech konnych i skierowali się na trakt do Poznania. Droga daleka, to też przygotowali się doń należycie.

Jechali w milczeniu, jeden za drugim. A byli to Maćków, Miłosza i Dobrawa, do których imć Kalesanty miał największe zaufanie. Do tej pory nie zawiedli go w niczym. Do syna mimo przeszkód dotarli, to i teraz ważną misję wykonają. Jechali do wieczora i po drodze dojechali do zajazdu. Stały tu cztery konie, dziwnie osiodłane.

- Musimy być ostrożni - powiedział Maćków. Weszli i usiedli pod ścianą.

W chwilę po tym Maćków wstał i do nich - rzekł.

- Wyjdę. Za oknem stanę na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy was zaatakować. Przyjdę, gdy już uznam, że jest bezpiecznie.

I wyszedł. Stał za oknem i obserwował. Zaraz zobaczył olbrzymia, który się im przyglądał, po czym stanął nad ich głowami. Widać było, że od trunku nie stronił. Miłosza spojrział w bok. Pod ścianą stał duży stół, a przy nim jeszcze trzech obwiesiów, szukających rozrywki.

- Odejdź waść, bo mi widok zasłaniasz - rzekł Miłosza.

W odpowiedzi nóż spadł na stół wbijając się obok jego ręki.

- Nie mam innego wyboru - rzekł Miłosza.

Wyrznął osiłka raz lewą, raz prawą pięścią. Ale na tamtym nie zrobiło to większego wrażenia. Zachwiał się tylko i chciał jeszcze raz ruszyć, ale usłyszał świst strzały przy swoim uchu, która wbiła się w belkę tuż za nim.

- Rusz się, a druga już w twojej piersi stanie.

- Kim waść jesteś, że w ten sposób do mnie mówisz.

- Zwą mnie Maćków.

- To dobrze. Staniesz za chwilę ze mną do walki, a oręż możesz sobie wybrać. To będzie moja odpowiedź na obelgę, jakiej z twojej strony doznałem.

- Miecz akurat mam w rękę, gdyż łuk na plecy przewiesiłem, tedy mieczami możemy wojować.

Maćków wszedł i pośrodku sali stanął. Tamten też przodem do niego stał. Zaczęli i dość długo drab się bronił i walce nie było końca.

Koniec tomu I

Copyright O Henryk Longin Rogowski

ISBN-10: 0977949400 ISBN-13: 978-0977949403